

Prawdziwa historia rodziców,
którzy zrobili wszystko, by ocalić córkę.

JOHN BROOKS

MOGŁO BYĆ INACZEJ

Prószyński i S-ka

JOHN BROOKS

MOGŁO BYĆ INACZEJ

Prawdziwa historia rodziców,
którzy zrobili wszystko, by ocalić córkę.

PRZEŁOŻYŁA
JULIA SZAJKOWSKA

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE GIRL BEHIND THE DOOR

Copyright © 2016 by John Brooks
First published by Scribner,
a Division of Simon & Schuster, Inc.
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Lia Koltyrina/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com);
antonio gallardo/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący
Adrian Markowski

Redakcja
Joanna Ziolo

Korekta
Katarzyna Kusoń
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-042-7

Warszawa 2017

Wydawca
 Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Mojej córce Casey, która szeptała mi do ucha:
„Tato, musisz napisać tę książkę”.
Tak więc napisałem.*

*All I know she sang a little while
and then flew on...*

– The Grateful Dead *Birdsong*,
w hołdzie Janis Joplin

1

We wtorek dwudziestego dziewiątego stycznia, po trzydniowym weekendzie, znów zaczynała się szkoła. Poranek był ciemny, wietrzny i mokry, jak to bywa zimą w rejonie zatoki San Francisco. Budzik zadzwonił o szóstej, ale byłem zbyt zmęczony, żeby w ogóle się ruszyć. Po niespokojnej nocy napawałem się ciepłem puchowej kołdry. Otworzyłem jedno oko, ale je zmrużyłem, bo bez okularów widziałem zaledwie niewyraźny kształt leżącej obok mnie Eriki, która spała jeszcze smacznie. Jej ciemne, sięgające ramion włosy były rozczochrane, twarz miała wtuloną w hipoalergiczną poduszkę. Dyszała miarowo przez zatkany nos.

Zamknąłem oczy i obróciłem się na drugi bok. Postanowiłem, że pośpię jeszcze pół godziny i dopiero wtedy wstanę. Po kilku minutach zapadłem w sen. Byłem w jakimś starym domu i błąkałem się po plątaninie korytarzy, żeby móc wrócić do siebie. Im więcej odnóg sprawdzałem, by znaleźć wyjście, tym bardziej czułem się zagubiony. Chciałem wołać pomocy, ale z moich ust nie wydobywał się nawet najcichszy dźwięk.

Otworzyłem oczy.

Spod przymrużonych powiek popatrzyłem w półmroku na czerwony wyświetlacz budzika i zobaczyłem, że jest szósta trzydzieści pięć. Zaspałem. Usiadłem na łóżku, założyłem okulary i rozejrzałem się. Przy łóżku spał nasz pies Igor, który wyglądał przy tym, jakby składał się z samych łap. Tylne, chude, jak to u whippetów, ułożył na posłaniu, ale łbem i przednimi łapami zaległ na podłodze. Otworzył jedno wylupiaste ciemne oko i śledził mnie nim, gdy szykowałem się do wyjścia. Z tym swoim szpiczastym nosem, delikatnie oklapniętymi uszami i wielkimi oczami wyglądał jak przyjazny jeleń.

Spał z nami, żeby nasza córka Casey mogła spędzić tę noc sama w swoim pokoju. Od kilku dni dochodziło między nami do ostrych spięć i wszyscy czuliśmy się tym wyczerpani. Zabroniliśmy Casey opuszczać dom przez cały weekend, ponieważ okazywała zupełny brak szacunku wobec nas i nieustannie

używała wulgarnego języka. Mieliśmy za sobą kolejną rundę starć w niekończącej się wojnie nerwów między zbuntowaną nastolatką a jej rodzicami.

Po wyjściu z łazienki poszedłem korytarzem, który po mojej lewej stronie otwierał się na salon, jadalnię i kuchnię tworzące jedno przestronne pomieszczenie. Na wprost mnie korytarz rozgałęział się w literę T. Jej lewe ramię prowadziło do mojego gabinetu, a prawe do pokoju i łazienki Casey. Na ścianie naprzeciwko dłuższej odnogi wisiał ogromnych rozmiarów plakat Keitha Haringa w typowym dla niego stylu inspirowanym ulicznym graffiti.

Zamiast skierować się na lewo, do kuchni, skręciłem w stronę pokoju Casey i zatrzymałem się przed drzwiami, a właściwie przed tym, co z nich zostało. Casey od wczesnego dzieciństwa miała napady złości i stany załamania, a wtedy demolowała, co się dało, krzyczała, zawodziła i waliła w te drzwi, aż zaczęły pękać na łączeniach. Postanowiłem ich nie wymieniać, dopóki córka nie wyjedzie na studia we wrześniu, czyli za niecałe dziewięć miesięcy.

Przyłożyłem ucho i usłyszałem muzykę, cichą i jazgotliwą, jakby dochodziła z niewielkiego głośnika. Zapukałem delikatnie. Czy miałem pozwolić córce spóźnić się do szkoły i ponieść tego konsekwencje? Nie. Nie chciałem pogarszać napiętej atmosfery w domu tylko dlatego, że Casey postanowiła na złość nam spóźnić się do szkoły. Pierwsza lekcja w Redwood High zaczynała się o ósmej rano. Gdyby teraz wstała, mógłbym podrzucić ją do szkoły, jadąc do pracy.

– Casey? Wstałaś już?

Cisza.

Uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka. W ciemności pokój sprawiał wrażenie bardziej porządnego niż zazwyczaj. Zobaczyłem szaroniebieski dywan i pokrywające go plamy po jedzeniu, kawie i wymiocinach Igora. Ubrania Casey były ułożone w równy stosik na ratanowym fotelu znajdującym w kącie, a łóżko zostało zaścielone.

Stojące na stoliku nocnym radio odbierało lokalną rozgłośnie hip-hopową. Z plastikowego głośnika płynął irytujący rytm gangsterskiego rapu, a wyświetlacz błyskał czerwono godziną piątą. Zdziwiło mnie to. Co Casey miałyby robić o piątej nad ranem?

Wyłączyłem radio z uczuciem niepokoju i poszedłem do salonu. Gdy poprzedniego wieczoru kładłem się spać, Casey okupowała obitą bordową skórą sofę i oglądała wyświetlany na kanale Bravo kolejny odcinek *America's*

Next Top Model. Jednocześnie bębniła wściekle w klawiaturę laptopa, więc zapewne rozmawiała online z którąś ze swoich koleżanek. Ale tego szarego zimowego poranka sofa okazała się pusta. Pilot do telewizji kablowej leżał na podłodze, a na stoliku kawowym stała otwarta puszka dietetycznego napoju Dr Pepper. Oczywiście bez podstawki.

Skierowałem się do gabinetu. Czasami Casey zasypiała na stojącym tam składanym łóżku. Ale nie tym razem.

Tętno mi wzrosło, gdy szybko przeszedłem przez salon w stronę głównego wyjścia. Nawierzchnia przed nim, wciąż mokra od deszczu, ciemniała w świetle latarni tam, gdzie dzień wcześniej zaparkowałem saaba.

Nie było go.

Poczułem, że narasta we mnie gniew. Jak dostanę się do pracy? Erika potrzebowała drugiego samochodu, rodzinnego SUV-a, by dojechać do swojego biura. Po chwili, gdy fakt zniknięcia córki zaczął docierać do mojej świadomości, irytacja ustąpiła miejsca strachowi. Casey zdarzało się wypadać z domu jak burza i krążyć po okolicy z papierosem i telefonem, przez który rozmawiała z koleżankami. Ale nigdy nie zrobiła czegoś takiego. Nigdy nie wstała tak wcześnie i nie wzięła mojego samochodu.

Wróciłem szybko do jej pokoju. W przytłumionym świetle rzucił mi się w oczy blok grubego białego papieru do malowania akwarelami. Był otwarty na stronie, na której zieleniły się litery równego pisma Casey, znajomo pochylające się nieco w dół od lewej do prawej strony, jak to często bywa u osób leworęcznych:

Samochód jest zaparkowany przy moście Golden Gate. Przepraszam.

Zamarłem, przyglądając się słowom „Golden Gate”. Krew odpłynęła mi z twarzy, a powietrze uciekło z płuc.

Popędziłem do sypialni. Erika leżała zagrzebana pod kołdrą i stertą poduszek. Dotknąłem jej ramienia.

– Kochanie, musisz wstać. – Z trudem zachowałem spokój. – Coś złego stało się z Casey.

– Co? Co takiego? – Przestraszona i dezorientowana Erika uniosła głowę. Miała na sobie bawełnianą koszulkę, spodnie od pizamy i skarpetki. Zawsze marzły jej stopy.

– Nie ma jej w pokoju. Zniknął też samochód.

Natychmiast zrzuciła z siebie kołdrę i zaczęła szukać po omacku okularów na stoliku nocnym. Igor poderwał się ze swojego posłania i przyglądał się nam zaniepokojony, drżąc przy tym nerwowo.

– Może poszła do którejś z koleżanek? – zasugerowała Erika, starając się zrozumieć, co przed chwilą powiedziałem.

– Kochanie, zostawiła to. – Ręka mi drżała, gdy podawałem jej list.

– O Boże. Nie! – Na twarzy Eriki zamarł wyraz przerażenia.

Podniosłem słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu. Była godzina szósta czterdzieści. Od momentu, kiedy wstałem, minęło dziesięć minut.

– Dziewięćset jedenastcie. Co się stało?

Słowa popłynęły z moich ust niepowstrzymanym potokiem:

– Nazywam się John Brooks. Mieszkam przy Claire Way numer piętnaście w Tiburon. Moja córka Casey zniknęła. Zostawiła wiadomość, że samochód stoi na parkingu przy moście Golden Gate.

– Dobrze, proszę spróbować się uspokoić. Co to za samochód?

– Czerwony saab dziewięć trzy z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Na parkingu przy Golden Gate?

– Tak. Podejrzewam, że na południowym, od strony Marin.

– Może ją pan opisać? Wie pan, co miała na sobie?

– Ma siedemnaście lat, jakieś metr sześćdziesiąt pięć, metr siedemdziesiąt wzrostu, brązowe, sięgające ramion włosy. Nie wiem, w co była ubrana.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Przypomniałem sobie, jak wyglądała poprzedniego wieczoru, gdy skulona na sofie zupełnie mnie ignorowała.

Jezu, czyżby chodziło o naszą weekendową kłótnię?

– W domu, około wpół do jedenastej wczoraj w nocy – odpowiedziałem.

– W porządku. Proszę zostać tam, gdzie pan jest. Za kilka minut pojawi się u pana funkcjonariusz policji. Skontaktujemy się z patrolem przy Golden Gate i policją autostradową, żeby sprawdzili, czy samochód stoi na parkingu.

Rozłączyłem się kompletnie zszokowany. Oboje z Eriką byliśmy zdezorientowani. Zerkaliśmy na siebie udręczeni strachem, niezdolni skupić na niczym myśli. Usiadłem na brzegu łóżka, wpatrując się w stojącą na komodzie fotografię. Przedstawiała Casey w dniu balu na zakończenie ósmej klasy. Moja córka miała na sobie białą sukienkę koktajlową, wykończoną czerwoną

lamówką, odsłaniającą szyję i ramiona. Włosy, wtedy jeszcze jasne, związała z tyłu, nie nosiła już aparatu ortodontycznego, a orzechowe oczy podkreśliła delikatnie tuszem i kreską na powiece. Uśmiechała się nieśmiało, ale ja uważałem, że wygląda zniewalająco.

Myśl, do cholery!

Pobiegłem do pokoju Casey, żeby poszukać jej komórki. Któraś z koleżanek mogła wiedzieć, gdzie jej szukać. Ale była dopiero szósta czterdzieści pięć, za wcześnie na jakiegokolwiek telefony. Gdybym zaczął wydzwaniać do nich o tej porze, a potem okazałoby się, że sprawa wcale nie jest poważna, byłyby na mnie wściekłe. Rozejrzałem się po pokoju.

Telefon zniknął razem z portmonetką i torebką. Nie zabrała ze sobą tej drogiej od Marca Jacobsa, którą kupiliśmy jej rok wcześniej w Greenwich Village na siedemnaste urodziny, lecz tańszą, którą nosiła na co dzień. Szybko poszedłem do kuchni, gdzie Erika, ubrana już w dzinsy i bluzę sportową, krążyła nerwowo bez celu.

– Kochanie, zadzwonię na komórkę Casey – powiedziałem.

Erika spojrzała na mnie zagubiona.

W słuchawce natychmiast włączyło się standardowe nagranie: „Zostaw wiadomość dla...” i odezwał się głos Casey: „Quasey”. Tak przezywali ją koledzy i koleżanki. Był to skrót od imienia Quasimodo, dzwonnika z Notre Dame, który przyłgnał do niej ze względu na jej przygarbioną sylwetkę. Ale przecież wszystkie dzieci się garbią.

– Casey, tu tata. Masz przy sobie telefon? Gdzie jesteś? Przeczytaliśmy wiadomość, którą zostawiłaś. Zadzwoni do mnie, proszę. Wszyscy cię szukamy. – Zamilkłem na chwilę. – Słoneczko, kochamy cię. – Znów umilkłem. Zabrakło mi słów, więc nacisnąłem „zakończ”.

O szóstej pięćdziesiąt rozległ się dzwonek u drzwi. Otworzyłem i ujrzałem na progu funkcjonariusza z posterunku w Tiburon. Na ulicy za jego plecami stał zaparkowany biało-niebieski motocykl. Policjant był młody, oceniłem go na niespełna trzydzieści lat, przeciętnego wzrostu i atletycznej budowy. Jasne włosy miał przycięte krótko, po wojskowemu. Igor zakradł się niepewnie i obwąchał jego mundur.

– Pan Brooks? Posterunkowy Gilbreath. – Wyglądał znajomo.

Zaprosiłem go do salonu i, już w towarzystwie Eriki, opisałem mu ostatnie dwadzieścia minut. Twarz młodego policjanta wyraźnie się zachmurzyła. Poprosił, bym mu pokazał pokój Casey. Zaprowadziłem go tam, mając

nadzieję, że nie zwróci uwagi na zniszczone drzwi. Rozglądał się po pomieszczeniu przez jakąś minutę, ale nie znalazł niczego godnego uwagi. Przyczepione do paska radio odezwało się skrzekliwie, lecz je zignorował.

– Panie posterunkowy, o co chodzi z tym samochodem przy moście? – zapytałem, ciągle walcząc z galopującymi myślami. – Musimy tam pojechać.

– Na miejsce wysłano patrol policji autostradowej, mają go szukać. Dadzą znać, gdy coś znajdą. Pana muszę prosić o czekanie na miejscu.

– Przykro mi, ale nie możemy tu zostać. Musimy jechać pod most.

Zamyślił się na chwilę.

– W porządku. Czy mają państwo jakichś sąsiadów lub znajomych, z którymi mógłbym się kontaktować?

Wskazałem na dom stojący na sąsiedniej posesji.

– Jerry i Laura, nasi sąsiedzi, powinni być w domu.

Przed wyjściem musiałem skorzystać z łazienki. Ochlapałem twarz wodą i przyjrzałem się mężczyźnie spoglądającemu na mnie z lustra. Wyglądał, jakby uciekł właśnie ze szpitala dla wariatów – włosy w nieładzie niczym nastroszona peruka, oczy nabiegłe krwią, zapuchnięte powieki, wszystkie niedostatki urody widoczne bardziej niż zazwyczaj.

Po powrocie do salonu podałem Gilbreathowi numer swojej komórki, a potem oboje z Eriką skierowaliśmy się do drzwi. Wsiedliśmy do SUV-a i ruszyliśmy w piętnastokilometrową drogę autostradą numer 101 w stronę mostu Golden Gate.

Była siódma dziesięć, godzina szczytu. Jechaliśmy, a ja przyglądałem się kierowcom wszystkich bmw, mercedesów i jaguarów sunących do pracy. Oto kolejny zwykły wtorkowy poranek dla wszystkich dojeżdżających do pracy w San Francisco. Pozbawione wyrazu twarze nie pozwalały myśleć, że zaszło coś złego.

Przez chwilę poczułem ulgę. Casey była najpewniej u którejś z przyjaciółek. Pojawi się niedługo, przepraszając, że wzięła samochód bez pozwolenia. Albo wiedziona jakimś dramatycznym impulsem pojechała na most, lecz zmieniła zdanie i właśnie wracała do domu.

Wynurzyliśmy się z tunelu Waldo – korytarza wywierconego pod masywem Marin Headlands – i na wprost nas zobaczyliśmy otulony pasmami mgły most Golden Gate. Z wodami zatoki i panoramą miasta w tle wyglądał jak wyjęty z plakatu departamentu do spraw turystyki. Każdego innego dnia ten etap drogi do pracy w dzielnicy finansjery San Francisco byłby prawdziwą atrakcją, ale

spowity mgłą most wydał mi się zimny i groźny.

O siódmej dwadzieścia zjechaliśmy na parking przy północnym krańcu mostu i od razu zobaczyliśmy mojego czerwonego saaba. Obok samochodu, z biegiem wrzuconym na luz, stał czarny motocykl kalifornijskiej policji autostradowej. Gdy gasiłem silnik SUV-a, przyglądaliśmy się obu pojazdom z niedowierzaniem. A więc jednak przyjechała na most.

Wysiedliśmy. Funkcjonariusz zsiadł z motocykla i podszedł do nas.

– Państwo Brooks? Posterunkowy Shipman.

Mój mózg zaczął pracować na wysokich obrotach.

– Czy ktoś widział Casey?

– Przyjechałem tu jakieś dwadzieścia minut temu – wyjaśnił Shipman. – Maskę samochodu była jeszcze ciepła, nie stał zaparkowany zbyt długo.

Niespodziewanie odezwała się Erika, a jej wysoki głos zdradzał napięcie:

– Co robicie, żeby ją odnaleźć?

Shipman zachował spokój i niewzruszoną postawę.

– Pani Brooks, podaliśmy patrolom jej rysopis. Państwa córki szukają jednostki policji parkowej, straży przybrzeżnej, ochrony mostu i policji autostradowej.

Drzwi saaba były zamknięte, odblokowałem je więc pilotem. Na fotelu pasażera leżały nowy iPhone Casey – prezent od mojej matki – i zapalniczka. W schowku znalazłem paczkę cameli light. Nie podobało mi się to, że córka paliła.

Na podłodze przy miejscu pasażera leżała torebka. Wysypałem jej zawartość na siedzenie: portmonetkę, puder, pomadkę, paczkę chusteczek higienicznych, opakowanie gumy Orbit, rulon kartek z notatnika, zapalniczka, trochę drobnych. Żadna z tych rzeczy nie przybliżyła mnie do zrozumienia tego, co zaszło. Bagażnik też nie krył w sobie odpowiedzi.

Chwyciłem telefon i sprawdziłem kontakty. Znałem kilkoro spośród kolegów i koleżanek Casey, ale nigdy nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż zdawkowe „dzień dobry” czy „do widzenia”, gdy przemykali przez salon, by zniknąć w jej pokoju. Zakazała nam rozmawiać z nimi.

Na liście ostatnich połączeń znalazłem imię Maxa. Pamiętałem go. Był wysokim, szczupłym chłopakiem z nieokiełznaną grzywą kręconych włosów. Znali się z Casey od przedszkola. Puknąłem gniewnie kciukiem szybką telefonu i wybrałem numer Maxa, ale włączyła się poczta głosowa.

Chwilę później zobaczyłem imię Juliana. Miły chłopak, trochę przy kości,

fajny. Przyjaźnił się z Casey, spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Często jeździła do niego, gdy potrzebowała podnieść się z załamania nerwowego.

– Hej, Quasey. Co tam, ziomeczku? – Głos w słuchawce brzmiał świeżo i przytomnie, jakby jego właściciel był gotów wyjść do szkoły.

– Julianie, tu tata Casey, John. Casey zniknęła dziś rano. Wzięła samochód i pojechała na Golden Gate. Jestem teraz na parkingu przy moście. Czy może wiesz, gdzie jej szukać?

W słuchawce było cicho. Gdy po chwili Julian odezwał się, jego głos nie brzmiał już wesoło:

– Kurczę, nie, przykro mi, nie mam pojęcia. A co się stało?

– Dzięki, Julian. Muszę lecieć.

Jasna cholera!

Odezwał się mój blackberry.

– Panie Brooks, mówi posterunkowy Gilbreath. Muszą państwo natychmiast wrócić do domu.

Nie zapytałem, dlaczego tego zażądał. Odpowiedziałem tylko:

– W porządku, będziemy za jakieś dziesięć minut.

Z jego tonu nie potrafiłem wywnioskować, czy czeka na nas z dobrą, czy złą wiadomością. Starłem się myśleć pozytywnie. Nie powiedział przecież niczego niepokojącego. Może nie miałem się czego obawiać.

Do domu jechaliśmy w pełnej napięcia ciszy. Erika ścisnęła leżącą jej na kolanach torebkę tak mocno, że aż pobieleły jej kostki. Gdy podjechałem pod dom, zobaczyłem zaparkowany przed nim drugi biało-niebieski motocykl policji w Tiburon.

W środku zastaliśmy kilka osób. Poza posterunkowym Gilbreathem był tam między innymi funkcjonariusz wyższy stopniem, sierżant Hayes. Obaj stali nieruchomo na środku salonu, nie spuszczać z nas wzroku. Obok, jakby w półkolu, czekali nasi sąsiedzi Jerry i Laura. Przyglądali się nam ze zbolętymi minami. Wyglądało to złowieszczo.

Posterunkowy Gilbreath gestem nakazał nam usiąść. Erika przycupnęła na sofie nieopodal Laury, a ja zająłem miejsce przy Jerryem. Miałem wrażenie odrealnienia, nie czułem żadnego związku ze znajdującymi się obok ludźmi, jakbym oglądał ich na filmie.

Jasnożółte ściany przechwytywały tę niewielką ilość światła, która zdołała przedrzeć się przez chmury. Kominiek w rogu salonu był obramowany wzorem liści klonu. Namalowała go jakiś czas temu Erika. Za plecami policjantów

widziałem szafkę z książkami, zdjęcia naszej rodziny i szeroki ekran telewizora.

Dostrzegłem, że dłonie Gilbreatha drżały, gdy odczytywał nam to, co zapisał w służbowym notesie. Rozmawiał z jednostką ochrony obserwującą Golden Gate. Kamery monitoringu miejskiego zarejestrowały, że o szóstej piętnaście saab w ciemnym kolorze wjechał na parking Dillingham. Z samochodu wysiadła kobieta w stroju do biegania. Skierowała się chodnikiem prowadzącym pod Golden Gate w stronę zatoki. Biegacze, spacerowicze i turyści wybierali najczęściej właśnie ten kierunek, bo pozwalał im nacieszyć wzrok spektakularnym widokiem zatoki San Francisco i panoramy miasta.

Wpatrywałem się w Gilbreatha, niezdolny nawet mrugnąć powieką, zupełnie nieświadomy obecności innych osób w pokoju. Policjant skupiał całą uwagę na swoich notatkach. Zmusiłem się do oddychania, a serce waliło mi w piersi jak szalone. Kluczyki do samochodu wysunęły mi się z dłoni.

– Kobieta paliła papierosa. Zgasiła go niedaleko parkingu Vista Point. Potem wbiegła na most i zatrzymała się w połowie. – Gilbreath przerwał, żeby odchrząknąć, zerknął na chwilę w moją stronę, lecz napotkawszy mój wzrok, natychmiast znów wbił spojrzenie w trzymany notatnik. – Wspięła się na mierzącą prawie sto trzydzieści centymetrów barierkę oddzielającą chodnik od pomostu dla konserwatorów, weszła na pomost, gdzie stała dziesięć, może piętnaście sekund, a potem zrobiła krok naprzód.

Casey skoczyła o szóstej czterdzieści, mniej więcej wtedy, gdy dzwoniłem pod dziewięćset jedenaście. Kluczyki do saaba zostawiła na poręczy.

2

Katarzyna miała trzydzieści sześć lat, była niezamężna i spodziewała się dziecka, a wychowywała już dwójkę. Mieszkała z nimi w domu rodziców, w leżącej dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Warszawy krainie jezior mazurskich, zwanej letnią stolicą Polski.

W nocy trzeciego maja 1990 roku, sześć tygodni przed wyznaczonym terminem, zaczęła rodzić. Ojciec załadował ją do samochodu i zawiózł do położonego nieopodal państwowego szpitala w Giżycku, tak zwanego Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej. Jej mama została w domu, by zająć się dziećmi. Gdy tylko zajechali na izbę przyjęć, Katarzyna urodziła małą i słabą dziewczynkę, ważącą zaledwie tysiąc trzysta gramów i z trudem łapiącą powietrze w nie do końca wykształcone jeszcze płuca. Położna szybko włożyła małą do inkubatora.

Kilka sekund później lekarze przekonali się, że było też drugie dziecko. Ta dziewczynka przyszła na świat martwa.

Leżącemu w inkubatorze niemowlakowi dano na imię Joanna. Joanna spędziła w szpitalu dwa miesiące niedotykana przez nikogo, dopóki nie nauczyła się samodzielnie oddychać. Rodzice Katarzyny przekonali ją, by oddała dziecko do adopcji. Kobieta zrzekła się więc praw do córki, która przeżyła poród.

Gdy Joanna rozwinęła się już na tyle, by móc samodzielnie oddychać, została wysłana do domu dziecka w pobliskim Mrągowie. Miała tam pozostać przez następny rok.

3

W lipcu 1991 roku, ściśnięty mocno – wszak mierzyłem sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu – na tylnym siedzeniu brudnego nissana, jechałem w kierunku tego domu dziecka. Przez Polskę przetaczała się właśnie fala upałów, a samochód nie miał klimatyzacji, o pasach bezpieczeństwa czy miejscu na nogi nie wspominając. Erika siedziała obok mnie, a jej skóra błyszczała od potu z powodu duchoty.

Renata, polska adwokat zajmująca się w naszym imieniu sprawą adopcji, siedziała na fotelu pasażera przede mną. Musiała mieć czterdzieści kilka lat, ale głębokie zmarszczki wokół oczu sprawiały, że wyglądała na starszą. Mimo to nadal była atrakcyjną kobietą, szczupłą ciemną blondynką o włosach przyciętych do ramion. Samochód prowadził Marian, jej mąż. Był naszym szoferem, przewodnikiem i konsultantem prawnym. Muskularny, o lekko kanciastej sylwetce, przypominał mi pewnego aktora charakterystycznego, grającego w latach osiemdziesiątych w serialu o prawnikach.

Marian był niegdyś sędzią, ale zrezygnował z kariery, ponieważ praktyka adopcyjna Renaty przynosiła znacznie większy dochód. Jej honorarium wynosiło piętnaście tysięcy dolarów, a jego pensja zaledwie równowartość stu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Mimo że atmosfera była nieco napięta, oboje zachowywali się przyjaźnie, z cierpliwością i w pełni profesjonalnie. Mieli doświadczenie w zajmowaniu się zmęczonymi zmianą czasu i wystraszonymi sytuacją przyszłymi rodzicami z Zachodu.

*

To historia, jakich wiele. Po dwóch latach inwazyjnych badań płodności, zastrzyków hormonów i uprawiania seksu w momentach owulacji Erika i ja pogodiliśmy się ostatecznie z myślą, że nie będziemy mieć własnego dziecka.

Może więc adopcja?

Pewnego zimnego styczniowego wieczoru dołączyliśmy do grupy wsparcia w Unitariańskim Domu Spotkań mieszczącym się niedaleko miejsca, gdzie mieszkaliśmy w Simsbury w stanie Connecticut. Było to zebranie par szukających alternatywnych metod radzenia sobie z bezpłodnością. Bardzo chcieliśmy usłyszeć dobre wieści, niestety rzeczywistość okazała się zgoła odmienna.

Dowiedzieliśmy się, że oczekiwanie na adopcję przeprowadzaną tradycyjnie, przez agencję państwową, może się przeciągnąć nawet do dziesięciu lat. Niezależne działania podejmowane przez adwokatów nie tylko kosztują majątek, lecz są obarczone ryzykiem, ponieważ biologiczna matka może w każdej chwili zmienić zdanie. Innym rozwiązaniem była adopcja za granicą, zwłaszcza jeśli przyszli rodzice rozważali otoczenie opieką dziecko starsze lub wymagające szczególnej troski, ale i ono nie było wolne od ryzyka. Okno adopcyjne mogło zostać otwarte lub zamknięte w zależności od nastrojów politycznych i wahań opinii publicznej, a procedury trwały rok lub dłużej i przez ten czas dziecko, które pokochalibyśmy już jak własne, musiałoby pozostawać w sierocińcu. Lista krajów objętych procedurą adopcyjną ograniczała się do niewielkiego zakątka Dalekiego Wschodu, Trzeciego Świata i państw dawnego bloku sowieckiego: Korei Południowej, Kolumbii, Gwatemali, Etiopii i Rumunii.

Gdy spotkanie dobiegło końca, zasmuceni skierowaliśmy się do wyjścia, rozmyślając nad naszym życiem składającym się z kariery zawodowej, siostrzenic i siostrzeńców, hobby, podróży, zwierzaków, czegokolwiek, co pozwoliłoby wypełnić pustkę życia bez dzieci czy, jak woleli niektórzy, wolności od dzieci. I wtedy moje spojrzenie zatrzymało się na ulotce towarzystwa charytatywnego. Na stronie wymieniającej kraje, w jakich działało, rzuciło mi się w oczy jedno słowo: „Polska”. Rodzina Eriki pochodziła z Polski. Być może to była szansa dla nas.

*

Renatę poznaliśmy przypadkiem przez agencję adopcyjną, z której usług korzystaliśmy – Family & Children’s Agency of Greater Norwalk w Connecticut. Pewna para z New Haven niedawno zakończyła proces adopcji dwuletniej dziewczynki z Polski. Początkowo Renata wahała się, czy podjąć

się naszej sprawy. Miała wielu innych klientów, a pracując dla dwóch innych amerykańskich par, napotkała znaczący opór ze strony polskiego rządu, który wolał umieszczać osierocone dzieci w polskich rodzinach. Ale w konserwatywnej i katolickiej Polsce sierot i porzuconych dzieci było więcej niż chcących je adoptować dorosłych, dwójka Amerykanów była zatem lepsza niż brak kandydatów na rodziców.

Erika nie ustępowała. Podczas wielu rozmów telefonicznych, jakie nocami przeprowadziła z Renatą, opowiedziała jej o życiu swoich rodziców w okupowanej Polsce. Byli dobrze wykształceni, mieli duże aspiracje, ale ich kraj padł ofiarą najpierw niemieckiej, a potem radzieckiej napaści. Widok ciężkiej artylerii na ulicach stał się czymś codziennym. Ludzie musieli opanować sztukę negocjowania z agresywnie nastawionymi żołnierzami w najbardziej błahych sprawach, jak choćby przejście przez ulicę, by udać się do rzeźnika. Jeden z braci zniknął i pojawił się dopiero wiele lat później w Anglii. Swoim szkolnym polskim Erika streściła Renacie historię swojej rodziny:

„Moi rodzice widzieli, że ich kraj jest rozrywany na strzępy przez Niemców i Rosjan. Skorzystali z szansy i wsiedli na statek do Ameryki, osiedlili się w Detroit, gdzie ojciec zarabiał dobrze, pracując w rozgłośni radiowej, w której sprzedawał reklamy”.

Być może Renatę ujęły wysiłki Eriki, by porozumiewać się w trudnej polskiej mowie, której uczyła się z woli rodziców, a nie po angielsku, choć tak byłoby jej łatwiej. Wreszcie Erika zagrała naszą kartą atutową, którą trzymaliśmy, na wypadek gdyby okazało się, że w ten sposób zdołamy skrócić roczny okres oczekiwania.

„Jesteśmy zdecydowani wziąć dziecko wymagające specjalnej troski”.

Po chwili namysłu Renata powiedziała nam o malutkiej Joannie, która skończyła dziesięć miesięcy i przebywała w domu dziecka w Mrągowie. Była wcześniakiem z dużym zapóźnieniem w rozwoju, jej karta szpitalna zawierała niewiele informacji, ale dziewczynka czekała na adopcję. Nie mogliśmy uwierzyć w nasze szczęście – dziesięciomiesięczna polska dziewczynka czeka na adopcję.

Zaledwie cztery miesiące po tym spotkaniu zmierzaliśmy do Mrągowa. Mknęliśmy przez polskie wsie, a Erika rozmawiała z Renatą – nie miałem pojęcia o czym, ale mówiły spokojnie, więc uznałem to za dobry znak. Ponieważ do Warszawy dotarliśmy zaledwie trzy dni wcześniej, o przebiegu rozmowy mogłem wnioskować wyłącznie na podstawie zmian wyrazu ich twarzy i modulacji głosów. Ten język nie był ani trochę intuicyjny.

Minęły trzy godziny, odkąd Renata i jej mąż odebrali nas z hotelu w stolicy, i cały ten czas spędziliśmy w drodze. Nie dość, że było duszno z powodu upału, to Renata i Marian palili gauloise'y, jednego po drugim. W samochodzie unosiła się gęsta chmura dymu, który wgryzał mi się w dziurki nosa, w oczy, przenikał włosy i ubranie.

Poczułem narastający w skroniach silny ból głowy. Potrzebowałem powietrza, ale nie śmiałem prosić, żeby przestali palić. Nie chcieliśmy nikogo obrazić, zupełnie jakby prośba o zgaszenie papierosa mogła spowodować rozwiązanie naszej starannie dopracowanej umowy. Dlatego tylko otworzyłem okno po swojej stronie i gorące powietrze oczyściło mi nozdrza.

Na zewnątrz asfalt topił się od palącego słońca. Koła samochodów osobowych i ciężarówek zostawiały ślady w rozgrzanej nawierzchni. Mignęła mi zielona tablica z numerem drogi – E77. Jechaliśmy polskim odpowiednikiem drogi międzystanowej – dwupasmową drogą z poboczem szerokości ścieżki rowerowej, po którym poruszały się powolne pojazdy wiejskie.

Obok nas śmignęło srebrne porsche na niemieckich tablicach. Wstrzymałem oddech i obserwowałem scenę za szybą. Porsche wcisnęło się na nasz pas tuż przed jadącą z przodu rosyjską ładą, o włos unikając czołowego zderzenia z nią, gdy próbowała niezdarnie wyprzedzić ciągnący się bokiem pasa zielony traktor z przyczepą pełną siana. Marian pokręcił tylko głową i zagestykułował gniewnie, mrużąc pod nosem słowo „Dupa”.

Mijaliśmy kolejne miasta, na których nazwach mogłem połamać sobie język – Nowy Dwór Mazowiecki czy Strzegowo – przejeżdżaliśmy koło wiekowych gotyckich kościołów, majestatycznych budynków urzędów miejskich, straszących wyglądem bloków z czasów komuny, zapuszczonych biurowców i imponujących pomników upamiętniających polskich bohaterów poległych w licznych przegranych wojnach. Renata zapaliła kolejnego papierosa i wydmuchnęła dym przez okno. Uznałem, że pora wyłowić z torebki Eriki dwa proszki od bólu głowy.

Czekając na zbawienne działanie tabletek, wyjąłem z torby kamerę wideo i zacząłem uwieczniać naszą podróż dla potomnych. Miałem przy tym przed oczami jedyne zdjęcie Joanny, jakie widzieliśmy do tej pory, przesłane nam w marcu FedExem. Przedstawiało ciemnowłosą kobietę o opiekuńczym wyrazie twarzy, trzymającą w ramionach dziewczynkę ubraną w dwie pary śpioszków, w których wyglądała niczym ludzik Michelin.

Dziecko miało nadąsaną minę, jakby obudzono je z drzemki tylko po to, by zrobić mu zdjęcie. Nieco kwadratową główkę porastały rzadkie włoski, uwagę przykuwał słodki, zadarty, czerwony jak burak nosek. Może miała lekki katar. Nie wyglądała na szczególnie szczęśliwą, ale nam wydawała się cudowna.

Renata wyciągnęła ze sfatygowanej teczki, którą trzymała pod nogami, sporządzony na jednej stronie dokument i podała go Ericie. Powiedziała coś głębokim, schrypniętym głosem, a Erika wzięła papier. „*Tak*” – odparła po polsku, kiwając głową. Zjrzałem Ericie przez ramię, starając się zrozumieć coś z tego dziwnego pisma.

– To dokument, dzięki któremu odbierzecie Joannę z sierocińca – wyjaśniła mi Renata.

– Och, *dziękuję!* – odparłem, uśmiechając się i z dumą prezentując znajomość jednego z siedmiu polskich słówek, jakie zdołałem opanować.

– *Nie ma za co* – odpowiedziała, również się uśmiechając, a potem, widząc, że nie rozumiem ani słowa, powtórzyła to samo po angielsku. – *You’re welcome.*

– Oczywiście. *Tak!* – Czuję się jak idiota.

Tymczasem Renata odwróciła się do Eriki i radośnie powiedziała coś po polsku. Erika zaśmiała się w odpowiedzi. Marian tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i zakaszłał. Ani na chwilę nie przestał palić i teraz papieros zwisał mu przyklejony do wargi. Z czego się śmiali? Erika nachyliła się w moją stronę.

– Renata mówi, że przy odrobinie wysiłku zacząłbyś mówić płynnie po polsku.

– Bardzo śmieszne.

Jechaliśmy cały czas na północ przez lasy, obok jezior, gospodarstw mleczarskich, między pofałdowanymi pagórkami, które przywodziły mi na myśl Wisconsin. Renata skorzystała z okazji, by opowiedzieć nam co nieco o okolicy.

– To kraina jezior. Bardzo tu pięknie. W sezonie zjeżdżają się tłumy turystów, Niemców, Holendrów, Duńczyków. Przyciągają ich niskie ceny.

Erika gawędziła przez chwilę z Renatą, a ja przysłuchiwałem się temu, obserwując jednocześnie krajobraz i zastanawiając się nad wszystkim, co musieliśmy przejść, żeby dotrzeć do tego miejsca. Zaledwie sześć miesięcy wcześniej wyszliśmy z Domu Spotkań bez cienia nadziei na własne dziecko. Teraz tylko kilka godzin dzieliło nas od poznania dziewczynki, której mieliśmy dać na imię Casey, „odważna”. Lada chwila mieliśmy stać się rodzicami.

*

Już po pierwszej rozmowie Eriki z Renatą o Joannie martwiliśmy się o zdrowie małej. Wiedzieliśmy, że była wcześniakiem, miała niedowagę i była bardzo słaba. Dziecięcy neurolog w Connecticut wyjaśnił nam, że dziesięciomiesięczne dziecko powinno umieć stać, podnosić niewielkie przedmioty, jeść samodzielnie i bawić się w proste zabawy. Joanna nie potrafiła nawet siadać. Wydawało się, że w rozwoju osiągnęła poziom sześciomiesięcznego dziecka, ale nie widząc jej, lekarz nie mógł stwierdzić, czy jedynie brakowało jej odpowiedniej ilości bodźców, czy chodziło o coś znacznie poważniejszego, na przykład uszkodzenie mózgu czy mózgową porażenie dziecięce. Joanna przechodziła pobieżne kontrole lekarskie, których wyniki były zadowalające, ale nigdy nie badał jej neurolog specjalizujący się w psychicznych i fizycznych problemach wcześniaków. Nie wiedzieliśmy też, czy w jej rodzinie zdarzały się choroby serca, problemy z tarczycą, depresje, choroby psychiczne czy przypadki nadużywania substancji odurzających. A biologiczny ojciec mógł równie dobrze być duchem.

W czerwcu, zanim jeszcze wyruszyliśmy do Polski, Renata umówiła specjalistę z Olsztyna, by zbadał Joannę. Zorganizowaliśmy z tej okazji konferencję telefoniczną, w której wziął udział nasz neurolog oraz Erika jako tłumacz. Polski lekarz przeprowadził ciąg testów sprawdzających motorykę Joanny, jej zdolność utrzymywania równowagi, siłę i koordynację ruchów. Wprawdzie wszystkie wyniki wypadły poniżej normy, lecz lekarz, ku naszemu zdumieniu, wydawał się optymistycznie nastawiony. Według niego Joanna potrzebowała wyłącznie większej stymulacji.

Neurolog, z którym konsultowaliśmy się w Stanach, nie był przekonany do

tej teorii, ale też nie miał do czynienia z małą. Bardzo chciałem wierzyć polskiemu lekarzowi, jednakże obawiałem się pokładać zbyt wielką nadzieję w słowach człowieka, którego nie znałem.

*

Gdy ponownie zwolniliśmy przed wyprzedzeniem kolejnego poruszającego się niecałe dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę pojazdu, zerknąłem na zegarek. Było wpół do trzeciej. O trzeciej mieliśmy być w sierocińcu. Odnosiłem wrażenie, że przebyliśmy drogę dzielącą nas od adopcji w tempie przyspieszonym – zbyt dużym, byśmy mogli cokolwiek zarejestrować – i teraz tylko minuty dzieliły nas od naszej córki. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak to będzie trzymać ją w ramionach, słyszeć wydawane przez nią dźwięki, poznać jej charakter czy widzieć, jak na nas reaguje.

Punktualnie o trzeciej wjechaliśmy do Mrągowa, malowniczego miasteczka liczącego dwadzieścia trzy tysiące mieszkańców, przycupniętego między wodami jezior Czos i Juno. Marian skierował się wprost do domu dziecka, gdzie miał nas zostawić. Umówiliśmy się, że odbierze nas później i zawiezie do hotelu. Gdy minęliśmy bramę, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Poczułem wprawiające w pewne zakłopotanie połączenie ulgi, że niebawem zobaczymy Joannę, z ukłuciem strachu, że nie spełni ona naszych oczekiwań. Erika zdawała się skrywać zdenerwowanie za maską, z której emanowały spokój, pogoda ducha, a nawet lekka wesołość. Dla mnie szklanka była zawsze w połowie pusta, dla niej do połowy pełna.

Sierociniec przypominał internat – był to trzypiętrowy otynkowany na beżowy kolor budynek pokryty czerwoną dachówką. Musiał pochodzić z czasów przed nastaniem komunizmu, ponieważ w niczym nie przypominał ponurych, przygnębiających, czysto użytkowych bloków z betonu, tak charakterystycznych dla powojennej architektury. Na okalającym go terenie w otoczeniu licznych olch rósł wielki dąb. Przed budynkiem stała metalowa huśtawka ze zjeżdżalnią i piaskownica. Do ściany ktoś przykręcił obręcz kosza do gry w koszykówkę. Na trawie leżało kilka rowerów i dziecięcych trójkołowych rowerków. Wszystko to napawało optymizmem.

Po drugiej stronie ulicy, prześwitujące między liśćmi dębu, pobłyskiwały w palącym słońcu wody Juno. Na brzegu samotny staruszek łowił ryby, a jakaś

młoda para wiosłowała, przecinając kajakiem taflę jeziora. To wszystko wydawało się znajdować na wyciągnięcie ręki, lecz czy dzieci rzeczywiście mogły cieszyć się tymi atrakcjami?

Grupka chłopców stojących na tarasie na drugim piętrze śledziła każdy nasz krok. Renata odwróciła się do Eriki i powiedziała coś po polsku. Z całej wypowiedzi zrozumiałem jedynie słowo „*nienormalne*”. Podejrzywałem, że Renata przypominała o niepełnosprawności większości podopiecznych domu dziecka. Już kilka miesięcy wcześniej opowiadała nam o dzieciach specjalnej troski. Czoło pokrył mi pot.

Czy Renata była z nami całkowicie szczerą co do stanu zdrowia Joanny, a może coś ukrywała, wiedząc, jak bardzo się zaangażowaliśmy? Teraz nie mogliśmy się już wycofać. Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy, gdybyśmy coś takiego zrobili. Już zawsze myślałbym o tej dziewczynce.

Gdy podjeżdżaliśmy, przyjrzałem się uważniej chłopcom z tarasu. Gapili się i wskazywali nas palcami. Większość z nich wyglądała na koniec szkoły podstawowej, może początek średniej. Starszy chłopiec wyglądający na jakieś szesnaście lat, wysoki i szczupły, o oliwkowej skórze, uśmiechnął się, jakby myślał, że przyjechaliśmy po niego. Jego młodszy kolega, na oko dziesięcio- lub jedenastoletni, który miał nogi w szynach ortopedycznych i chodził o kulach, przerzucając przy tym powykręcane ciało z boku na bok, puścił na chwilę kulę, by nam pomachać. Jeszcze inny osunął się zgarbiony na wózku inwalidzkim z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu. Musiał przejść jakąś neurologiczno-mięśniową chorobę, w wyniku której został sparaliżowany.

Chociaż Renata ostrzegła nas, że widok tych dzieci może być przybijający, bliskie spotkanie z nimi mocno mnie poruszyło. Czułem się dziwnie, miałem wyrzuty sumienia, a nawet odniosłem wrażenie, że te dzieci są w jakiś sposób odpychające. Zastanawiałem się, jak często musiały czuć zawód z powodu ludzi, którzy przyjeżdżali tu i odchodzili ze znacznie młodszymi podopiecznymi domu dziecka. Uśmiechnąłem się do nich półgębkiem i pomachałem nieśmiało przez uchyloną szybę samochodu. Zareagowały ekscytacją na sam fakt, że dostrzegłem ich obecność, i zaczęły machać gwałtownie w odpowiedzi, jakby starały się powiedzieć: „Mnie, mnie, wybierz mnie!”.

Erika nie wydawała się przejęta widokiem dzieci na tarasie. Spojrzała na nie przelotnie, zachowując przy tym pełny spokój, pomachała im i chwyciła mnie za rękę.

– To już tu.

Mając ciągle przed oczami widok tych upośledzonych dzieci, poczułem kolejny przypływ lęku o stan zdrowia Joanny i zerknąłem na siedzącą obok Erikę. Była spokojna.

Oddychaj.

Gdy wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy w stronę wejścia, zacząłem odmawiać w myślach cichą modlitwę.

4

W holu powitała nas przysadzista kobieta z zarumienionymi policzkami, ubrana w biały fartuch laboratoryjny. Sądziłem, że to kierowniczką ośrodka albo jedną z wyżej postawionych pracownic, ale Renata wyjaśniła, że mamy przed sobą wychowawczynię. Kobieta miała na imię Danuta.

Kiedy wymienialiśmy nerwowe uśmiechy, ukłony i „*dzień dobry*”, zerknąłem nad ramieniem Danuty, żeby przyjrzeć się uważniej temu, co było domem Joanny. W korytarzu widocznym z wejścia nie dostrzegłem żadnych dzieci, zacząłem się więc zastanawiać, gdzie mieszkają. Czułem się trochę niekomfortowo, myśląc, że zobaczę inne pomieszczenia sierocińca czy miejsce, w którym stało łóżeczko Joanny. Być może lepiej się stało, że jej pokój pozostawał wytworem mojej wyobraźni, może dzięki temu uniknąłem rozczarowania.

Danuta sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej, gdy prowadziła nas do pokoju dla gości i wskazała miejsce na sofie. Wyciągnęła z kredensu filiżanki do herbaty i spodeczki, cały czas kiwała przy tym głową i mówiła Erice coś, czego nie rozumiałem. Wyglądało to tak, jakby starała się wyrzucić na nas dobre wrażenie w równym stopniu, co my na niej. Odetchnąłem z ulgą. Bałem się, że ludzie z domu dziecka okażą się opryskliwymi gburami, zazdrosnymi, że amerykańska para porzywa im dziecko.

Pokój dla gości był jasnym i przyjemnym pomieszczeniem pomalowanym na kolor jasnoróżowy, niemal cielisty. Na ścianach wisały obrazki przedstawiające postaci z polskich kreskówek – wesołego kotka, księcia na koniu, królową trzymającą filiżankę, toreadora w natarciu. Na półkach znajdowały się rośliny w doniczkach, książki, pluszowe zwierzątka, wielki rudy klaun, lalka ze złotymi kitkami w różowej sukience oraz ustawione w szeregu rosyjskie matrioszki. Miejsce pośrodku pokoju zajmowało wielkie metalowe biurko. Danuta usiadła za nim, a Renata na stojącym obok krześle i natychmiast pograżyły się w rozmowie. W wystroju wnętrza zadziwiła mnie

jedna rzecz – umywalka łazienkowa zamontowana w rogu przy ścianie, a obok niej ręczniki, mydło i szampon.

Być może z oszczędności pogaszono wszystkie światła. Nie było też klimatyzacji ani nawet wiatraka. Przez otwarte okno miało wpadać świeże powietrze, ale powietrze na zewnątrz stało. W oknie nie rozpięto siatki, więc muchy swobodnie wlatywały do środka i wylatywały. Gdzieś z oddali dochodziły z radia polskie pieśni chóralne. Wszyscy pociliśmy się z powodu upału, a niektórzy z nas dodatkowo z nerwów.

Byłem otępiały i zdezorientowany za sprawą bariery językowej i dwóch tabletek mocnych środków przeciwbólowych, które połknąłem wcześniej. Zapytałem Eriki:

– Co się dzieje?

– Muszą obudzić ją z drzemki, Danuta spytała, czy chcemy herbaty.

– I co jej powiedziałaś?

– Że tak.

Erika zwróciła się do Danuty, podczas gdy ta robiła herbatę. Sprawiała wrażenie, jakby nie rozmawiały o niczym szczególnym. W pewnym momencie Erika zaśmiała się szczerze, Danuta także i w jednej chwili zaczęła wyglądać na bardziej odprężoną. To chyba był dobry znak.

– Co powiedziałaś? – zapytałem.

– Zapytałam o zdrowie Joanny, a Danuta wyjaśniła, że męczy ją lekki katar. Wtedy powiedziałam, że zawsze mam w torebce całą stertę leków, więc Joanna będzie miała dobrą opiekę.

– Chciałaś powiedzieć Casey.

– Dla nich ona nadal jest Joanną.

Renata i Danuta pochyliły się nad biurkiem i zaczęły szeptać. Danuta pokiwała głową w reakcji na coś, co powiedziała Renata, i wyglądała przy tym na mocno spiętą.

Nachyliłem się w stronę Eriki.

– O czym one rozmawiają?

Erika nastawiła uszu.

– Nie jestem pewna. Mówią coś o przygotowaniu dokumentów na jutro.

W duchu podziękowałem Bogu za Renatę.

Erika wyciągnęła z dzinsowej torby na pieluchy niewielką różową piszczącą lalkę w białym czepku. Siedząc obok mnie, bawiła się rękami i nogami tej lalki. Fryzurę miała w nieładzie, nastroszoną od upału, i teraz zaczęła się

wachlować lalką. Nawet jeśli była zdenerwowana, wcale tego nie okazywała. Chór w radiu zamilkł, a odezwał się spiker, prawdopodobnie zaczęły się wiadomości.

Odsunąłem od siebie na chwilę niepokoje związane z upośledzonymi dziećmi, które widzieliśmy wcześniej. Atmosfera tego pokoju wpływała na mnie kojąco. Życzliwe nastawienie i gościnność personelu wydawały się szczere. Wszystko przebiegało tak, jak na to liczyłem.

Ustawiłem kamerę na kredensie i nacisnąłem przycisk nagrywania. Danuta poszła sprawdzić, jak się miewa Joanna, a Erika postanowiła poszukać łazienki. Zostałem sam na sam z Renatą i starałem się podtrzymać rozmowę, ale myślami błądziłem gdzie indziej. Nie mogąc palić, Renata wydawała się nerwowa, a gdy na mnie spojrzała, sprawiała wrażenie naprawdę chorej.

– Mówią, że jutro rano będą mieć dla nas wszystkie dokumenty.

– Och. *Dobrze* – wypróbowałem jedno z zapamiętanych polskich słówek.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– *Bardzo dobrze* – powiedziała, a widząc wyraz niezrozumienia na mojej twarzy, powtórzyła to po angielsku.

– No tak. – Próba poprowadzenia niezobowiązującej rozmowy po polsku sprawiła, że poczułem się głupio.

Staliśmy naprzeciw siebie przez kilka minut, aż zaczęło się robić niezręcznie. Renata wyglądała na zaniepokojoną. W tym momencie otworzyły się drzwi. Wróciły Danuta z Eriką. Widząc żonę, rozluźniłem się nieco i przestałem się czuć beznadziejnie. Mimo to noga drżała mi w sposób niekontrolowany. Erika objęła mnie czule, uśmiechnęła się pocieszająco, a potem zaśmiała lekko.

– Jak możesz być tak spokojna? – zapytałem.

– Wyglądam na spokojną? Mam wrażenie, że cały czas dygoczę. Wiesz, że gdy robię się nerwowa, zaczynam się śmiać.

– Prawda. – Ująłem jej dłoń. Była chłodna i wilgotna.

Drzwi znów się otworzyły, a my spojrzeliśmy w ich stronę, oczekując nadejścia kogoś z Joanną. Zamiast tego w progu stanęła znana nam z dostarczonej przez FedEx fotografii kobieta. Rozpoznałem w niej opiekunkę, która trzymała Joannę na rękach. Była śliczna i tak przyjazna, jak to sobie wyobrażałem na podstawie zdjęcia.

Erika powiedziała coś do niej, wskazując na siebie i na mnie. Kobieta uśmiechnęła się, kiwając głową w naszą stronę ze zrozumieniem. Erika

obróciła się w moją stronę.

– Ma na imię Karina. Powiedziała, że za chwilę przyniosą Joannę. Właśnie zmieniają jej pieluszkę.

Nerwy miałem napięte jak postronki, zacząłem więc bawić się drobnymi w kieszeni i sprawdziłem raz jeszcze kamerę, by mieć pewność, że wszystko się nagrywa. Aż wzdrygnąłem się na myśl, że mógłbym przegapić ten wspaniały moment. Gdzieś w oddali rozległ się płacz dziecka, od którego krew krzepła w żyłach.

– Może to ona – rzuciłem do Eriki, starając się pokryć zdenerwowanie żartem.

Herbata stała już na stole, ale nawet jej nie tknęliśmy.

Do pokoju weszła kolejna kobieta w białym kitlu. Była starsza – miała około sześćdziesiątki – przysadzista, blada, z trochę krzywymi zębami i siwymi włosami. Trzymała ciche niemowlę.

Joannę.

Siwowłosa kobieta uniosła ją w naszym kierunku, uśmiechając się przy tym, jakby pokazywała nam wystawowego pieska.

Byłem oczarowany.

Joanna wyglądała dokładnie jak na zdjęciu, lecz teraz była ubrana w różową koszulkę i krótkie spodenki, a na nogach miała przybrudzone białe skarpetki za duże przynajmniej o rozmiar. Danuta i Karina wyraźnie się ożywiły i uśmiechnęły na widok małej, a potem zaczęły robić do niej miny i posyłać jej całusy. Wydawały się mocno do niej przywiązane.

Erika, Renata i ja zbliżyliśmy się do siwowłosej kobiety, która nadal trzymała Joannę w ramionach. Ta natychmiast podała cichutkie zawiniątko Erice, która wzięła małą na ręce i zaczęła kołysać, lecz dziewczynka nie zareagowała, jakby starała się zrozumieć znaczenie tego, że znana jej opiekunka nagle przekazuje ją zupełnie obcej osobie.

Erika zagruchała do małej po polsku „*kochana*”, a potem podała jej różową piszczącą lalkę, którą Joanna chwyciła i ścisnęła pulchną rączką. Renata cofnęła się, opierając dłonie na biodrach, i skinęła głową w stronę Joanny, jakby chciała powiedzieć: „Wspaniała, prawda?”. Wyglądała przy tym jak dumna babcia. Ja tylko przyglądałem się Joannie.

Zmieniła się nieco od marca, kiedy zrobiono zdjęcie. Jej główka wyraźnie się zaokrągliła, ale zadarty nosek, wydatne czoło, pełne różowe policzki i wąskie czerwone usta wyglądały tak samo. Miała szaroniebieskie oczy

i delikatne jasne włosy. Gdyby koszulka, którą miała na sobie, była niebieska, a nie różowa, można by ją wziąć za ślicznego chłopczyka. Wszystkie palce u stóp i rąk wydawały się być na miejscu. W jej wyglądzie nic nie mogło budzić niepokoju.

Była doskonała.

Erika trzymała Joannę w ramionach, przemawiała do niej dziecięcym głosem po polsku i kołysała w górę i w dół. Wydawała się intuicyjnie wiedzieć, co robić, natomiast ja stałem obok, czując skrępowanie. Nie tak to sobie wyobrażałem – nie było żadnych świateł, żadnych szlochów. Nie popłynęła nawet jedna łza. Zdawało mi się, że powinienem coś poczuć, ale ku własnemu zdumieniu stwierdziłem, iż nic nie czuję. Wszystko to było odrealnione jak sen lub scena z filmu.

Joanna sprawiała wrażenie równie otumanionej jak ja. Nie dziwiło to zbytnio, zważywszy że przerwano jej drzemkę. Było jej zimno i właśnie oddano ją w ramiona dwójki zupełnie obcych jej ludzi. Była trochę ospała i zupełnie cicha. Nie okazywała żadnych emocji, ani jednego uśmiechu czy chichotu. Nic z tego, co się działo, nie przypominało moich wyobrażeń. Wyglądała na fizycznie zdrową, ale cisza mnie niepokoiła. Czy to było normalne?

Przyglądała mi się w skupieniu, jakbym był kosmitą. Jej szeroko otwarte oczy ani na chwilę nie przestały mnie śledzić, tymczasem krążyłem wokół niej jak człowiek sprawdzający nowy samochód przed zakupem. Główka Joanny obracała się za mną wszędzie, niezależnie od tego, gdzie się zatrzymałem, ale jej twarz ani przez moment nie wyrażała żadnych uczuć. Może po prostu nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny. W domu dziecka pracowały same kobiety. Przyglądaliśmy się tak sobie, aż w końcu zaśmiałem się nerwowo. Co też sobie myślała, tak się we mnie wpatrując?

Wokół mnie toczyły się pełne ekscytacji i śmiechu rozmowy. O czym te kobiety rozmawiały? Nabrałem przekonania, że powinienem przyjechać przygotowany, mieć jakieś pytania. Co wiadomo o jej matce? Kim był tajemniczy ojciec? Jak Joanna spędzała dni? Czy zawsze była taka cicha? Ale w moim umyśle nie pojawiła się żadna myśl. Nie mogłem ryzykować, że popsuję nastrój, skoro wszystko wydawało się iść tak dobrze. Może po prostu ogarniała mnie paranoja.

Pracownicy mówiły o małej zdrobniale – Asia lub Joasia. Twarzyczka Joanny rozjaśniła się po raz pierwszy nieśmiałym uśmiechem, gdy Karina

zagruchała do niej „Asiu”, jakby była szczeniakiem. Renata poklepała mnie po ramieniu i popchnęła w stronę Joanny. Przez cały ten czas nie dotknąłem małej.

– Kochanie, masz, potrzyмай ją. – Erika podała mi dziecko. – Spokojnie, nie połamie się.

Nie miałem prawie żadnego doświadczenia z dziećmi, czasem tylko trzymałem przez kilka chwil swojego siostrzeńca, a potem szybko oddawałem go matce z uczuciem ulgi, że go nie upuściłem i nie spowodowałem wybuchu płaczu. Teraz więc wziąłem Joannę niezdarnie z rąk Eriki, jedną ręką przytrzymałem jej główkę, a drugą sztywno pupę, żeby nie przeleciała mi przez ramiona.

Ważyla więcej, niż sądziłem. Modliłem się, żeby nie zaczęła płakać, ale nadal była cicho, ścisnęła tylko mocno różową lalkę i odchyliła głowę ze wzrokiem wciąż utkwionym we mnie. Zachowywaliśmy się jak para nieznanym, z których jedno panicznie bało się upuścić drugie. Niepewnie przytknąłem nos do jej cienkich jasnych włosów i wciągnąłem delikatny zapach talku i olejku dla niemowląt.

Po kilku minutach, które ciągnęły się jak godziny, Erika wzięła ode mnie Joannę i posadziła ją na podłodze, żeby sprawdzić jej zdolności motoryczne, ale mała od razu upadła. Erika ustawiła ją potem na czworakach, lecz w chwili, gdy przestała podtrzymywać Joannę, ta natychmiast opadła na brzusek i zaczęła płakać. Erika podniosła ją, przytuliła i pocałowała, przemawiając przy tym kojąco jak prawdziwa matka.

Joanna była bardzo słaba, co zgadzało się z diagnozą postawioną kilka miesięcy wcześniej przez polskiego neurologa. Ale poza problemami z motoryką wydawała się zdrowsza, niż się spodziewaliśmy. Niemożliwe, żeby była upośledzona. Musiało chodzić o brak odpowiedniej stymulacji w sierocińcu, tak jak mówił lekarz w czasie rozmowy telefonicznej. Potrzebowała po prostu dwójki oddanych, kochających rodziców, którzy zajęliby się nią odpowiednio.

Joanna zaczęła wiercić się w ramionach Eriki, a jej twarz się wykrzywiła. Trzeba było jej zmienić pieluszkę. Erika powiedziała coś do siwowłosej kobiety, a ta pokiwała głową w odpowiedzi.

– Kochanie, zmienię jej pieluszkę. Zaraz wracam.

Gdy Erika wychodziła za starszą kobietą, Joanna przyglądała mi się znad jej ramienia. Uśmiechnąłem się i pomachałem jej, kiedy zniknęła za drzwiami.

Było to nasze ostatnie spotkanie tamtego dnia. Nasza wspólna podróż miała się rozpocząć dopiero następnego ranka, a ja bardzo żałowałem, iż nie mogłem jej przekazać, że ostatni raz spędza noc w samotności. Nie mieliśmy zamiaru jej zostawiać.

Poczekaj tylko do rana. Wrócimy. Obiecuję.

Stałem pośrodku pokoju, spoglądając na otaczające mnie Renatę, Danutę i Karinę. Przyglądały mi się, uśmiechały, a ja starałem się jakoś zrozumieć to wszystko, co widziałem, słyszałem i czułem przez ostatnią godzinę. Nie mieliśmy wspólnego języka, ale ich pełne otuchy spojrzenia sprawiały, że czułem, jak chcą mnie pocieszyć i dać mi do zrozumienia, że będzie dobrze. Podjęliśmy właściwą decyzję. Z Joanną wszystko będzie w porządku.

Odetchnąłem głęboko, zbierając jednocześnie myśli. Nawet gdybym znał polski, wątpię, czy udałoby mi się ubrać w słowa to, co czułem. Potrzebowałem czasu, by oswoić się z tą sytuacją. Było gorąco, a ja miałem wrażenie, że nogi mam z galarety. W takim stanie zastała mnie Erika, gdy wróciła do gabinetu. Ciszę przerwała Renata, która poprowadziła nas w stronę drzwi.

– Musimy wracać do hotelu. Marian czeka już w samochodzie. Przyjedziemy jutro.

*

O ósmej rano następnego dnia byliśmy z powrotem w sierocińcu, tym razem żeby zabrać Joannę w długą drogę do Warszawy, która miała się rozpocząć po nocy spędzonej w hotelu Orbis. Renata kończyła załatwiać z dyrektorką sierocińca dokumenty dające nam czasową opiekę prawną nad Joanną.

Rodzicami małej mieliśmy się stać dopiero po rozprawie zaplanowanej na kilka dni później, zakładając oczywiście, że sąd uznałby nas za odpowiednich kandydatów na rodziców. Dopiero potem mogliśmy się zająć zorganizowaniem badań medycznych dla Joanny i wystąpić dla niej o wizę w ambasadzie amerykańskiej, by ostatecznie móc wyjechać z naszą nową córką do Stanów. Renata zapewniała, że nie będzie żadnych kłopotów, a ja modliłem się, by miała rację.

Erika ubrała Joannę w przywiezione przez nas rzeczy – różowy sweterek, obszyte koronką skarpetki do kostek i chroniącą przed słońcem czapeczkę

w niebieskie paski. W jednej chwili mieliśmy przed sobą czarującą małą panienkę. Danuta, Karina i siwowłosa kobieta poprowadziły nas przez korytarz do głównego wyjścia. Renata i Marian ruszyli w stronę samochodu. Kobiety miały w oczach łzy.

Nie ulegało wątpliwości, że Joanna była dla nich kimś wyjątkowym i że będą za nią tęsknić. Każda z nich wyściskała małą i wyciąłowała. Jedna z nich powiedziała po polsku „*Kocham cię*”. Erika powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, zalewając się przy tym łzami, a potem uściskała obie kobiety.

Przełknąłem głośno ślinę.

– Kochanie, proszę, przekaz im ode mnie, że Joannie nic nie będzie. Zapewnimy jej wspaniałe, bezpieczne życie.

– Właśnie im to powiedziałam. – Otarła oczy.

Ukloniłem się kobietom, składając dłonie w geście podziękowania. „*Dziękuję*”. Pokiwały głowami i pomachały mi. Na ten jakże znaczący moment czekałem.

Powiedzieliśmy wszystkim „*Do widzenia*”, zanim wcisnęliśmy się do małego nissana. Nie mieliśmy fotelika dla niemowląt, więc trzymałem Joannę mocno w ramionach na swoim siedzeniu za Renatą. Nadal była cicha i wyprana z wszelkich emocji, Erika wślizgnęła się obok, siadając za Marianem.

– Mam ją potrzymać?

– Nie, chcę ją mieć przez chwilę przy sobie. Potem ci ją oddam na jakiś czas. Będziemy się zamieniać.

Erika zaśmiała się i szturchnęła mnie w ramię. Zachowywaliśmy się jak dwójka dzieciaków walczących o to, kto ma się zajmować nowym szczeniakiem.

Odjeżdżaliśmy, oglądając się na budynek z czerwoną dachówką. Na tarasie stał samotnie szczupły wysoki chłopiec i patrzył w naszą stronę. Tym razem się nie uśmiechał. Po drugiej stronie ulicy między drzewami łyssały zielono wody jeziora Juno, a w oddali było widać ledwie rozróżnialne z tej odległości sylwetki kobiety i mężczyzny wiosłujących dzielnie w kajaku. Nieduży rosyjski gaz rozwożący pocztę przejechał nieopodal z warkotem, wyrzucając za siebie ciemne opary spalanej ropy. W Mrągowie nastał kolejny piękny, gorący letni dzień.

Ściągnąłem czapeczkę Joanny i ucałowałem jej małą główkę.

– Witaj, kochanie. Tatuś i mamusia już tu są. Wszystko będzie dobrze.

Jedziemy razem do domu. Już nigdy nie będziesz sama.

Spojrzała na mnie tak samo pozbawionym wyrazu wzrokiem jak poprzednio, a następnie wygięła szyję tak, że bez trudu mogłaby wyrzeć przez tylną szybę w stronę sierocińca i niktających w oddali opiekunek.

5

W Warszawie mieliśmy zarezerwowany dwuosobowy pokój w hotelu Forum, w którym zatrzymywali się europejscy turyści. O ile dobrze się zorientowałem, byliśmy tam jedynymi Amerykanami.

Przy wejściu do hotelu pożegnaliśmy się z Renatą i Marianem, a potem przeszliśmy przez hol z Joanną śpiącą w składanym wózek, kierując się ku windom. Zza kontuaru przyglądała się nam uprzejmie dobrze wyglądająca młoda para, która z powodzeniem mogła pracować w wydziale komunikacji.

Gdy dzień wcześniej wychodziliśmy z hotelu, byliśmy bezdzietni. Teraz prowadziliśmy dziecko w wózku spacerowym. Czy ci ludzie podejrzewali, że jesteśmy parą amerykańskich porywaczy polujących na polskie dzieci? Czy mieli zamiar donieść na nas władzom?

Czekając na windę, zerkaliśmy niepewnie, żeby sprawdzić, czy nadal nas obserwują, ale pracownicy hotelu zajęli się z powrotem spoglądaniem na ekrany swoich komputerów. Najwyraźniej wpadałem w paranoję. Erika stała obok mnie oparta o wózek. Włosy miała skręcone, a skóra błyszczała jej z powodu gorąca.

Patrzyłem na Joannę zwiniętą w wózku i zachwyciałem się tym, jak ślicznie wygląda po samej tylko zmianie ubranek. Przykucnąłem przy niej i zbliżyłem nos do jej małych ust. Erika przyglądała mi się zdumiona.

– Co robisz? – zapytała.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Upewniam się, że nadal oddycha. Jest taka cicha.

Erika przewróciła oczami. Wyprostowałem się.

– W samochodzie zachowywała się bardzo grzecznie. Prawie nie kwiliła.

– Tak.

Ciągnąłem, jakbym potrzebował się upewnić, że gdy byliśmy razem, wszystko będzie dobrze:

– Sądzę, że teraz, kiedy jest już z nami, najgorsze mamy za sobą. Jeśli tak

będą wyglądać jej drzemki, będę najszcześniejszym tatą na świecie.

– Nie licz na to – oznajmiła Erika. – Dzieci wymagają mnóstwa pracy.

Drzwi windy otworzyły się, a my wtoczyliśmy do środka wózek z jego ceną zawartością.

Wzruszyłem tylko ramionami, gdy Erika stwierdziła:

– Zaczynasz histeryzować.

Gdy weszliśmy do pokoju i zamknęliśmy za sobą drzwi, odetchnąłem z ulgą. Wreszcie byliśmy razem. Joanna otworzyła oczy i wyprostowała się w wózku. Przykucnąłem przy niej, by spojrzeć jej w oczy.

– Cześć, maleńka. Dobrze się spało?

Łypnęła na mnie i skrzywiła się w wózek. Na szczęście w tym momencie odezwały się instynkty macierzyńskie Eriki. Wypięła Joannę z pasów, wyjęła z wózka i spróbowała posadzić ją na łóżkach, które zsunęliśmy, lecz mała natychmiast upadła.

Podparliśmy ją poduszkami i wyłożyliśmy na łóżko cały zapas przywiezionych zabawek w nadziei, że zdołają rozbudzić jej zainteresowanie. Były tam plastikowe klocki, szmaciane książeczki, srebrna grzechotka, pluszowe zwierzątka, gumowa piłka, ale Joanna tylko się rozplakała. Zerknąłem na Erikę cały skamieniały.

– Boże, dziecko nam płacze. Co teraz?

Przez całe miesiące marzyłem o chwili, gdy będę miał okazję sprawdzić się jako ojciec idealny, a teraz czułem się zupełnie bezużyteczny.

Erika podniosła małą z łóżka i zaczęła szeptać do niej cicho i jednocześnie kołysać ją bardzo delikatnie. Ten ruch, na ile potrafiłem to ocenić, rozproszył uwagę Joanny na tyle, by przestała płakać.

W pokoju nie mieliśmy zbyt wiele miejsca na przechadzki, ale po tygodniu spędzonym w Polsce przywykliśmy już do tego, że wszystko tu jest małe i ciasne. Ponieważ w pokoju stała jedynie maleńka szafa i komoda, wszystkie bagaże trzymaliśmy rozłożone na podłodze. Hotelowe łóżeczko Joanny stało wciśnięte między nasze łóżka a ścianę, tak że został jedynie wąski przesmyk do łazienki.

Odetchnąłem z ulgą, widząc, że przynajmniej jednemu z nas nie brakuje naturalnych instynktów rodzicielskich. Dodam, że nie chodziło o mnie.

– Skąd wiesz, co robić? – zapytałem.

– Opiekowałam się swoim bratem Richardem, gdy był dzieckiem. Miałam wtedy dziesięć lat. Bardzo mi się to podobało, dopóki na mnie nie

zwymiotował.

Erika wkrótce zmęczyła się uspokajaniem małej. Joanna odkaszlnęła porcję flegmy, która zebrała się w wyniku przeziębienia. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy, a mnie brakowało odwagi, by jej dotknąć. Może należało wezwać lekarza, ale gdzie mieliśmy go szukać nocą w Warszawie? Erika odłożyła Joannę.

– Sprawdzę jej pieluszkę.

Czułem się jak idiota, jak zawsze, gdy zepsuł się samochód, a mnie przychodziło do głowy jedynie, by sprawdzić poziom oleju, jakby to miało w czymś pomóc.

Erika założyła jej świeżą pieluszkę, zmieniając staromodną tetkę na znacznie wygodniejszego pampersa, którego wystarczyło wyrzucić po użyciu. Joanna uspokoiła się na chwilę, lecz niedługo później znów podjęła przerwany koncert. Przyglądałem się temu bezradnie, czując, jak od jej piskliwego głosu wraca niedawno zaleczony ból głowy. Modliłem się, by ludzie zajmujący pokój obok nie usłyszeli niczego przez grube betonowe ściany. Stałem w przejściu przed naszymi łózkami, beznadziejnie nieprzydatny.

– Co teraz?

Erika zachowała spokój.

– Pewnie chce jej się jeść.

– Prawda. Świetny pomysł. – Miałem wrażenie, jakbyśmy występowali w filmie *Trzech głupków*, w scenach, w których przyszło im nagle opiekować się dzieckiem.

Pracownicy domu dziecka wyposażyły nas w baterię staromodnych szklanych butelek dla niemowląt pełnych zupy, mleka dla dzieci i innych płynnych posiłków. Joanna nadal ssała z butelki, mimo że czternastomiesięczne dziecko powinno już mieć jeść stały pokarm podawany łyżeczką. Erika wstała z łóżka i nie przestając uciszać małej, sięgnęła po porcję letniej zupy marchewkowej, a potem wetknęła Joannie gumowy smoczek do buzi. Podziałało. Joanna ucichła i zaczęła ssać. Bogu dzięki, pomyślałem, za kobietę, gdy jest się z dzieckiem w pokoju hotelowym w obcym kraju. Sporządziłem w głowie notatkę: Gdy dziecko płacze, wziąć je na ręce i ponosić trochę. Jeśli nadal płacze, zmienić pieluszkę. Jeśli i to go nie uspokoi, nakarmić. Tyle powinienem zapamiętać.

Gdy Joanna ucichła, mogłem znów pomyśleć. Moją uwagę zwróciły dwie pełne butelki stojące na komodzie.

– Kochanie, a co zrobimy, gdy skończy się ich zawartość?

Erika zerknęła na mnie zniecierpliwiona.

– Poszukamy sklepu, w którym będzie można kupić coś, co da się podać z butelki. – Po czym obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym udawanej wyższości i uśmiechnęła się szelmowsko. – Proszę, panie Mamciu, możesz ją karmić dalej. Ja muszę iść do łazienki. – I podała mi Joannę, która nadal pociągała z butelki.

Nigdy wcześniej nie karmiłem dziecka, poczułem się więc, jakby ktoś wręczył mi odbezpieczony granat. Ułożyłem małą niezgrabnie w zgięciu ramienia, starając się jednocześnie nie upuścić butelki. Gdy skończyła jeść, przymknęła do połowy powieki, a na jej buzi odmalował się wyraz błęgiego rozanielenia. Odstawiłem butelkę i rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym przetrzeć małej buzię, a w końcu, z braku lepszego materiału, zrobiłem to brzegiem własnej koszuli. Zaczęła mi się przyglądać tak jak w sierocińcu dzień wcześniej. *I co teraz?* Erika nadal była w łazience.

Podszedłem z małą do okna. Mieliśmy przed sobą rozległy widok na ponure, szare, chaotyczne miasto. Słońce zachodziło, a lekki smog nadawał temu widokowi delikatnie różową barwę. Po drugiej stronie ulicy wznosił się przypuszczalnie najbrzydszy budynek w Europie – Pałac Kultury i Nauki – wybudowany w latach pięćdziesiątych jako dar od Związku Radzieckiego.

Joanna spoglądała na ulicę zauroczona ruchem na dole, a rój małych samochodów i ciężarówek przemykających pod nami musiał wydawać się jej zbiorowiskiem zabawek. Erika wróciła z łazienki. Wyglądała na zmęczoną, ale szczęśliwą.

– Odbiło się jej?

– Odbiło? – Przypomniałem sobie, że czytałem coś na ten temat w książce o opiece nad niemowlakami.

Erika wywróciła oczami i zabrała Joannę, po czym ułożyła ją sobie na ramieniu.

– Dziecku po jedzeniu musi się odbić.

Kolejna uwaga do zapamiętania: Przeczytać jeszcze raz rozdział o odbijaniu się dziecka po posiłku.

Zadzwoiłem do recepcji i złożyłem zamówienie na kanapki, piwo i wrzątek, żeby rozrobić w nim mieszankę dla niemowląt, a potem zacząłem przerzucać kanały w telewizji. Nadawano kolejno: rosyjski teleturniej, niemieckie wiadomości, włoski mecz piłki nożnej, francuski program

publicystyczny, polski dokument o Hitlerze. Wreszcie znalazłem kanał CNN. Dzięki Bogu coś, co rozumiałem.

Erika włożyła Joannę do wózka i przypięła, żeby mała nie wypadła, a następnie ustawiła go mniej więcej metr od telewizora. Mała wpatrywała się w ekran bez mrugnięcia okiem, ewidentnie oczarowana cudami, które pokazywano w telewizji, i wiadomościami z całego świata. Opadłem na twarde łóżko wyczerpany, słuchając jednocześnie elektryzujących wiadomości na temat Borysa Jelcyna, pierwszego prezydenta Rosji wybranego w demokratycznych wyborach.

– Jak długo jesteśmy już rodzicami? Cztery godziny? Jestem wyczerpany. Nie mam pojęcia, jak przetrwam następnych osiemnaście lat.

Erika opadła obok mnie.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj.

Utkwiłem spojrzenie w leżącej w wózeczku Joannie oświetlonej migającym światłem z ekranu. Oglądaliśmy razem telewizję jak prawdziwa rodzina.

– Żartuję. Chciałem powiedzieć, że to dobre uczucie. Nie zrezygnowałbym z ani jednej minuty.

Zanim zjedliśmy przyniesioną kolację, była już prawie dziesiąta wieczorem. Joanna nadal wierciła się w wózku i ani myślała spać.

– Weźmy ją do łóżeczka.

Erika wypięła małą z wózka, sprawdziła jej pieluchę i położyła ją na brzuchu, nakrywając wełnianym kocem. Obok położyła różową piszczącą lalkę, pluszowego królika i jasiek wypchany gęsim pierzem, który kupiła w jednym ze sklepów z podarunkami w Warszawie.

Joanna zaczęła kopać i rzucać się jak żółw, próbując jakoś się ułożyć, a potem nagle podciągnęła się do pozycji klęczącej, opierając się na ramionach i kolanach. Zaczęła cicho mrużyć i kiwać się w przód i w tył ciągle na kolanach, wpatrując się przy tym prosto przed siebie. Przyglądaliśmy się temu przez szczebelki łóżka całkowicie oszołomieni. Joanna wydawała się nie zdawać sobie sprawy z tego, że jesteśmy z nią w tym samym pokoju. Wreszcie Erika wyszeptła:

– Mój Boże, ona chyba stara się ukołysać sama do snu. – Zacząłem przyglądać się małej. – Pamiętasz, tak samo zachowywały się dzieci w rumuńskich sierocińcach, które widzieliśmy w telewizji.

Erika miała na myśli reportaż 20/20, który obejrzelśmy mniej więcej rok wcześniej na kanale ABC News, o rumuńskich dzieciach porzucanych

w sierocińcach w wyniku absurdalnej polityki z czasów dyktatury Ceaușescu zmuszającej kobiety do rodzenia dzieci dla dobra kraju. Obraz poruszał do głębi – małe dzieci spętane kaftanami bezpieczeństwa, przykute do metalowych ram łóżek w ponurych, zimnych pomieszczeniach. Poturbowane psychicznie nastolatki pozostawione samym sobie, siedzące w ciszy, bujające się w przód i w tył, zaniedbane niemowlęta tonące we własnych oddechach, zbyt słabe, by płakać.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Joanna opadła na materac z płaczem. Może suchy kaszel nie pozwalał jej usnąć. Erika wyskoczyła z łóżka, wzięła małą na ręce i zaczęła delikatnie kołysać, starając się ją uciszyć, ale to tylko sprawiło, że płacz się nasilił. Teraz Joanna wrzeszczała rozdzierająco.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tak przejmującego szlochu. Czy ona nie miała gdzieś wyłącznika? Mieliśmy za sobą długi dzień i potrzebowaliśmy snu. Erika niestrudzenie kołysała małą w górę i w dół, w przód i w tył. Posadziła ją przed telewizorem, ale Joanna nie chciała się uspokoić.

Mniej więcej godzinę później, około jedenastej, wreszcie ucichła. Erika ułożyła ją ponownie na brzuchu w łóżeczku, ucałowała w gorącą, spoconą główkę, przykryła wełnianym kocykiem i przysunęła do jej twarzy jasek.

Popatrzyliśmy na siebie wyczerpani. Przez chwilę miałem wrażenie, że jesteśmy niczym dwójka saperów, którzy właśnie zdołali rozbroić zaimprovizowaną bombę. Zajrzałem przez szczelbelki dziecięcego łóżka ostrożnie, żeby nie obudzić Joanny, i nasłuchiwałem, jak oddycha. Miała zapchany nos, więc wciągała powietrze przez usta, jej oddech świszczał przejmująco.

– Biedactwo. Już nie będziesz w nocy sama – wyszeptałem.

A potem posłałem jej całusa.

6

Dwa dni po naszym powrocie z Mrągowa odbyła się rozprawa adopcyjna. Ponieważ nie mogliśmy zabrać Joanny ze sobą do sądu, obsługa hotelowa poleciła nam pewną dziewczynę, mającą na oko piętnaście lub szesnaście lat, do opieki nad małą. Nie byliśmy zachwyceni rozłąką z Joanną, ale nie mieliśmy wyboru. Erika zadała szybko dziewczynie kilka pytań po polsku i uznała, że można jej zaufać.

Sala sądowa była niewielka, za to bogato zdobiona. Stojące na podwyższeniu miejsce dla świadków, miejsca dla widzów i boazerię wykonano z mahoni. Prawnicy – sędzia, prokurator i Renata – mieli na sobie czarne togi z wełnianymi żabotami w kolorach fioletowym, czerwonym i zielonym. Do kompletu brakowało im tylko pudrowanych peruk. Poza nami w sali znajdowali się jeszcze dwaj ławnicy, protokolantka i tłumaczka dla mnie, jedynej osoby niemówiącej po polsku.

Panowała atmosfera pełna powagi. Siedzieliśmy z Eriką za długim stołem, mając naprzeciw siebie ławników i sędziego. Odnosiłem wrażenie, że wszyscy bacznie się nam przyglądają. Wyjątek stanowiła sędzia, która była zajęta przeglądaniem akt i rozmową z prokuratorem oraz Renatą. Starąłem się wyczytać cokolwiek z ich twarzy i tonu głosów, by zorientować się, jak może zakończyć się to przesłuchanie. Nie znaliśmy realiów polskich postępowań sądowych, musieliśmy więc wierzyć na słowo Renacie i zakładać, że naprawdę wszystko pójdzie dobrze. Modliłem się, by nasza prawnik miała rację.

Czułem, że moje dłonie są zimne i wilgotne. Erika chwyciła mnie za rękę, by dodać mi otuchy. Rozejrzałem się po sali w poszukiwaniu kogokolwiek, kto wyglądałby miło lub sprawiał wrażenie osoby dobrze do nas nastawionej, ale wszystkie twarze zdawały się srogie, niemal pozbawione wyrazu i nie zdradzały niczego. Gdyby nie Erika i Renata, czułbym się jeszcze bardziej bezradny.

Sędzia rozpoczęła rozprawę. Uznałem, że ma co najmniej czterdzieści lat, wyglądała na profesjonalną i władczą. Może sama była matką. Miałem nadzieję, że dzięki temu spojrzy przychylnie na naszą sprawę. Albo że chociaż polski Eriki zrobi na niej wrażenie. Ale sędzia odezwała się do nas z poważnym wyrazem twarzy. Tłumaczka wyszeptała mi do ucha, że właśnie przedstawia fakty dotyczące sprawy. Wtedy sędzia zwróciła się do mnie i coś powiedziała. Nachyliłem się w stronę tłumaczki.

– Sędzia chce, by zajął pan miejsce dla świadków.

Gdy się podnosiłem, Erika ścisnęła moją dłoń.

– Nie zapomnij oddychać.

Myśli kłębiły mi się w głowie, a w ustach zaschło, jakbym miał je pełne piachu. Spojrzałem na sędzię i poczułem się bardziej jak przestępca niż potencjalny rodzic adoptowanego dziecka. Zmierzyła mnie wzrokiem, a następnie odczytała jakiś dokument, oczywiście nic nie rozumiałem. Tłumaczka była jakieś trzydzieści centymetrów niższa ode mnie, więc pochyliłem się, by wysłuchać jej przekładu.

– Zapoznaje pana z przebiegiem rozprawy – wyjaśniła.

Sędzia powiedziała do mnie coś, co zabrzmiało jak pytanie.

– Co pan czuje do tego dziecka? – wyszeptała mi do ucha tłumaczka.

Sędzia spojrzała na mnie obojętnie. Zamarłem, a w głowie zawirowały mi tysiące myśli. Dopiero poznaliśmy Joannę, ale nie mieliśmy zamiaru pozwolić ją sobie odebrać. Niemniej byliśmy dla niej obcymi ludźmi. Czy powinienem skłamać? Czy zaprzepaściłbym w ten sposób pozytywny wynik tego przesłuchania? Powinienem przemyśleć to wcześniej.

Miałem wrażenie, że sędzia musiała czekać dobrą godzinę, zanim wyrzuciłem z siebie odpowiedź w stronę tłumaczki:

– Kocham to małeństwo. Od razu poczułem rodzącą się między nami więź.

Boże, to było takie głupie.

Sędzia zerknęła na tłumaczkę i zadała następne pytanie:

– Czy rozumie pan, że to dziecko będzie miało takie prawa, jakby było pana rodzoną córką?

Przełknąłem i skinąłem głową.

– Tak, wysoki sędzie.

Proszę, niech mnie pani polubi.

Kolejne pytanie. Schyliłem się, by wysłuchać tłumaczenia.

– Czy decyduje się pan przyjąć na siebie dożywotni obowiązek opieki

się tym dzieckiem i wychowania go?

Oczywiście, że tak, jeśli tylko pozwoli nam pani je adoptować!

– Tak, wysoki sędzie.

– *Dziękuję, proszę usiąść.*

Tłumaczka powiedziała, że sędzia pozwoliła mi wrócić na miejsce. Ukłoniłem się z szacunkiem i zrobiłem, jak mi kazała. Po mnie miejsce dla świadków zajęła Erika i błyskawicznie odpowiedziała po polsku na wszystkie pytania.

Mądrala.

Sędzia ogłosiła dwudziestominutową przerwę. Wyszliśmy z Eriką przed salę, a Renata została w środku. Siedzieliśmy sami w przestronnym korytarzu, a jedynym dolatującym nas dźwiękiem było echo kroków osób przechodzących w oddali. Czuję się wyczerpany, mimo że przesłuchanie trwało zaledwie kilka minut. Przytuliliśmy się w milczeniu.

Zacząłem przechadzać się niespokojnie z rękami wepchniętymi w kieszenie. Na pewno powstał jakiś problem. Może dostarczyliśmy niekompletne dokumenty. A może ministerstwo zabroniło zagranicznych adopcji. Joanna na pewno trafi z powrotem do sierocińca, a my wrócimy do domu sami.

W pewnej chwili usłyszeliśmy za sobą stukot obcasów o kamienną podłogę – nadchodziła Renata. Uśmiechnęła się i przywołała nas ruchem dłoni.

– Wszystko idzie dobrze – powiedziała.

Wracałem na salę rozpraw lekko oszołomiony. I znów te surowe twarze. Sędzia nakazała wstać Ericę i mnie, Renata poszła naszym śladem. Schyliłem się, by wysłuchać tłumaczenia wyroku odczytywanego przez sędzię.

– W sprawie z powództwa Johna R. Brooksa i Eriki Brooks z domu Borkowski, obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki, o adopcję nieletniej obywatelki polskiej Joanny Dymowskiej sąd postanawia, co następuje: (1) orzec o adopcji dziecka przez państwa Brooks, (2) nadać dziecku nazwisko „Brooks”, (3) zmienić imię dziecka na „Casey” i (4) wystawić nowy akt urodzenia.

Sędzia spojrzała na nas znad dokumentów i po raz pierwszy uśmiechnęła się ciepło.

– *Gratuluję, panie i pani Brooks!*

Nie mogłem uwierzyć. Czy to działa się naprawdę? Atmosfera w sali w jednej chwili zmieniła się z posępnej w radosną. Wszyscy zaczęli nam gratulować i kiwać głowami w wyrazie wsparcia. Erika, Renata i ja

uściskaliśmy się serdecznie.

Joanna Dymowska stała się oficjalnie Casey Joanną Brooks, a my w obliczu polskiego sądu i prawa zostaliśmy jej rodzicami.

Gdy rozprawę sądową mieliśmy już za sobą, udaliśmy się z Renatą na spotkanie z polskim neurologiem pediatrą, który miał zbadać Casey. Dopiero po uzyskaniu jego zgody mogliśmy wystąpić do ambasady amerykańskiej o wizę dla Casey i wrócić wreszcie do domu. W bardzo krótkim czasie przebyliśmy długą drogę i widzieliśmy na horyzoncie linię mety. Okazało się jednak, że konsultacja lekarska nie będzie czystą formalnością.

W 1987 roku administracja Reagana zakazała wjazdu do Stanów Zjednoczonych chorym na AIDS. Następnie, gdy do kraju dotarły przerażające historie o rumuńskich domach dziecka, Departament Stanu zastrzył standardy zdrowotne stawiane obcokrajowcom starającym się o amerykańską wizę. Gdyby okazało się, że polski specjalista nie zechce wystawić zaświadczenia potwierdzającego, że Casey jest zdrowa, to zgodnie z rozbudowanymi wytycznymi Departamentu Stanu, które, jak się dowiedzieliśmy, obejmowały znacznie więcej schorzeń niż tylko AIDS, nie moglibyśmy sprowadzić jej do domu.

Renata powiedziała nam, że ambasada kierowała do tej pani doktor wielu starających się o wizę. Nie była ona szczególnie serdeczną osobą, ale pracownicy ambasady mieli do niej zaufanie, a w sprawach adopcyjnych prowadzonych przez Renatę nie robiła nigdy problemów. Byliśmy pewni, że będzie nam sprzyjać.

Pani doktor prowadziła gabinet w eleganckiej dziewiętnastowiecznej kamienicy, jednej z nielicznych niezrównanych z ziemią w czasie wojny, stojącej przy trzypasmowej drodze przecinającej ekskluzywną dzielnicę Warszawy. Erika, Renata i ja siedzieliśmy cicho w poczekalni – Renata bawiła się papierosem, a Erika delikatnie bujała Casey w wózku w przód i w tył. Casey próbowała koić nerwy pocieraniem koniuszka nosa, aż skóra na nim stała się mocno zaczerwieniona i spierzchnięta. Podejrzewaliśmy, że nauczyła się tego w sierocińcu, gdzie z obawy przed zarazkami nie dawano dzieciom

smoczków.

W ciągu niespełna tygodnia, jaki minął od zabrania jej z domu dziecka, Casey poczyniła niebywałe postępy. Z cichego, ospałego dziecka zmieniła się w zdecydowanie bardziej świadomego otaczającego go świata, ekspresyjnego, wesołego i chętnego do pogawędek malca, mimo że na razie jej słownictwo ograniczało się do chrząknięć, pisków i niezliczonych „ba” i „da” wydawanych w różnych konfiguracjach.

Bawiła się hałaśliwie zabawkami, które jej podarowaliśmy, i z uwagą oglądała MTV, jedną z trzech anglojęzycznych stacji dostępnych w hotelu. Najbardziej zaś cieszyło nas to, że potrafiła wreszcie samodzielnie siedzieć, choć nie bez pewnego wsparcia poduszki. Łatwo wpadała w irytację i miewała objawiające się krzykiem napady złości, zwłaszcza gdy zbliżała się pora kładzenia jej spać, lecz podejrzewaliśmy, że zachowania te były typowe dla czternastomiesięcznego dziecka.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich kobieta w białym kitlu. Około pięćdziesięcioletnia, niska i szeroka w talii, miała surowe spojrzenie. Uniosła do oczu wiszące na szyi okulary do czytania i, mrużąc powieki, zerknęła na trzymaną w dłoni kartkę.

– Państwo Brooks? – Obrzuciła nas pozbawionym wyrazu wzrokiem i gestem zaprosiła do gabinetu.

Przez następne dwadzieścia minut przyglądałem się zdumiony jej działaniom. Posadziła Casey na wykonanym ze stali nierdzewnej stole do badań. Mimo że mała była coraz silniejsza, nadal miała problem z utrzymaniem równowagi na siedząco, jeśli nie mogła się o coś oprzeć. Lekarka obejrzała jej oczy, uszy, gardło i osłuchiwała płuca stetoskopem. Sprawdziła też reakcję spadochronową, a potem ustawiła Casey na czworakach, lecz mała opadła bezwładnie na stół. Lekarka zmarszczyła czoło. Zbadała koordynację ręka–oko i umiejętność zrobienia chwytu szczypcowego, a później odruchy Casey, ostukując jej kolana i łokcie młoteczką z gumową końcówką.

Wszyscy mówili uniesionymi głosami. Renata pochylała się nad panią doktor i gestykulowała, jednocześnie nie przestając tłumaczyć czegoś z przejęciem. Lekarka, z twarzą nadal pozbawioną wyrazu, powiedziała coś do Eriki. Ona tylko pokręciła przecząco głową. Casey zaczęła płakać. Lekarka zapisała coś w swoim notatniku z wyjątkowo srogim wyrazem twarzy. Poczulem, jak przyśpiesza mi puls. Nie wyglądało to dobrze. Żałowałem, że pani doktor nie widziała postępów, jakie Casey poczyniła, od chwili gdy zabraliśmy ją

z sierocińca.

Renata spochmurniała i sprawiała wrażenie zirytowanej. Zwracała się ostro do lekarki, gwałtownie przy tym gestykulując i od czasu do czasu wskazując na Casey. Lekarka słuchała beznamiętnie, po czym pokręciła głową. Erika wyglądała na zmartwioną. Renata poprosiła, byśmy poczekali z Casey na zewnątrz, podczas gdy sama miała rozmówić się z panią neurolog. Dopiero na korytarzu zacząłem dopytywać Erikę o przebieg rozmowy.

– Kochanie, co tam się działo, u diabła?

Erika tylko głośno westchnęła.

– Lekarkę niepokoi stan rozwoju Casey i jej zdolności motoryczne. To, że nie wykazuje reakcji spadochronowej i nadal nie radzi sobie z siadaniem.

Skrzywiłem się.

– Powiedziała, że Casey powinna już chodzić. Wspomniała nawet coś o tym, że główka małej jest lekko spłaszczona.

– Co? Żartujesz chyba? Myślałem, że w takie przesady wierzą tylko stare baby. – Erika wspomniała mi kiedyś, że w Polsce panował prawdziwy kult okrągłej główki u dziecka; jeśli małeństwo nie miało głowy w kształcie piłki, uważano, że jest brzydkie. Nie mogłem w to uwierzyć. – Więc według niej główka Casey jest brzydka, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Erika wywróciła tylko oczami i wzruszyła ramionami. Kilka minut później dołączyła do nas Renata. Paliła papierosa i wyglądała na pokonaną. Czekaliśmy, a ona tymczasem wzięła głęboki wdech, wypuściła z ust dym pod sam sufit i pokręciła głową. Poczulem dziwny ciężar na sercu. Czy ta wizyta nie miała być tylko formalnością? Renata zakaszłała i przegoniła dym sprzed twarzy.

– Powiedziała, że nie może wystawić zaświadczenia dla ambasady, więc nie dostaniemy wizy.

Staliśmy na korytarzu oszołomieni, powoli przyswajając słowa Renaty. Milczeliśmy wszyscy, bo Casey zajęła się właśnie żuciem rozgwiazdy – zabawki z kolorowych szmatek. Moje myśli zaczęły wirować.

W obliczu polskiego prawa Casey była teraz naszym dzieckiem, a według prawa międzynarodowego Erika i ja byliśmy obywatelami Stanów Zjednoczonych przebywającymi w Polsce na mocy wydanych na pewien czas wiz turystycznych. Casey natomiast była obywatelką Polski i nie miała wizy wyjazdowej. Nie mogliśmy zabrać jej do domu przed rozwiązaniem tego problemu, a zostać z nią w Polsce mogliśmy tylko tak długo, jak pozwalały

nam na to nasze wizy. Przez chwilę rozważałem szaloną koncepcję pozostania tu nielegalnie, ale mogło się to skończyć deportacją, więzieniem lub, co gorsza, utratą Casey.

Znów spojrzeliśmy na Renatę.

Zgasiła papierosa i powiedziała:

– Słuchajcie, musimy zdobyć opinię innego lekarza i będzie po problemie.

Humory nieco się nam poprawiły, gdy popatrzyliśmy na Casey zajętą teraz pocieraniem nosa szmacianą rozgwiążdą.

– Naprawdę? – zapytałem niepewnie.

– Umówię was na jutro do innego lekarza w szpitalu dziecięcym – rzekła pewnym głosem Renata. – Wszystko będzie dobrze. Znam dyrektora.

Ta kobieta nie przestawała mnie zadziwiać.

*

Następnego dnia wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy z Casey do Warszawskiego Szpitala dla Dzieci, gdzie mieliśmy spotkać się z dziecięcym psychologiem i uzyskać drugą opinię. Renata nie mogła pojawić się tam razem z nami, ale uspokajała, że damy radę załatwić wszystko samodzielnie, a badanie przebiegnie bez żadnych problemów. Jak dotąd bardzo sprawnie pomagała nam omijać kolejne przeszkody i prostować krzywe ścieżki. Teraz mieliśmy zmierzyć się z ostatnią trudnością na naszej drodze.

Podjechaliśmy pod imponujących rozmiarów budynek, długi na niemal całą przecznicę. Wybudowano go w osiemnastym wieku, ale nie zestarzał się z wdziękiem. Ponura fasada wyglądała, jakby nie czyszczono jej od dziesięcioleci. W oknach wywieszono czarne flagi. O co w tym chodziło? Czyżby ogłoszono żałobę? Zacząłem żałować, że nie nalegaliśmy na obecność Renaty.

Wysiedliśmy z taksówki i weszliśmy do głównego holu. Erika pchała przed sobą składaną spacerówkę, w której leżała Casey. Mała miała na sobie czapkę, wdzianko z falbankami i śpioszki do kompletu, a na stopach białe butki. Wyglądała w tym ubranku jak lalka z obrazka. Piąstki zaciskała na piszczącej różowej zabawce, którą daliśmy jej w sierocińcu. W holu nie świeciły się światła, było też niewiele osób, chociaż spodziewaliśmy się tłumów. Odezwałem się do Eriki:

– Zwróciłaś uwagę na czarne flagi wywieszane na budynku?
– Trudno ich nie zauważyć. Zastanawiam się, co to oznacza. – Wyglądała na spłoszoną.

W końcu dostrzegliśmy młodą kobietę siedzącą za biurkiem i podeszliśmy, by poprosić ją o pomoc. Przysłuchiwałem się bezradnie, jak Erika i recepcjonistka wymieniają niezrozumiałe dla mnie słowa. Potem kobieta wskazała, jak dojść do wind. Poszliśmy korytarzem w tamtą stronę, a upiorna cisza coraz bardziej wytrącała nas z równowagi. Gdy czekaliśmy na windę, nachyliłem się do Eriki.

– O czym rozmawiałyście?
– Zapytałam, w jakim celu powieszono te flagi.
– I?
– Wyjaśniła, że trwa strajk z powodu braku leków. Poza tym państwo ma problemy z wypłatą wynagrodzeń, dlatego szpital musiał zrezygnować z niektórych usług.

Doskonale.

Wcisnęliśmy się do rozklekotanej klatki rozmiarów budki telefonicznej wyglądającej, jakby skonstruowano ją w dziewiętnastym wieku. Szarpnięciem zamknąłem czarną kratę i nacisnąłem guzik piątego piętra. Winda ruszyła w górę. Mijaliśmy kolejne ciemne, puste piętra.

Natychmiast, jak zawsze w ciasnych czy zatłoczonych windach, dała znać o sobie moja klaustrofobia. Odkąd w 1985 roku utknąłem na godzinę w zatłoczonej, dusznej windzie w jednym z loftów na Dolnym Manhattanie, miałem poważne problemy z przebywaniem w zamkniętych pomieszczeniach. Zacząłem szukać na dachu wyjścia awaryjnego – w ten sposób starałem się uspokoić swoje lęki. Poczulem, jak pot spływa mi po plecach.

– Nie wiem jak wy, ale ja wracam schodami.

Erika położyła mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, kochanie. Oddychaj. Jesteśmy prawie na miejscu.

Kabina zatrzymała się gwałtownie na piątym piętrze. Energicznie otworzyłem drzwi, ciesząc się, że winda nie uwięziła nas między piętrami. Nie chciałem, żeby nasza córka widziała, jak jej ojciec dostaje ataku paniki z powodu klaustrofobii.

Weszliśmy w mrok obskurnego korytarza. Piętro wyglądało na opuszczone, w powietrzu unosił się stęchły zapach typowy dla budowli z czasów komunizmu, cierpka woń przywodząca na myśl pożar instalacji elektrycznej.

Pod jedną ze ścian stały łóżka, wózki inwalidzkie, chodziki i wózki do wydawania posiłków. Drugą połową korytarza można było przejść, ale byliśmy tu tylko my.

Szliśmy korytarzem, zaglądając z zaciekawieniem do każdego gabinetu w poszukiwaniu śladów życia, ale wszystkie świeciły pustkami. Poczuję się zaniepokojony.

– Naprawdę uważam, że trzeba było poczekać na Renatę. Wygląda, jakby szpital był zamknięty.

Erika zatrzymała się przy ostatnich drzwiach korytarza, zapukała delikatnie, po czym otworzyła. W środku, za zielonym metalowym biurkiem, siedziała atrakcyjna młoda kobieta w białym kitlu lekarskim. Wyglądała, jakby właśnie skończyła szkołę medyczną. Szepnąłem do żony:

– Może zna angielski.

Erika podeszła do niej i zapytała po polsku:

– *Przepraszam, czy panienka mówi po angielsku?*

Kobieta podniosła wzrok, wyraźnie poirytowana.

– Tak, a państwo kim są?

– John i Erika Brooks. Szukamy psychologa dziecięcego. Nasza prawnik, Renata, powiedziała, że zapisała nas na wizytę do lekarza, który ma zbadać naszą córkę.

Kobieta ożywiła się i wstała, by się z nami przywitać.

– Oczywiście. To ze mną są państwo umówieni. – Wyciągnęła palec w kierunku Casey. – A to kto?

Casey chwyciła palec, a kobieta delikatnie nim potrząsnęła. Mała się uśmiechnęła.

– To nasza córka Casey – wyjaśniła Erika. – Być może słyszała pani, że lekarz współpracujący z ambasadą prosił o drugą opinię przed wydaniem świadectwa zdrowia Casey, bez którego nie dostaniemy wizy.

– Tak, oczywiście. – Psycholog skierowała nas do pokoju badań. – Proszę. Przyjdę za chwilę.

Weszliśmy do małego ciemnego pomieszczenia. Na metalowym stole badań widać było żółtą kałużę, od której biła ostra woń. Dotknąłem ramienia Eriki.

– Kochanie, spójrz tam. Czy to jest to, o czym myślę?

Erika nachyliła się nad plamą, pociągnęła nosem i natychmiast odskoczyła.

– Mocz!

Psycholog, która właśnie weszła do gabinetu, zobaczyła naszą reakcję.

– Bardzo mi przykro. Nasz poprzedni pacjent miał problemy z pęcherzem. Jeszcze nie posprzątało. Mamy braki w personelu z powodu strajku.

Odwróciliśmy się plecami do stołu, tymczasem psycholog wypięła Casey z wózka i uniosła.

Spędziliśmy w gabinecie około pół godziny. Erika opowiedziała lekarce historię Casey, kładąc szczególny nacisk na budującą opinię polskiego neurologa, którą usłyszeliśmy w kwietniu, oraz szybkie postępy czynione przez Casey. Psycholog tylko kiwała głową, słuchając relacji mojej żony.

Przyglądaliśmy się z niepokojem, jak przeprowadza te same badania, które dzień wcześniej wykonała neurolog – sprawdzenie zdolności siadania, reakcji spadochronowej, chwytu szczypcowego i zdolności kognitywnych. Casey nadal była słaba i nie radziła sobie z wieloma zadaniami. Po pewnym czasie zrobiła się marudna i zaczęła płakać. Psycholog pomruczała do niej uspokajająco i przekazała w ramiona Eriki.

Nie odzywaliśmy się, wpatrując się w plecy młodej kobiety, która sporządzała notatki. Po chwili odwróciła się na krzesło w naszą stronę.

– Mała wyraźnie nie radzi sobie ze wszystkim, co potrafi przeciętne dziecko w jej wieku. – Oboje spojrzeliśmy na psycholog i skinęliśmy niechętnie głowami, przyznając jej rację. – Nie dziwi mnie zatem, że moja koleżanka ma zastrzeżenia, ale wydaje mi się, że to tylko przejściowe osłabienie wynikające z braku aktywności. – Uśmiechnęła się, a ja poczułem, jak wielki ciężar spada mi z serca.

– No i to bardzo dobry znak, że odnotowali państwo dużą poprawę w ciągu zaledwie kilku dni.

Znów pokiwaliśmy głowami energicznie niczym pacynki.

Dziękuję! Dziękuję!

– Przekażę neurologowi swoje spostrzeżenia. To powinno wystarczyć, żeby dostali państwo wizę dla córki. Powodzenia – podsumowała badanie.

Miałem ochotę ją ucałować.

– *Dziękuję! Dziękuję!*

– *Nie ma za co* – odpowiedziała również po polsku, uśmiechając się. – Mówi pan doskonale po polsku.

Alleluja. Mogliśmy wracać do domu.

Ponieważ skończył mi się urlop, musiałem wrócić do Connecticut. Erika została z Casey w Polsce jeszcze dwa tygodnie. Czas oczekiwania na wizę spędziły u ciotki Nusi i wuja Mariana mieszkających we Wrocławiu.

8

W ciągu kilku lat całkowicie weszliśmy w tradycyjne role rodzicielskie. Trudne przejścia okołoadopcyjne mieliśmy za sobą i nie marzyliśmy już o niczym innym, jak tylko o tym, by gdzieś osiąść i żyć razem normalnie. I przez większość czasu nam się to udawało. Znalazłem pracę w niedużej firmie inwestycyjnej, a Erika zamknęła swój zakład jubilerski, żeby zająć się Casey. Uznaliśmy, że po wszystkim, co przeszła, opieka nad małą dobrze jej zrobi.

Nigdy nie ukrywaliśmy przed Casey, że była adoptowana, ale ponieważ nie wiedzieliśmy niemal niczego o jej rodzicach biologicznych, stworzyliśmy własną wersję jej historii:

Twoja mama bardzo cię kochała, ale była biedna i nie mogła pozwolić sobie, by cię zatrzymać. Chciała zapewnić ci lepsze życie niż to, które mogłaby ci zaoferować. Mamusia i ja pojechaliśmy aż do Polski, żeby cię odnaleźć, bo Bóg chciał, żebyśmy byli rodziną.

Casey nigdy nie interesowała się tym jakoś specjalnie. Nigdy nie pytała o swoją matkę, nie chciała wiedzieć, czy miała rodzeństwo ani kto był jej biologicznym ojcem. Ku wielkiemu zaniepokojeniu Eriki nie interesowała się też polską kulturą, nigdy nie obejrzała trwających całe godziny nagrań z naszej podróży, a gdy kiedyś zapytaliśmy, czy nie chciałaby w przyszłości poznać swojej biologicznej matki, zbyła nas machnięciem ręki. Przyjęliśmy jej postawę bez zastrzeżeń, zostawiając jednak otwarte drzwi do dalszych rozmów, mając nadzieję, że pewnego dnia zdecyduje się przez nie przejść.

Z czasem dom dziecka stawał się odległym wspomnieniem. Liczyłem na to, że Casey zupełnie o nim zapomni. Teraz byliśmy rodziną i nie miało dla nas znaczenia, że nie była naszą biologiczną córką, przekazaliśmy jej więc wszystkie rodzinne historie. Próbowałem nawet ją przekonać, że wygląda jak moja mama we wczesnej młodości. Obie miały okrągłe twarze, jasną cerę i blond włosy obcięte na pazia. Dla mnie były identyczne. Ale nie miałem

pojęcia, jak nasze słowa zapadały w młody, chłonny umysł.

Zanim Casey ukończyła dwa lata, umiała już wszystko to, co jej rówolatki. Nie była już cichym, wycofanym dzieckiem, które poznaliśmy w sierocińcu, lecz szczęśliwą, czułą i inteligentną dziewczynką. Jej małą głowę porastała czupryna niemal białych włosów, tak delikatnych i miękkich, że bardzo łatwo się plątały. Zawsze rozczesywaliśmy te kołtuny bardzo ostrożnie, żeby nie wyrywać Casey włosów. Migdałowe oczy, niegdyś niebieskie, powoli zmieniły kolor na zielonobrazowy, a gdy mała się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się dołeczki.

Dreptała po domu jak pingwin i szybko opanowała zaskakująco rozbudowane słownictwo. Prawie zupełnie pominęła fazę gaworzenia, przechodząc od razu do budowania złożonych zdań. Mówiła wysokim głosem z lekkim śladem seplenienia, pamiątką po gotyckim podniebieniu, z jakim przyszła na świat. Przypominała Elmera Fudda. *Look* wymawiała jak „wook”, zamiast *crying* wychodziło jej „cwying”. Jej *birthday* brzmiało jak „buwfday”, a *Santa* jak „Thanta”. Jej śmiech chciało się zapamiętać na zawsze – otwierała przy tym szeroko buzię i śmiała się pełną pierśią, radośnie, prosto z brzucha: „Ha, ha, ha!”. Cudownie było to słyszeć.

Staraliśmy się wypełnić te pierwsze lata radością. Zapisaliśmy ją do przedszkola, organizowaliśmy spotkania z innymi dziećmi i niemal każdy weekend spędzaliśmy na jakichś rozrywkach. W upalne letnie dni chłodziliśmy się nad wodą, jesienią wdrapywaliśmy się na szczyt Talcott Mountain, by pokazać Casey piękne barwy rozlewające się w dolinie u naszych stóp. Zimą był czas sanek, budowania śnieżnych fortów i wycieczek do sklepów na spotkanie ze Świętym Mikołajem.

W 1995 roku przenieśliśmy się z Simsbury do San Francisco, gdzie dostałem posadę głównego księgowego w rozgłośni radiowej. W dzielnicy Marin County, w której zamieszkaliśmy, położonej tuż obok mostu Golden Gate, było mnóstwo dzieci i Casey natychmiast znalazła sobie grupkę nowych przyjaciół. Chodzili razem do zerówki i trzymali się przez szkołę podstawową. Zaczęliśmy uczęszczać do kościoła episkopalnego pod wezwaniem Świętego Stefana w Belvedere, a Casey zapisaliśmy do szkółki niedzielnej. Wszyscy byli bardzo serdeczni i przyjaźnie nastawieni, więc szybko zakochaliśmy się w tamtej okolicy.

Pierwsze lata w Kalifornii były dla Casey czasem odkryć. Była słodką istotą, która uwielbiała teatr. Gdy miała sześć lat, wystąpiła w teatrze

Playhouse w San Anselmo razem z grupą muzyczną, do której uczęszczała. Wykonała wtedy utwór *Give My Regards to Broadway*. Była też prawdziwym łakomczuchem. Uwielbiała grillowane ostrygi serwowane w Bodega Bay, małże z Santa Cruz, sushi na Nabrzeżu 39 oraz dim sum w Chinatown. Skończyła szkołę podstawową, zbierając entuzjastyczne pochwały od nauczycieli:

- To sama radość mieć ją w klasie!
- Taka rozsądna i dobrze wychowana!
- Energiczna i z charakterem!

Nauczyciele mówili, że to Casey zawsze wypatrywała nowych dzieci i witała je w klasie. To ona siadała obok dziewczynki, która była sama. To ona próbowała łagodzić wszystkie spory.

Ośmioletnia Casey, jak większość dziewczynek w jej wieku, jedną nogą tkwiła jeszcze w dziecięcej niewinności, drugą wkraczała już w świat spraw nastolatek. W jej pokoju walały się niezliczone pluszaki, klocki Lego, stał niedokończony domek dla lalek, brudne ubrania zalegały stertami, a wśród tego wszystkiego królował szczur Banjo. Zawsze miała przy sobie przywiezionego jeszcze z Polski jaśka. Ot, typowy pokój małej dziewczynki.

Pochłaniała te same książki, które kochały wszystkie jej równolatki – *Harry’ego Pottera*, *Władcę Pierścieni*, *Opowieści z Narnii*. Jednak to gry komputerowe przyciągały bardziej jej uwagę – *Super Mario*, *Yoshi* czy *SimCity*. Siadała z kolegami i koleżankami przed ekranem telewizora, a potem wszyscy w skupieniu naciskali przyciski konsoli i ruszali ich gałkami. Muzyczny gust Casey obejmował takie gwiazdy muzyki pop tamtych czasów jak Britney Spears, Spice Girls i Backstreet Boys. Bardzo przejmowała się wyglądem, a ubrania dobierała we własnym, niepowtarzalnym i nieco eklektycznym stylu. Rankami wybiegała z domu zazwyczaj w szkolnej bluzie i dzinsach, fioletowych skarpetkach i niebieskich tenisówkach Converse, które wiązała różnokolorowymi sznurówkami jak każdy dzieciak starający się odnaleźć swoją tożsamość bez zniechęcania do siebie pozostałych członków grupy.

Wszędzie nosiła fioletowy plecak JanSport obwieszony kolorowymi ozdobami niczym świąteczna choinka. Zwisiała z niego różowa świnka, piłka futbolowa, niewielka etykieta udająca nowojorską tablicę rejestracyjną, na której niebieską czcionką wypisano na białym tle CASEY, oraz gwizdek, który znalazł się tam na życzenie Eriki i miał służyć w razie niebezpieczeństwa. No

i przede wszystkim w plecaku zawsze miała karty z Pokémonami – Charmanderem, Squirtle’em, Jigglypuffem i ulubieńcem wszystkich, śmiesznym, żółciutkim, nieśmiałym Pikachu. Wymieniała się nimi ze swoją przyjaciółką Rebeką podczas lunchu.

*

Casey zdarzały się też niepokojące zachowania. W jednym z pierwszych listów, jakie Erika wysłała do mnie z Polski, gdy wróciłem do Stanów przed nią, przeczytałem, że Casey spanikowała, czując pod stopami trawę. Kiedy we Wrocławiu czekały na wydanie wizy dla Casey, spędzały czas w ślicznym małym ogrodzie wuja Mariana. Ogród był wypieszczony, rosła w nim bujna miękka trawa jak na polu golfowym oraz kwiaty, a część zajmowały grządki z warzywami. Jednak gdy Erika postawiła Casey na trawie, mała zaczęła histerycznie płakać i domagać się wzięcia na ręce. Czytałem gdzieś, że wcześniaki, a przecież Casey była wcześniakiem, mają wyjątkowo delikatną skórę. Niektóre muszą nosić ubrania z bardzo delikatnych tkanin, bo wełna i sztuczna przędza są dla nich zbyt szorstkie. Uznałem, że musiało chodzić o coś takiego.

Były też epizody napadów złości i wybuchów podobne do tego, którego świadkami byliśmy w hotelu Forum w Warszawie. Wystarczył drobiazg – czekanie na lody minutę za długo czy wyjście ze sklepu z zabawkami nieco zbyt wcześnie – by wywołać krzyk, furię i miotanie się po ziemi. Czasami po zwykłym położeniu Casey na noc do łóżka czuliśmy się jak tamtej pierwszej nocy w Warszawie – niczym para saperów.

*

Casey nie potrafiła bez walki uznać autorytetu, musiała mieć kontrolę nad wszystkim. Prośby, by posprzątała pokój, wstawiła naczynia do zmywarki, wyłączyła telewizor czy odrobiła pracę domową, często powodowały jej głośne protesty. Potrafiła wpaść w szal w sklepie, restauracji czy podczas wizyty u dziadków. Czasami nie umiałem powstrzymać się przed daniem jej klapsa, a potem wstydziłem się swojego postępowania.

Nie chodziło o częstotliwość tych awantur, bo Casey zachowywała się jak

aniołek nawet i przez tydzień, lecz o ich intensywność. Jej wybuchy zdawały się mieć źródło w bezdennej studni rozpacz i odnosiliśmy wrażenie, że nic nie może jej przynieść ukojenia, że po prostu musi wykrzyczeć z siebie to cierpienie.

Nie wiedzieliśmy, jak ją pocieszać ani jak chronić przed nią samą. Wyglądało to tak, jakby celowo odsuwała nas od siebie. A gdy podporządkowaliśmy się temu, wpadała w panikę ze strachu, że zostanie sama. Mimo to cały czas odpychała wszystko i wszystkich i próbowała sobie radzić sama z tymi napadami. Tak właśnie rozwiązywała swoje problemy.

Nigdy wcześniej nie widziałem równie toksycznej mieszanki gniewu i rozpacz u trzyletniego dziecka. I nie potrafiłem temu zaradzić.

Kilka lat później, mniej więcej w okolicy Bożego Narodzenia, gdy Casey miała osiem lat, ubłagała nas, żebyśmy zabrali ją i jej przyjaciółkę Tessę na lodowisko Yerba Buena w San Francisco. Była radosna, paradowała w czerwonej czapce z długim puszystym pomponem, w której wyglądała jak wesoły elf.

Gdy skończyliśmy zakładać dziewczynkom łyżwy, wyszły ostrożnie na lód, trzymając się za ręce. Wcześniej Casey jeździła na łyżwach tylko raz.

Chwiejąc się, wczepiła się w ramię Tessy. Wyglądała na lodzie jak jelonek Bambi starający się stanąć na nogach. Aż skuliliśmy się z Eriką na ten widok.

Zaledwie kilka minut później Casey straciła równowagę i panowanie nad łyżwami. Upadła do tyłu i uderzyła głową w lód. Niezbyt mocno, ale zerwała czapkę i chwyciła się za głowę. Leżała na środku lodowiska i płakała niepokieszona, a łyżwiarze mijali ją w pędzie. Tessa wyciągnęła do niej dłoń, lecz Casey odepchnęła ją i zwinęła się w kłębek, by nikt nie zobaczył, że twarz ma czerwoną jak burak. Erika podbiegła do niej i spróbowała postawić ją na nogi.

– Idź sobie! – wrzeszczała Casey. – Dlaczego mnie tu zaciągaliście? Nienawidzę was.

Wokół nas zebrał się spory tłumek. Tessa zaczęła płakać. Uklęknąłem, żeby pomówić z Casey. Odezwałem się niemal szeptem:

– Kochanie, posłuchaj. Musisz się podnieść. Proszę cię. Już dobrze. Pojedziemy do domu. Nic ci nie będzie.

Casey podniosła się powoli, odtrącając moją dłoń z nieprzyjemnym grymasem na twarzy – była zbyt dumna, by przyjąć pomoc. Schodziła z tafli chybotliwym krokiem. Musiała czuć się upokorzona, pewnie była zła na siebie

za scenę, którą urządziła, i przypuszczalnie zazdrościła Tessie, że ta zdołała opanować sztukę jazdy na łyżwach, z którą ona sobie nie poradziła.

Odwieźliśmy Tessę do domu, a potem wróciliśmy do siebie. Zatrzymaliśmy się na podjeździe. Casey siedziała przypięta pasami w swoim foteliku i cały czas się dąsała. Postanowiła nas ignorować. Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy w stronę drzwi. Erika weszła do domu, a ja zostałem na zewnątrz, czekając na Casey.

– Kochanie, chodź. Wejdz do środka. – Postąłem tak jeszcze chwilę, przyglądając się jej uważnie, ale nawet na mnie nie spojrzała. Wiedziałem, że gdybym poszedł z powrotem do samochodu, natychmiast by mnie odgoniła. – Dobrze, w takim razie idę do środka.

Jakiś czas później staliśmy z Eriką w kuchni. Bez słowa. Pokonani. Z sypialni Casey dobiegały nas stłumione dźwięki. Najwyraźniej weszła po cichu do domu i udała się od razu do siebie, gdzie zaczęła cicho płakać. Zakradliśmy się i zajrzeliśmy do środka.

Casey leżała na łóżku z twarzą schowaną w poduszce. Ciągle miała na sobie czerwoną kurtkę, a jasne włosy skołtuniły się niemiłosiernie. Stałem w progu i obserwowałem Erikę, która podeszła do łóżka i usiadła przy Casey. Chciała pogłaskać ją po plecach, ale Casey uniosła rękę tak, by mama nie mogła jej dotknąć.

– Kochanie, co się stało? – zapytała Erika.

Casey nawet na nią nie spojrzała.

– Przynieść ci coś?

Mała pokręciła głową.

– Chcesz zostać sama?

Przytaknęła.

– Dobrze, cukiereczku. Daj mi tylko kurtkę.

Casey pozwoliła ściągnąć z siebie ubranie i nie protestowała, gdy Erika głaskała ją przez jakąś minutę. Potem Erika pocałowała ją w głowę i wycofaliśmy się z pokoju.

Powiedziałem bezgłośnie „kocham cię” i posłałem jej buziaka. Ona tymczasem patrzyła niewzruszenie przed siebie i na ślepo szukała czegoś na łóżku, dopóki nie trafiła dłonią na poduszkę, w której natychmiast ukryła twarz. Ledwie zamknęliśmy za sobą drzwi, znów rozległo się chlupanie. Tamtej nocy Casey usnęła dopiero zmęczona szlochaniem.

Wydawało się, że ma w sobie nieskończone zasoby łez.

*

Urodziny napawały mnie i Erikę przerażeniem. Modliliśmy się, by udało się nam je przetrwać bez wybuchów. Casey bardzo często nie potrafiła nawet zdecydować, czy chce mieć przyjęcie. Podejrzewaliśmy, że skrycie zawsze ich pragnęła, ale nie było mowy o żadnych niespodziankach. Nienawidziła niespodzianek. Być może gdzieś w głębi czuła, że nie zasługuje na taką uwagę, albo starała się nas ukarać za okazywanie jej zbyt mało miłości. Może prawdziwe były oba powody. Wydawało się, że wszyscy muszą starać się ze zdwojoną siłą, by udowodnić swoje uczucia do niej.

Gdy Casey ustaliła już listę prezentów bożonarodzeniowych – a ułożenie jej było prawdziwym wyzwaniem, biorąc pod uwagę skłonność naszej córki do odwlekania wszystkiego i jej brak zdecydowania – trzeba było trzymać się jej w najdrobniejszych szczegółach. Wszelkie odstępstwa spotykały się z głębokim smutkiem i komentarzem w stylu „Nie o to prosiłam” czy „Dlaczego nie kupiliście mi tego?”, a potem następowała wyprawa do sklepu i niechciany przedmiot był wymieniany na gotówkę. Nie dość, że nie udało się nam nauczyć jej okazywania wdzięczności, to nie zdołaliśmy też nigdy uszczęśliwić jej w tych wyjątkowych okazjach.

Z czasem sprawowanie opieki nad Casey zaczęło przypominać próby okiełznania dzikiego ogiera. Zwierzęta te instynktownie bronią swojej przestrzeni i starają się zdominować treserów. A gdy braknie im cierpliwości, wpadają w szał i gryzą. Dzikiego ogiera mogą okiełznać wyłącznie najbardziej doświadczeni. Nie ma uniwersalnej metody postępowania, bo każdy ogier jest inny. Próby te łączy tylko jedno – treser zawsze musi wykazać się stanowczością i przemawiać do ogiera autorytatywnie, by zyskać jego szacunek. Zwierzęcia nie wolno denerwować ani prowokować, gdyż łatwo można wyzwolić w nim naturalny instynkt zmuszający je do konfrontacji z przeciwnikiem lub do ucieczki. Wówczas ogier będzie walczyć. W filmie z 1998 roku *Zaklinacz koni* Robert Redford wcielił się właśnie w tresera, który miał niebывały dar rozumienia tych zwierząt.

Żałowałem, że nie mam daru rozumienia swojej córki. Jej zachowanie było denerwujące, ale ponieważ nie mieliśmy innych dzieci, nie potrafiliśmy powiedzieć, czy było normalne, czy nie. Dlatego pozwoliliśmy jej

zmanipulować się do tego stopnia, że aby uniknąć kolejnego napadu płaczu, dawaliśmy jej wszystko, czego chciała. Uznaliśmy, że problem leży w nas. Byliśmy nieudolnymi rodzicami.

*

Szukaliśmy odpowiedzi lub – jeśli znalezienie ich okazałoby się niemożliwe – zapewnień. Pierwsza pediatra, która opiekowała się Casey jeszcze w Simsbury, doktor Johnston, poświęcała jej mnóstwo uwagi, zaskoczona tym, jak szybko Casey rozwinęła się w żywego, pełnego energii malucha. Rozmawialiśmy o tym, jak je i śpi, jak bawi się z innymi dziećmi, jak radzi sobie ze zmianami i czy słucha poleceń. W każdej z tych sytuacji zachowywała się jak przeciętne dziecko w jej wieku.

Opisaliśmy wybuchy gniewu. Doktor Johnston współczuła nam, ale nie dopatrzyła się w nich powodów do obaw. Stwierdziła, że Casey z tego wyrośnie.

– Trzylatki ciągle jeszcze starają się zrozumieć swoją emocjonalność i łatwo wpadają w gniew – powiedziała. – Casey była wcześniakiem, a wcześniaki bardzo często są nadwrażliwe.

Uchwyciłem się prognoz doktor Johnston – to jasne, że z Casey wszystko było w porządku i wyrośnie z tego. Była po prostu dzieckiem obdarzonym zdecydowanym charakterem. Nigdy nie poruszaliśmy z lekarką tematów związanych z porzuceniem Casey czy adopcją.

Po przeprowadzce do Kalifornii rozmawialiśmy z mieszkającą po sąsiedzku znajomą Sharon, doktor psychologii z Berkeley. Casey od przedszkola przyjaźniła się z jej dwójką dzieci, Ianem i Caroline. Ian został adoptowany po urodzeniu, zanim Sharon zaszła w ciążę z Caroline.

Gdy zapytałem Sharon o sekret bycia dobrym rodzicem, wybuchnęła tylko śmiechem.

– Po prostu nie widzisz moich dzieciaków w domu. Wtedy zachowują się najgorzej. Ian potrafi naprawdę dać w kość. Kiedy nie dostaje tego, czego chce, potrafi wyc godzinami.

Na każdego rodzica zapewniającego nas, że jego aniołek to jedynie dobrze zamaskowany potwór, przypadał jeden, który utrzymywał, iż dziecko należy wychowywać twardą ręką.

- Nie powinniście jej rozpuszczać.
- Musicie postępować z nią bardziej zdecydowanie. Trzeba wyznaczać granice i się ich trzymać.
- Takie uspokajanie tylko nasila jej ataki szału.

Oczywiście próbowaliśmy pewnych restrykcji, ograniczania przywilejów takich jak spotkania z kolegami i koleżankami, gry czy telewizja. Wykonywanie prostych obowiązków domowych, na przykład posłanie łóżka czy nakrycie do stołu, było z kolei nagradzane kolejnymi złotymi gwiazdkami przyczepianymi do lodówki lub smakołykami, ale i to nie przynosiło efektów. Sposoby dyscyplinowania, które sprawdzały się u innych dzieci, u Casey wywoływały tak wielkie napady rozpacz, że mogłyby z powodzeniem postawić na nogi całą okolicę. Aby uciszyć przewiercające czaszkę na wylot krzyki, uciekaliśmy się do wybiegu „Damy ci jeszcze jedną szansę”. Ostatnie, czego było nam trzeba, to zaniepokojeni wrzaskami sąsiedzi, którzy wezwaliby opiekę społeczną.

Gdy Casey była spokojna, staraliśmy się z Eriką rozmawiać z nią, wypytywać, dlaczego wpada w złość i tak bardzo irytuje się pewnymi sprawami, co sprawia, że chce jej się płakać, i jak się czuje. Ona jednak nie chciała odpowiedzieć. Uważała, że ją atakujemy, i wypraszała nas z pokoju, by mogła zostać sama.

Przytłoczeni porażką, zwracaliśmy się przeciwko sobie. Dorastaliśmy w zupełnie innych domach. Rodzice Eriki, imigranci, byli bardzo zasadniczy i nieustannie ją kontrolowali, natomiast moi rzadko się wtrącali, w czym przypominali Warda i June Cleaverów z popularnego serialu. Erika zarzucała mi, że zbyt pobłażam Casey, ja uważałem, że powinna dać jej nieco więcej swobody. Erika twierdziła, zresztą słusznie, że powinniśmy trzymać bezwarunkowo wspólny front, skoro los obdarzył nas dzieckiem o tak silnym charakterze, i zawsze uważnie wypatrywała najdrobniejszych nawet wyłomów w naszym sojuszu.

Gdy Casey była jeszcze w szkole podstawowej, często rozmawialiśmy z innymi rodzicami, czytaliśmy kolejne książki o wychowaniu dzieci, nagrywaliśmy wszystkie odcinki doktora Phila i analizowaliśmy każde jego słowo. Ostatecznie uznaliśmy, że Casey jest po prostu trochę bardziej spięta niż przeciętne dziecko, co nie dziwiło u dziewczynki. Gdyby okazało się, że nie możemy dłużej tolerować jej zachowania, powinniśmy jasno ustalić z nią reguły postępowania, tym razem bez żadnych ustępstw. Prędzej czy później

musiała się uspokoić.

Doktor Klein, psycholog zatrudniony w szkole Casey, powtarzał tylko to, co usłyszeliśmy już od nauczycieli – dobra uczennica, grzeczne dziecko, bawi się ładnie z innymi, troskliwa, choć czasami trochę bezczelna. Nie martwiło nas to. Uznaliśmy, że potrafi walczyć o swoje. W szkole nigdy nie dostała nagany.

Rozmawialiśmy o pierwszych miesiącach życia, które nasza córka spędziła w sierocińcu, ale wiedzieliśmy na ten temat tak niewiele, że nie sposób było powiedzieć, czy na jej zachowanie mogło mieć wpływ cokolwiek, co odziedziczyła po rodzicach. Podobnie jak wcześniejsze spotkanie z doktor Johnston, również konsultacje z doktorem Kleinem doprowadziły nas wyłącznie do punktu, w którym zostaliśmy zapewnieni, że wiele dzieci w tym wieku nie radzi sobie z emocjami. Casey miała z tego wyrosnąć. Ale nie wyrosła.

Próbowaliśmy terapii. W większości rodzin koncepcja prowadzenia ośmiolatki do psychologa spotkałaby się z wybuchem śmiechu, ale nie w Marin County, gdzie niejedno dziecko miało swojego terapeutę. Myśleliśmy, że terapia będzie dla niej bezpieczną przystanią, gdzie będzie mogła się otworzyć. Mieliśmy nadzieję, że profesjonalista poradzi sobie na tym polu, na którym my tak bardzo zawiedliśmy.

Umówiliśmy się na spotkanie z psycholog dziecięcą doktor Darnell. Była miłą małomówną kobietą tuż po trzydziestce. Prawdę powiedziawszy, mówiła tak niewiele, że zakrawało to na nieśmiałość. Z kolei Casey, gdy czuła się zagrożona, stawała się bardzo szorstka, obawialiśmy się więc, czy spotkanie nie skończy się nieprzyjemnie dla doktor Darnell.

Ustaliliśmy, że będą się spotykać raz w tygodniu po szkole. Jednak po każdej sesji Casey wracała do domu najeżona, czmychała do pokoju, trzaskała drzwiami i zaczynała krzyczeć. Uważała, że doktor Darnell jest „beznadziejna” i jedynie marnuje jej czas. Zamiast rozmawiać, grały w Monopoly i nigdy nie zdołały nawiązać prawdziwego porozumienia. Trudno było nam radzić sobie z przykrymi skutkami tych spotkań. Umówiliśmy się z doktor Darnell, żeby się dowiedzieć, co działo się między nią a Casey, ale nie przyniosło to niczego istotnego. Gra w Monopoly chyba nie była najlepszym narzędziem, żeby zrozumieć nasze dziecko. Casey męczyła nas błaganiami przez łzy i wojowniczymi protestami, aż odwołaliśmy sesje u doktor Darnell.

Przerwa w terapii trwała niecały rok. W tym czasie w naszym życiu sporo

się zmieniło. Po raz kolejny zmieniłem pracę. Wyprowadziliśmy się z wynajmowanego domu do rudery rozmiarów pudełka na buty, którą kupiliśmy w niewielkim Tiburon. Bardzo nas to obciążyło finansowo, ale dojazd do San Francisco miałem wyjątkowo prosty – wystarczyło przejechać przez most Golden Gate. Po latach ulegliśmy wreszcie namowom i prośbom Casey, która chciała mieć jakiegoś towarzysza, i zdecydowaliśmy się powiększyć rodzinę o nowego członka. Wabił się Igor i był ślicznym cętkowanym chartem angielskim, zwanym whippetem. Psy te słyną z delikatnego usposobienia, są wrażliwe i ciche. Wydawał się idealnym terapeutą. Casey za nim szalała. Rodzina, nowa praca, dom i mały chudy pies.

Byliśmy przekonani, że wszystko zaczęło się układać, ale niezupełnie tak było.

9

W szkole średniej Casey odkryła w sobie talent literacki, a ja starałem się zachęcać ją do pisania i chwaliłem jej teksty przy każdej sposobności. Pisanie było jej powołaniem i sposobem – tylko dla nas dwojga – na znalezienie wspólnego języka. Casey została obdarzona żywą wyobraźnią i zdolnością do dokonywania przemyśleń znacznie dojrzałych niż jej rówieśnicy. Gdy zaczęła dorastać, jej wyobrażenie o samej sobie stawało się coraz bardziej kruche. Pisanie mogło pomóc jej odzyskać wiarę w siebie. Jeden z wierszy, jakie napisała w ósmej klasie, zatytułowała *Oda do pomarańczy*:

*Cierpki, bogaty sok
skapuje mi
z warg,
gdy wgryzam się po raz pierwszy.
Urządza przyjęcie
w moich ustach.*

Przy całym swoim talencie Casey była nadwrażliwą perfekcjonistką. Gdy podejmowane przez nią próby okazywały się nieudane, reagowała tak, jakby świat właśnie się skończył. Stawała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie i nie dawała się już namówić na występy w przedstawieniach muzycznych, w których brała udział, gdy była młodsza. Nieśmiałość i niepewność nie są niczym dziwnym u dziewczynek wkraczających w okres nastoletni, ale znacznie utrudniały nam zainteresowanie Casey nowymi zajęciami, które mogłyby ją zaciekawić, jak gra na instrumentach, szachy czy taniec współczesny.

Chociaż zazdrośnie strzegła tego, co pisała, powierzyła mi zadanie czytania i redagowania swoich prac. Rola mentora była wymagająca, ponieważ musiałem balansować na cienkiej linii, by nie urazić Casey i nie zniechęcić

ani do jej daru, ani do mnie. Zależało mi na tym, żeby nie rezygnowała ze wszystkiego tak łatwo.

Kiedyś – miała wtedy trzynaście lat – męczyła się późnym wieczorem z wypracowaniem z angielskiego. Leżałem już w łóżku, przysypiając przed dokumentem *Frontline* na PBS o Saddampie Husajnie i broni masowego rażenia, kiedy wparowała do naszej sypialni w butach UGG i z Igorem drepczącym tuż za nią. Podeszła do łóżka i rzuciła w moją stronę kilka pomiętych kartek papieru takim ruchem, jakby trzymała toksyczne odpady.

– Przeczytasz to? Wiem, że jest do bani.

Nie lubiłem, gdy tak siebie traktowała.

– Kochanie, a o czym to jest?

– To wypracowanie na angielski o wieży Eiffla – powiedziała, a w jej ustach te słowa zabrzmiały jak szczęk karabinu maszynowego: *TowypracowanienaangielskiowieżyEiffla*.

Poprawiłem kilka literówek i błędów interpunkcyjnych, dorysowałem na końcu uśmiezek i napisałem ocenę: Wow! Kiedy oddawałem jej kartki, siedziała przy biurku w swoim pokoju. Chwyciła papier, zaciskając na nim dłoń. Skrzywiłem się lekko, gdy pocałowałem na dobranoc czubek jej głowy mokry po wieczornej kąpieli, po czym ją zostawiłem, by przetrawiła moje uwagi.

Okolo północy z drugiej części domu dobiegły mnie krzyki – Casey znów kłóciła się z Eriką. Musiałem sprawdzić, o co chodzi. Gdy wszedłem do pokoju córki, siedziała przy biurku. Ramiona drgały jej gwałtownie od tłumionego szlochu, a Erika stała nad nią z dłońmi opartymi na biodrach i grymasem odrazy na twarzy. Igor leżał na łóżku Casey i się trząsł.

Erika aż kipiła ze złości.

– Casey, dlaczego sobie to robisz? Dlaczego? – Wyglądała, jakby sama miała się rozpłakać. – Wracasz na terapię, moja panno! Mam już tego dość!

Casey uniosła głowę, a łzy cały czas płynęły jej po twarzy.

– Mamo, przestań! Terapia jest głupia i bezużyteczna! Jeśli znowu każesz mi na nią chodzić, to się zabiję!

Och, ten dramatyzm nastolatek.

Erika odwróciła się do mnie. Jej nos znalazł się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Twoja córka właśnie podarła pracę domową na angielski, nad którą spędziła cały wieczór.

Czy zapisała ją na dysku? Nie.

– Co? Casey! – Zirytowałem się.

Czy kierował nią jakiś impuls samozniszczenia? Mimo że Casey była buńczuczna i dumna, najmniejsza krytyka z mojej strony miażdżyła ją niczym młot.

– Tato, czy wiesz, jak bardzo siebie nienawidzę? Przez ciebie czuję się gorzej!

Jej słowa podziały na mnie jak policzek. Reakcje Casey na stres i jej wrogość zawsze były przesadzone. Co zrobiliśmy, że wywoływaliśmy u niej tak wielką samoodrazę? A może to był tylko element dorastania?

Ta samoodraza stała się jeszcze bardziej wyraźna w szkole średniej i z każdym dniem coraz silniej przeradzała się w skierowaną do wnętrza wściekłość, której parabola gwałtownie osiągała coraz wyższe wartości.

„Przez ciebie czuję się, jakbym była jakimś gorszym rodzajem człowieka!”.

Nie potrafiłem już powiedzieć, co jest normalne, a co powinno budzić moje zaniepokojenie. Chcieliśmy po prostu, żeby Casey zachowywała się jak inne dzieci, więc wypatrywaliśmy oznak „normalności”, a było ich niemało.

Przez większość czasu była rozkosznym, szczęśliwym i uroczym dzieckiem, dobrą uczennicą, z której każdy rodzic byłby dumny. Specjaliści musieli mieć rację. Pewnie trochę trzęsa się nad sobą, jak wiele nastolatek. Dlatego łatwo przyszło mi ignorowanie jej bardziej uciążliwych zachowań.

Po terapii u doktor Darnell znów rozmawialiśmy z naszymi znajomymi, którzy ponownie zapewnili, że nie ma powodu do paniki. Byliśmy dobrymi rodzicami, a Casey wspinała dziewczynką. Chociaż jej zachowanie chwilami było irytujące, pozostawało w granicach normy dla typowej nastolatki. To właśnie chciałem usłyszeć i przekonałem się, że ludzie chętnie mówili to, co chcieliśmy słyszeć.

Mimo wszystko wytyczyliśmy pewne granice konsekwencji ponoszonych za złe zachowanie i musieliśmy się tego trzymać. Erika pozostawała niewzruszona w kwestii powrotu na terapię, a ja nie miałem zamiaru wprowadzać rozłamu w naszym sojuszu rodzicielskim.

*

Znaleźliśmy Casey następną terapeutkę. Nazywała się Tori i pracowała

w Apple FamilyWorks, społecznej poradni psychologicznej z San Rafael. Na perspektywę powrotu na terapię Casey zareagowała tak, jakbyśmy chcieli ją wysłać do sowieckiego gułagu.

– Nienawidzę was! – wyrzuciła z siebie, zatraskując drzwi do swojego pokoju.

Byłem na nią wściekły – miała trzynaście lat, a zachowywała się jak rozpuszczony dwuletni bachor nieradzący sobie ze stresem. Dlaczego nie mogła dorosnąć i pogodzić się z tym, że nie wszystko zawsze układa się po jej myśli?

Gdy łyzy nie pomagały, Casey rozpoczynała nieprzejednane negocjacje obliczone na zmęczenie nas. Uznaliśmy z Eriką, że jeśli nie zostanie pisarką, czeka ją obiecująca kariera negocjatora traktatów rozbrojeniowych.

– Jeśli zgodzę się na terapię, ale mi się nie spodoba, będę mogła zrezygnować!

– Jeśli zgodzę się na terapię, nie będę musiała robić nic w domu!

– Jeśli zgodzę się na terapię, podniesiecie mi kieszonkowe!

Być może czuła złość i upokorzenie spowodowane tym, że rodzice wysyłają ją na terapię w ubogiej dzielnicy San Rafael, a nie do któregoś z pretensjonalnych terapeutów w Larkspur, do których chadzały jej koleżanki.

Po kilku miesiącach spotkaliśmy się z Tori bez Casey, żeby omówić postępy, jakie poczyniły. W gabinecie nie owijałem w bawełnę.

– Casey stale narzeka na terapię. Odmawia wsiadania do samochodu, nie pomagają żadne argumenty. – Nie mieliśmy już sił z nią walczyć.

Tori odpowiedziała przeproszającym tonem:

– Rozumiem. Początkowo trochę się otworzyła, zaczęła mówić, ale po pewnym czasie odmówiła współpracy.

– Często miewasz takie problemy? Z nastolatkami, które po prostu nie chcą z tobą pracować? – zapytałem.

– Mam być szczerą? Bardzo rzadko.

Wtedy odezwała się Erika:

– Tori, jak sądzisz, dlaczego jest taka oporna, skoro u innych dzieci tego nie spotykasz?

– Cóż, ma silną wolę. – Tori zamilkła na chwilę, by przemyśleć to, co chce powiedzieć. – Jest bardzo skryta.

I tym razem nie poruszyliśmy tematu wczesnego porzucenia przez matkę, sierocińca czy adopcji.

Wspólnie doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu przyprowadzać Casey na terapię, dopóki pozostaje wobec niej oporna. Dlatego, bardzo niechętnie, zakończyliśmy współpracę z Tori. Casey musiała jednak zrozumieć, że to ustępstwo nie jest bezwarunkowe. Zażądaliśmy utrzymania ocen na dobrym poziomie i kontrolowania zachowania. W przeciwnym razie miała wrócić na terapię, choć gdyby zaszła taka konieczność, postanowiliśmy pozwolić jej wybrać terapeutę. Mieliśmy nadzieję, że to zmotywuje ją do chodzenia na sesje.

10

Jesienią 2004 roku czternastoletnia Casey rozpoczęła naukę w Redwood High School w Larkspur. Szkoła, do której uczęszczało około tysiąca pięciuset nastolatków, była cztery razy większa od jej gimnazjum w Del Mar. Chodziły do niej dzieci z sąsiednich miast: Corte Madera, Kentfield i Greenbrae. Uczniowie byli bardziej zróżnicowani socjoekonomicznie niż w szkołach w Tiburon, gdzie wszyscy wywodzili się mniej więcej z tego samego środowiska.

Rozmiary szkoły w Redwood sprawiały, że w pewnym stopniu uczeń zyskiwał możliwość stworzenia się od nowa: mógł pozbyć się niechcianego przezwiska, niedobrej opinii lub znaleźć większe grono przyjaciół. To był początek czegoś nowego. Wiązał się jednak ze zmianą, a doskonale wiedziałem, że Casey ma problemy z przystosowaniem się do tego, co ją zaskakuje. Wielu przyjaciół towarzyszyło jej jeszcze od przedszkola i choć niektóre znajomości wykruszyły się, czy to z powodu zerwania kontaktów, zdrady, czy odrzucenia, pozostałe dobrze znane twarze dawały Casey poczucie bezpieczeństwa.

Kilkoro najlepszych przyjaciół – Roxanne, Maryse i Max – poszło do szkół prywatnych. Inni – Joel, Julian, Ben i Emily – wybrali Tamiscal, niedużą szkołę z indywidualnym tokiem nauczania. Miałem nadzieję, że Casey nie poczuje się przytłoczona rozmiarem Redwood. Czekają ją więcej zajęć i zastanowienie się nad kierunkiem studiów. Mogła spróbować wykorzystać swój talent literacki w szkolnej gazecie. Liczyłem się też z tym, że będzie mieć chłopaka.

Do tej pory nie przejawiała zainteresowania chłopakami, podobnie jak jej koleżanki. Nie były aspołeczne, bynajmniej, pozostawały w ciągłym kontakcie ze sobą, ale bardzo często rozmawiały przez komunikatory komputerowe lub wymieniały SMS-y w zaciszu swoich sypialni.

Ponieważ udało się Casey wykręcić od terapii u Tori, była w doskonałym

nastroju. Z kolei mnie i Ericie brakowało sił i często ignorowaliśmy nasze instynkty rodzicielskie i ustalone w domu reguły, puszczając mimo uszu niegrzeczną uwagę, cofając się przed rzuconym nam bezczelnie wyzwaniem czy kapitulując wobec żądań tylko po to, by mieć wreszcie chwilę spokoju. Upokarzało nas, że nastolatka regularnie podkopuje nasz autorytet, ale jednocześnie byliśmy gotowi na wszystko, byle tylko zapobiec jej wybuchom. Powtarzaliśmy sobie, że być może okazując dobroć i wyrozumiałość, mamy większe szanse nakłonić Casey do poprawnego zachowania, niż zmuszając ją do tego siłą.

Kiedyś na przykład do takiej sytuacji doszło, ledwie przekroczyłem po południu próg domu. Casey siedziała rozparta na sofie, a stopy w brudnych, oblepionych błotem tenisówkach trzymała na nowym stoliku kawowym, na którym stała też puszka dietetycznego napoju gazowanego, oczywiście bez podstawki. Była całkowicie zaabsorbowana grą komputerową *The Legend of Zelda*.

Instynkt nakazywał mi ją zrugać, ponieważ złamała dwie z panujących w naszym domu reguł: nie wolno opierać się butami o blat stołu i należy używać podstawki pod napoje. Ale gdy zobaczyła, że wchodzę, wyciągnęła w moją stronę rękę, domagając się przytulenia i nadstawiając policzek do ucałowania, choć wzroku ani na chwilę nie spuściła z ekranu telewizora. Zmiękłem. Wszystkie winy zostały odpuszczone.

– Kochanie, nie trzymaj butów na stole – poprosiłem.

– Oj, przepraszam, tato. – Nie ruszając się z miejsca, zsunęła brudne tenisówki i ponownie oparła stopy o blat, teraz już bose.

– Dziękuję.

Oczywiście członkowie naszych rodzin i znajomi widzieli w takich zachowaniach naszą słabość, ale oni nie musieli mieszkać w naszym domu. Nagroda za taką powściągliwość była warta poświęcenia władzy, jaką mogliśmy mieć nad córką.

*

Wydawało się, że zmiana szkoły i szok będący udziałem każdego pierwszoklasisty nie były problemem dla Casey, ale już w drugiej klasie czwórki, piątki i szóstki, którymi szczyciła się od podstawówki, zmieniły się

w oceny dostateczne i dopuszczające. Nawet angielski – od zawsze jej mocna strona – ucierpiał. Bez trudu mogła mieć z niego szóstki, tymczasem spadła na dwa z plusem. Materiał nie był trudny – rozumiała wszystko doskonale – lecz nie potrafiła ukończyć danego zadania na czas.

Coraz częściej znajdowaliśmy w skrzynce pocztowej listy adresowane: „Rodzice lub Opiekunowie Casey J. Brooks”, a w nich powiadomienia o kolejnych spóźnieniach, nieusprawiedliwionych nieobecnościach i nieodrobionych pracach domowych. Było to wyraźne naruszenie umowy o zawieszeniu terapii, lecz nie potrafiliśmy dojść do porozumienia w sprawie tego, jak radzić sobie z tą nową sytuacją.

Erika uważała, że powinniśmy trzymać się wcześniejszych postanowień. Jej zdaniem pogorszenie ocen powinno skutkować poważnymi konsekwencjami. Przepuszczalnie miała rację, ale czułem ogromną niechęć do ponownej konfrontacji i zburzenia kruchego spokoju, który zapanował w domu. Ostatecznie poprzestaliśmy na ostrzeżeniach. Casey nie została przecież zamknięta za picie alkoholu i zażywanie narkotyków.

Prawda zaś przedstawiała się tak, że po prostu zmęczyło mnie bycie ojcem swojej córki. Opieka nad nią przypominała ciągłą potyczkę szachową, niekończące się wyzwanie. Byłem wyczerpany staraniami o zachowanie pracy, zapewnianiem nam dachu nad głową i próbami utrzymania naszej rodziny w całości. Konfrontacja była w moim odczuciu ostatecznością.

*

Pewnego spokojnego dnia, gdy Casey wróciła ze szkoły, usiedliśmy z nią w kuchni, by porozmawiać. Nie wydawała się zaskoczona tym, że poruszamy temat ocen i listów wysyłanych z Redwood.

– Wiem, co teraz powiecie. – Chwyciła się za głowę w geście, który wyglądał na dobrze przećwiczony. – Dałam ciała. Jestem idiotką. Nie musicie mi o tym przypominać.

Przygryzłem wargę.

– Casey, kochanie, nie mów tak o sobie. Po prostu chcielibyśmy wiedzieć, czy nie potrzebujesz pomocy.

Aż przewróciła oczami.

– Nie, tato. Dam sobie radę!

– Możemy załatwić ci korepetytora – zaproponowała Erika.
– Mamo, nie potrzebuję korepetycji. Po prostu będę musiała oddać wypracowanie z angielskiego. To podniesie mi ocenę z dwa plus na cztery.

Mimo tych zapewnień Erika nie dawała za wygraną.

– Casey, chcemy tylko, żebyś wiedziała, że w razie potrzeby jesteśmy w stanie zorganizować ci pomoc. Jeśli będziesz tego chciała.

Ona tylko poderwała się ze stołka, obróciła w miejscu i ruszyła biegiem do swojego pokoju. Wcześniej jeszcze wyciągnęła przed siebie dłoń w geście mówiącym „dość” i wyartykułowała bezgłośnie „Dziękuję!”. Próba odbycia rodzinnego spotkania zakończyła się po trzech minutach.

Trzeba przyznać, że Casey dotrzymała słowa. Oddała wypracowanie i podniosła ocenę z angielskiego na cztery. Mimo to bez trudu mogła mieć piątki, a ponieważ myślała o dobrej szkole, czekało ją sporo pracy i długie siedzenie nad książkami, żeby w ogóle marzyć o dostaniu się na lepszą uczelnię – jeśli naprawdę tego chciała.

Narzekała, że nudzi się w Redwood. Program zajęć nie był wystarczająco dużym wyzwaniem. Casey omijała szerokim łukiem zajęcia pozalekcyjne, skarżyła się, że uczniowie mają zbyt materialistyczne nastawienie do życia, że są płytki i fałszywi, a ona nie ma już żadnych przyjaciół. Ciągle marudziła:

– Nie cierpię Redwood. Dlaczego nie poślecie mnie do prywatnej szkoły?

– Bo przeprowadziliśmy się do Marin właśnie ze względu na znakomity system edukacyjny w tym hrabstwie. A jeśli teraz pošlemy cię do szkoły prywatnej, nie będzie nas stać na twoje studia.

– Sama je sobie opłacę!

Pewnie tak jak obiecywałaś wyprowadzać Igora i sprzątać po nim. Znamy te bajki.

W Internecie znalazła szkołę z internatem w Massachusetts, której program w wyjątkowy sposób łączył przedmioty licealne z wykładami akademickimi. Jak na rasowego negocjatora przystało, próbowała nas przekonać do praktyczności tego rozwiązania.

– Tato, jeśli mnie tam poślecie, obronię dyplom za jakieś trzy lata, a wy oszczędzicie mnóstwo pieniędzy!

– Casey, masz piętnaście lat. Nie pošlemy cię na drugi koniec kraju do szkoły z internatem.

– Bo jesteś za młoda, a szkoły tutaj są bardzo dobre.

– Tato. Prooszę.

Podczas kolejnej próby uzyskania kompromisu zgodziliśmy się z Eriką złożyć dokumenty do Tamiscal, gdzie chodziło sporo znajomych Casey, chociaż byliśmy przekonani, że w jej wypadku obowiązujący tam dość niezależny program nauczania musi doprowadzić do tragedii – wydawało się, że już w Redwood nie radziła sobie z kontrolowaniem czasu pracy. Poza tym Tamiscal miało opinię, zasłużoną czy nie, przechowalni dla obiboków i próżniaków. Niemniej uznaliśmy, że Casey odczuwa potrzebę wzięcia sterów swojego życia we własne ręce, dlatego pozwoliliśmy jej wypełnić papiery i wysłać do wymarzonej szkoły. Nigdy jednak tego nie zrobiła.

Jej pełne zwątpienia wyobrażenie na własny temat stało w dziwnej sprzeczności z wysokimi wymaganiami, jakie stawiała sobie i wszystkim wokół. Gardziła większością nauczycieli z Redwood, określając ich mianem „głupków” bądź „lamerów”, a mimo to łajała się bezlitośnie za najmniejsze błędy w swoich pracach domowych. Łaknęła szacunku i uznania dla swojej inteligencji, ale musiały być szczerze; wyczuwała fałsz na kilometr.

Chociaż narzekała na Redwood, jeden z tamtejszych nauczycieli zdołał zaskarbić sobie jej uznanie – był to pan DiStefano. Przed podjęciem pracy w szkole pracował jako makler na Wall Street, lecz gdy przekroczył czterdziestkę, porzucił karierę i żonę, by rozpocząć nowe życie w Kalifornii. Prowadził kurs przygotowawczy do egzaminów z wiedzy o społeczeństwie i ekonomii na poziomie rozszerzonym. Casey imponowały jego sukcesy w świecie biznesu i dlatego stał się dla niej mentorem. Dotarł do niej, zaspokajając niezwykłą potrzebę, jaką żywią wszystkie nastolatki świata – pragnienie podziwu ze strony dorosłego, który nie jest ich rodzicem. Bez przerwy o nim mówiła, zadrezczała się pracami domowymi z jego przedmiotu i martwiła, gdy chorował. Pan DiStefano był przypuszczalnie głównym powodem, dla którego Casey zdecydowała się zostać w Redwood.

Pewnego sobotniego poranka, po nocy, którą Casey spędziła u koleżanki, Erika i ja zasiedliśmy na patio w samych szlafrokach, z kawą i gazetą, rozkoszując się niezwykle ciepłym grudniowym dniem. Przy karmniku wiszącym przed domem zawisł koliber. Erika upiła łyk kawy, po czym przerwała tę chwilę spokoju.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Jakiś czas temu stałam przy drzwiach łazienki Casey, kiedy była w środku. Usłyszałam, że wymiotuje. – Erika umilkła, wypatrując mojej reakcji. – Dusila się i pluća.

– I co?

– Zapukałam i zapytałam, czy dobrze się czuje. Powiedziała, że marynowane oliwki na pizzy jej zaszkodziły. Potem poszła pod prysznic.

– No więc się zatrzała. – Spojrzałam w niebo nad naszymi głowami, zasłuchany w dochodzący znad zatoki przy Golden Gate dźwięk syreny przeciwmgielnej.

Erika obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– Zauważyłam, że ostatnio często to robi. Niewykluczone, że w ten sposób się przeczyszczca. Może ma bulimię.

Erika sprawdziła komputer Casey, wyraźnie zaniepokojona najnowszą falą nietypowych zachowań. Moi rodzice szanowali moją prywatność, gdy byłam nastolatkiem, ale ona wychowywała się w domu, w którym dorośli miał zawsze prawo wkroczyć w życie prywatne dziecka. Erika szybko odkryła, że Casey odwiedzała w Internecie strony poświęcone depresji, anoreksji, bulimii i okaleczeniom. Uznała, że nasza córka mogła zacząć interesować się tymi tematami na początku szkoły średniej.

Zacisnąłem wargi i powiedziałem tylko:

– Ajajaj.

– To nie wszystko – kontynuowała. – Zauważyłam, że Casey ma ciągle na nadgarstkach elastyczne opaski. Chyba że akurat wkłada bluzkę z długimi rękawami. – Znow umilkła, czekając na moją reakcję. – Zawsze, gdy ją o nie pytałam lub próbowałam ich dotknąć, unikała kontaktu i nie pozwalała mi się zbliżyć.

– I?

Erika skrzywiła się, jakby miała w ustach coś kwaśnego.

– Myślę, że zaczęła się ciąć.

Jęknąłem cicho.

– To dziecko mnie wykończy.

Erika upiła kawę i drążyła dalej:

– Uważam, że powinniśmy znow zapisać ją na terapię.

Ciągle jeszcze nie przeboleiałem kiepskich wyników w nauce Casey.

– A może to tylko taki etap? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia.

– A co z tym cięciem się? Widziałaś jej ręce pod tymi opaskami?

– Nie.

– To może wcale się nie tnie – bardziej spytałem, niż stwierdziłem. – Wiesz, że nie lubi, kiedy wtrącamy się w to, co na siebie wkłada. Do diaska, ja też nie chciałem, żeby rodzice mnie dotykali, gdy byłem w jej wieku.

– Jak chcesz. Ja uważam, że jej zachowanie jest bardzo podejrzane. – Erika nie spuszczała ze mnie wzroku, wyraźnie czekając na reakcję.

Jakaś część mnie nie miała najmniejszej ochoty dowiadywać się, co się kryje pod tymi opaskami. Bo gdybym nie wiedział, to może wcale nie musiałbym nic z tym robić. Wszyscy mówili, że Casey jest mocno spięta. To miało minąć. Musiało minąć. Chciałem wierzyć, że Erika niepotrzebnie wszystko rozdmuchuje, ale wiedziałem, że jest spostrzegawcza. Zawsze musiała wszystko wypatrzeć. Ja wolałem trwać w fazie zaprzeczenia. Zmęczony, marzyłem tylko o tym, żeby wszystko mnie już nie dotyczyło. Miałem dość. Dlaczego Casey nie mogła być jak inne dzieci, dlaczego nie pozwalała mi skupić się na moim życiu?

Zerknąłem błagalnie na Erikę.

– Kochanie, to za wiele, by brać to wszystko na siebie. Wiesz, jaka jest Casey. Rozmowa o szkole nie będzie łatwa. – Erika zmarszczyła brwi, patrząc na mnie badawczo. – Może z tego wyrośnie. Wiesz przecież, że wpadnie w szal, jeśli nagle poruszymy z nią kwestię wymiotów i cięcia się.

– No dobrze. – Erika nie wyglądała na przekonaną.

*

Później tego popołudnia Casey wpadła do domu przez frontowe drzwi. Erika siedziała ze mną w salonie i naprawiała łańcuszek swojej koleżanki, ja rozwiązywałem krzyżówkę.

– Cześć! – Śpiwór, poduszkę i plecak rzuciła na jedną stertę pod drzwiami. – Nie martwcie się, posprzątam zaraz! – Ruszyła do łazienki. – U Caroline było świetnie!

Miała na sobie ulubione poprzecierane dżinsy, wysokie czerwone buty jak z bajki *Astro Boy* i czarną podkoszulkę na ramiączkach, pod którą powoli zaczynały rysować się piersi. Na nadgarstkach miała nieodzowne elastyczne opaski. Była w wyśmienitym nastroju.

Gdy wróciła do pokoju, wziąłem głęboki wdech i odezwałem się:

– Casey, musimy porozmawiać. Usiądziesz z nami?

Uniosła ręce tak, jakby chciała zasłonić się przed bijącą od nas złą aurą, a potem szybko ruszyła w stronę swojego pokoju.

– Nie będę z wami teraz rozmawiać. Nie, kiedy tak mówisz – powiedziała. – Dajcie mi spokój. Nie psujcie mi nastroju.

Nie poddałem się.

– Casey, nie pytam cię o zdanie. Chodzi o szko...

Trzasnęły drzwi i usłyszałem dźwięk przekręcanego klucza. *Do diabła z tą dziewczyną*. Wstaliśmy i podeszliśmy do drzwi. Zapukałem.

– Casey, otwórz, proszę. – Szarpnąłem za klamkę.

– Casey, otwieraj natychmiast! – Erika mówiła znacznie głośniej.

Cisza.

Erika podała mi śrubokręt. Otworzyłem i weszliśmy. Casey leżała na łóżku. Brudne buty miała ciągle na nogach i opierała je o narzutę. Przyglądała się nam bez słowa.

Zacząłem mówić:

– Musimy porozmawiać o szkole. Daliśmy ci szansę wyprostować to po swojemu, ale nic z tego nie wyszło. Listy ze szkoły nadal przychodzą.

– Tato! Nie widzisz, że się staram? Co noc siedzę do późna!

W tym momencie odezwała się Erika:

– Casey, siedzisz po nocach na iChacie! Z algebry masz dwóję, a angielski z czwórki spadł ci na trzy! Jak masz zamiar dostać się na studia?

– Zamknij się, mam! Ty przecież nie studiowałaś! – Sprawdzała, jak daleko może się posunąć.

Erika wyglądała, jakby miała ją uderzyć, ale się wtrąciłem:

– Jak śmiesz odzywać się w ten sposób do matki! Nie odrabiasz prac domowych, spóźniasz się, wagarujesz. To niedopuszczalne. Pamiętasz, jak się umawialiśmy w sprawie terapii?

Casey zaczęła płakać.

– Dobra, wiem, że jestem do niczego! I bez waszego gadania czuję się jak gówno!

– Casey, nie klnij. – Nie lubiłem, gdy przeklinała, ale nasze próby nauczania jej odpowiedniego wyrażania myśli spełzły ewidentnie na niczym. – Trzeba się zastanowić, co z tym zrobić.

Zwinęła się na łóżku w kłębek, schowała twarz w dłoniach i ciągle chlipała.

– Chciałam wam powiedzieć, ale nie słuchaliście. Mam zostawać z nauczycielami po lekcjach. Powiedzieli, że będę potrzebowała pomocy w poprawieniu ocen.

Zazwyczaj płakała, żeby nas zmęczyć, ale tym razem głos Eriki przebił się przez jej szlochy:

– Natychmiast się uspokój! Wiemy, że udajesz!

Casey usiadła na łóżku i spojrzała wprost na Erikę.

– Zamknij się! Jesteś beznadziejna! Mam cię dość!

Erika straciła cierpliwość.

– Nie, to ty się zamknij! To ciebie wszyscy mają dość! I po co ci te opaski?

Cholera! Mieliśmy nie poruszać tego tematu.

Casey rozdarła się na całe gardło:

– Wynoście się!

Erika rzuciła się ku niej i chwyciła za opaski na nadgarstkach.

– Wiem, że wymiotujesz w łazience!

Próbowałem je rozdzielić, ale Casey podrapała mnie i próbowała ugryźć w ramię. Wiedziony impulsem uniosłem dłoń. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem się zatrzymać, lecz było już za późno. Casey spojrzała na mnie z nieskrywaną obrazą.

– Och, świetnie, tato! Teraz będziesz mnie bić! Wynoś się!

Próbowałem ratować sytuację.

– Casey, poczekaj...

– Wynoś się! – Bezwładnie opadła na łóżko.

Odciągnąłem Erikę, żeby Casey nie zahaczyła jej nogami, i wypchnąłem z sypialni córki.

– Wynoście się! Nienawidzę was!

Stałem w progu, zaczerwieniony na twarzy ze wstydu i gniewu. Gdy tylko wycofałem się z pokoju, drzwi trzasnęły z hukiem i zadrżały na zawiasach poluzowanych przez lata takiego traktowania. Casey zaczęła tłuc w nie pięściami i kopać zawzięcie jeszcze przez całą godzinę.

Wycofałem się do względnego azylu, jaki dawała kuchnia, gdzie natknąłem się na Erikę przetrząsającą lodówkę. O drzwi oparła kosz na śmieci i wrzucała do niego kartony z mlekiem i sokiem, paczkowany ser i salami, sałatę, jabłka. Nic z tego nie było zepsute. Znalazłem się między dwiema oszalałymi kobietami.

– Nie chce nic jeść? Doskonale! Wyrzucę całe jej jedzenie!

– Kochanie! Hej! Przestań! – Musiałem powstrzymać ją siłą. Oplotłem jej ramiona w żelaznym uścisku i trzymałem, dopóki się nie uspokoiła.

– Niech ją szlag! Nienawidzę jej! – zapłakała.

– Nieprawda. Nienawidzisz jej wyskoków.

– Mała suka. Patrz, do czego mnie zmusiła – wymamrotała, ocierając łzy, i sięgnęła do kosza, żeby wyciągnąć z niego jedzenie.

Poprowadziłem ją w stronę stojących przy ladzie stołków. Usiedliśmy, wycieńczeni i pokonani, mając jedynie nadzieję, że sąsiedzi nie słyszeli tej awantury.

*

Na szczęście wybuchy gniewu wyczerpywały Casey. Następnego dnia po takim uwolnieniu demonów, skądkolwiek by się brały, była całkiem spokojna. Mimo to obawiałem się, że będzie miała mi za złe ostatni incydent i nigdy mi nie wybaczy. Że dałem jej kolejny powód, by mnie nienawidzić.

Nie takim ojcem chciałem być. Nie chciałem, żeby własne dziecko mnie nienawidziło. Chciałem być normalnym ojcem normalnego dziecka, czymkolwiek była ta normalność. Kochałem Casey, ale nie wiedziałem, czy ona mnie kocha.

Po awanturze, już w nocy, napisałem do niej liścik, robiąc mały krok w kierunku zawieszenia broni:

Kochana Casey. Przepraszam, że puściły mi nerwy. Wiesz, że Cię kocham. Bardzo. Tata.

Narysowałem na końcu uśmiechniętą buźkę, poszedłem do jej pokoju i spróbowałem wejść, ale był zamknięty. Wsunąłem liścik pod drzwi.

O jedenastej wieczorem leżałem w łóżku i oglądałem wiadomości. Erika już spała, a ja chciałem poczekać na *Saturday Night Live*. Gospodarzem programu miał być Jack Black, a Neil Young miał robić wstawki muzyczne. W sypialni panował półmrok, jedyne światło sączyło się z ekranu telewizora. Kątem oka dostrzegłem czającą się w drzwiach postać, cichą jak duch. To była Casey.

– Cześć, kochanie. – Cieszyłem się, że przyszła. Może chciała porozmawiać. Była spokojna.

– Wiesz, nigdy ze mną nie rozmawiacie tak po prostu – powiedziała. – Nie macie pojęcia, kim jestem.

Poczułem, że pęka mi serce. Tak bardzo chciałem do niej dotrzeć. Co miała na myśli, mówiąc, że nie wiem, kim jest? *Casey, kim jesteś? Powiedz mi. Co robisz nie tak?*

– Kochanie, nie dopuszczasz mnie do siebie. Wiesz przecież, że bardzo cię kochamy. – Może tu należało szukać szczeliny w jej zbroi, jakiejś szansy na nawiązanie kontaktu. – Casey, usiądź na chwilę, proszę.

Ale ona przypominała spłoszonego jelenia obawiającego się kontaktu z człowiekiem i już odwróciła się na pięcie. Odezwałem się za późno.

Wyszła.

A gdybym znalazł właściwe słowa, uspokoił ją, nakłonił do rozmowy? Może odsłoniłaby się nieco, ujawniła więcej na swój temat, podzieliła się ze mną tym, kim jest ta dziewczyna wiecznie walcząca, płacząca i krzycząca po drugiej stronie zniszczonych drzwi, których nigdy nie wolno mi było otworzyć. Kim jest ten ktoś znajdujący się zaledwie pół metra dalej?

Mogła mi powiedzieć, że jestem głupcem, bo próbowałem ją kochać – ten porzucony ludzki wrak. Czy to właśnie miała na myśli? Czy bała się powiedzieć mi to ze strachu, że znów zostanie porzucona? Ale przecież bez względu na to, jak dużo nienawiści by na mnie wylała, i tak nie mogła mnie zniechęcić. Nigdy nie pozwoliłbym na to. Nawet gdy używała broni najcięższego kalibru i mówiła: „Nie jesteście moimi prawdziwymi rodzicami”, odpowiadałem: „Trudno. Jesteś na nas skazana, a my się nigdzie

nie wybieramy”.

Gdybym tylko zdołał przekonać Casey, że kochamy ją z Eriką bezwarunkowo. Nasze kłótnie były wyłącznie reakcją na jej wybuchy, nie na nią. Chcieliśmy jedynie, by pomogła nam sobie pomóc.

Jechałem z Casey przez Sacramento drogą międzystanową numer 80 na północ w kierunku jeziora Tahoe. Był luty 2006 roku, wydłużony weekend z okazji rocznicy urodzin Jerzego Waszyngtona. Ponieważ Casey miała ferie zimowe, zaplanowaliśmy kilkudniowy wypad na narty w Squaw Valley.

Wspólne wyjazdy zdarzały się nam coraz rzadziej, bo Casey, która miała niedługo skończyć szesnaście lat, wolała towarzystwo swoich przyjaciół. Nie lubiła pokazywać się z nami w miejscach publicznych i czasami posuwała się do skrajności, byle tylko jej znajomi nie zobaczyli nas razem. W samochodzie prawie kładła się na siedzeniu, a w sklepach musieliśmy trzymać się dziesięć kroków za nią, jakby była członkiem programu ochrony świadków.

Chcieliśmy wykorzystać wyprawę nad Tahoe, żeby spędzić ze sobą trochę czasu, dopóki ciągle mieliśmy okazję. Niestety, tuż przed wyjazdem Erika rozchorowała się na grypę i wydawało się, że wycieczka nie dojdzie do skutku. Ale ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że Casey chce jechać tylko ze mną. Schlebiało mi to, lecz obawiałem się, że zabraknie nam tematów do rozmów. Erika nigdy nie miała z tym problemów i zawsze mogłem liczyć na to, że wypełni niezręczną ciszę zamierającej rozmowy.

Podczas jazdy nie przeszkadzały mi długie okresy niemówienia przywodzące na myśl medytację zen. Casey siedziała na miejscu pasażera obok mnie. Miała na sobie ulubiony strój – czerwoną bluzę z kapturem w geometryczne wzory, postrzępione dzinsy i różową podkoszulkę z napisem FCUK z nowojorskiego sklepu French Connection U.K. Uwielbiała tę kontrowersyjną grę słówek i nawiązanie do Nowego Jorku, gdzie chciała zamieszkać pewnego dnia. Znoszone trampki Converse leżały rzucone bezładnie na podłodze – tylko pod warunkiem ściągnięcia butów pozwoliłem jej oprzeć stopy o deskę rozdzielczą – a Casey słuchała muzyki z iPod'a.

Od pamiętnej kłótni nie podjęliśmy z Eriką więcej tematu ponownego wysłania Casey na terapię w związku ze słabymi wynikami w nauce. Nie

wróciliśmy też do rozmowy o podejrzeniach Eriki dotyczących wymiotowania i samookaleczania. Czasami nasze spory z córką przypominały walki bokserskie, kiedy po kolejnym wyjątkowo wycieńczającym starciu wycofywaliśmy się okrwawieni do swoich narożników.

W lepsze dni łatwo było ulec ułudzie spokoju i odłożyć na później niewygody odpowiedzialności rodzicielskiej. Nasza niemożność podjęcia jakichkolwiek działań i skłonność do odsuwania od siebie zagrożeń wisiały nade mną jak zamokły płaszcz.

W ogniu podszytego bluźnierstwem gniewu Casey zapomniałem, że między nami wydarzyło się dużo dobrego, że była „normalność”, której tak bardzo pragnęliśmy. Trzyletnia Casey tańczyła na środku naszego salonu w Simsbury i upierała się, że wyjdzie za mnie za męża, a potem nazwiemy nasze dziecko Casey. Kiedy miała siedem lat – wtedy jeszcze czas spędzany z tatą był dla niej nagrodą, a nie karą – Erika wystroiła ją w śliczną czarną sukienkę, fioletowe rajstopy, eleganckie pantofelki, a potem pomalowała jej delikatnie usta i rzęsy, żebyśmy mogli odtańczyć uroczysty taniec ojca i córki. Potem, gdy Casey skończyła trzynaście lat, wybraliśmy się razem na poranny przemarsz po Dolnym Manhattanie w poszukiwaniu wymarzonej torebki, którą Casey wyszperała w Internecie. Tego samego roku ujęła mnie dogłębnie, dając mi na Boże Narodzenie bardzo drogi zegarek (no, mama trochę pomogła); wtedy zrozumiałem jej podejście do dawania prezentów. Jeśli chcesz dawać, zrób to z rozmachem. W przeciwnym razie szkoda zachodu.

Nigdy nie przestanę nosić tego zegarka.

– Tato? – odezwała się, wyciągając z ucha słuchawkę. Potrząsnęła czupryną.
– Jak długo jeszcze będziemy jechać?

– Godzinę, może dwie. Zależy, jaki będzie ruch.

Jęknęła i wyjrzała przez szybę.

– Lipna okolica – powiedziała na widok sklepów i domków ciągnących się wzdłuż autostrady na północ od Sacramento.

– Owszem. – Aż uśmiechnąłem się, słysząc ten młodzieżowy slang z Marin County.

Jechaliśmy ciągle na północ przez pogórze Sierra, minęliśmy Auburn, Colfax i Yuba Gap. Na wysokości Kingvale po obu stronach autostrady leżał już śnieg. Postanowiłem zaryzykować.

– No więc, Casey... podobają ci się jacyś chłopcy w szkole?

Obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym obrzydzenia, otwierając przy tym usta

z taką miną, jakby miała zamiar zwymiotować.

– Tato, nie wierzę, że mnie o to spytałeś! Mam teraz na głowie ważniejsze rzeczy!

Trudno było mi uwierzyć, że chłopcy nie zabijali się o nią, ale nie byłem obiektywny. Orientowałem się mniej więcej, którzy się jej podobali, na przykład Nathaniel, Dylan, David, brat jej przyjaciółki Emily, a nawet syn naszego pastora Steven. Sporo czasu spędzała z przyjaciółmi Julianem i Maxem, ale ta relacja wydawała się platoniczna. W zasadzie wszystkie jej kontakty z chłopcami były platoniczne.

Jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

– Tato, nie jestem homo. – Zerknąłem na nią nieco zaskoczony tym oświadczeniem. – Ale nie myśl, że wezmę ślub i będę miała dzieci. Nic z tego. Nie cierpię dzieci.

Stłumiłem śmiech.

– Skarbie, zależy mi wyłącznie na tym, żebyś była szczęśliwa. Wiesz przecież.

Ponownie zamilkliśmy, pogrążając się każde w swoich myślach. Byłem pewien, że jeszcze z nikim nie spała. Nie była w tej kwestii wyjątkiem. Większość jej koleżanek trzymała się w paczce. Casey zdawała się unikać wszelkich relacji intymnych. Mnie z kolei nie interesowało, czy ma preferencje homo-, czy heteroseksualne. Nie chciałem, żeby przyszło jej spędzić życie samotnie, a obawiałem się, że skłonność do odpychania innych może ją skazać na życie bez drugiej osoby u boku.

Pod szczytem Donner Summit śnieg sięgał już ponad dach samochodu. Odnosiłem wrażenie, że jedziemy przez zamrożony biały korytarz o śnieżnych ścianach sięgających blisko pięciu metrów. Zatrzymaliśmy się w Truckee, żeby coś zjeść i skorzystać z toalety, a potem pokonaliśmy ostatni dzielący nas od Tahoe City odcinek drogi.

Porzuciłem rozważania o potencjalnych chłopcach Casey, lecz korzystając z okazji, że nie może mi teraz czmychnąć, postanowiłem zaryzykować inne pytanie.

– Kochanie, myślisz czasami o swojej biologicznej mamie?

Znów spojrzała na mnie z odrazą.

– Tato, czemu w ogóle o to pytasz? – wymamrotała, kręcąc głową.

– Nie wiem. Zastanawiałem się po prostu, czy nie masz ochoty o tym porozmawiać.

– Z tobą? – Zwiększyła natężenie muzyki w iPodzie tak, że przez słuchawki docierał do mnie rytm rapu. Była to kolejna z moich nieśmiałych wycieczek w jej biologiczną przeszłość – taka kontrola rzeczywistości. I oczywiście pytanie spotkało się z typową dla niej pełną oburzenia reakcją.

Dochodziła już czwarta, gdy meldowaliśmy się w pokoju w Travelodge, tanim hotelu sieciowym w Tahoe City, gdzie czekały na nas dwa wielkie łóżka, stół i krzesła, tandetne reprodukcje obrazów na ścianach, kablówka, ekspres do kawy z paskudną kawą i łazienka. Nic wyszukanego, za to wszystko czyste, wygodne i funkcjonalne. Dla mnie idealnie. Casey niemal się zakrztusiła na ten widok. Opinię wydała niemal z marszu:

– Fuj! Ohyda! – Rzuciła torbę na łóżko znajdujące się bliżej łazienki. – Tato, dlaczego musieliśmy wziąć jeden pokój?

– Mamy jeździć na nartach, a nie cały dzień przesiadywać w pokoju. Poza tym nocleg w Squaw Village kosztuje prawie dwa razy tyle, co to miejsce.

– Tata Caroline i Iana ma apartament w Squaw.

– Po pierwsze, spędzają tu cały sezon, a po drugie, ich tata jest niewątpliwie bogatym i hojnym człowiekiem – odparłem z nutą sarkazmu.

– Tato, przestań. – Nie lubiła, gdy choćby w żartach wypowiadałem się negatywnie o jej znajomych.

*

Tak naprawdę mieliśmy za sobą udany dzień. Uwielbiałem spędzać czas z Casey, gdy miała dobry humor, i nie mogłem się doczekać kolejnego dnia i nart. Zasypiałem z taką przyjemną wizją przed oczami, ona tymczasem oglądała jeszcze *Project Runway*.

Następnego ranka włączyliśmy się w sznur samochodów sunących w żółtym tempie błotnistą drogą z Tahoe City do Squaw Valley. Przejechanie niecałych dziesięciu kilometrów i znalezienie miejsca na parkingu zajęło nam pół godziny, ale zdążyłem odstawić Casey na lekcję jazdy na snowboardzie. Wjechaliśmy kolejką linową do High Camp i znaleźliśmy miejsce zbiórki snowboardzistów. Gdy Casey zauważyła grupkę chłopców w swoim wieku, natychmiast mnie odgoniła. Miałem udawać, że się nie znamy, dopóki nie zmieni tego zarządzenia. Ustaliliśmy, że spotkamy się za godzinę, po jej lekcji.

Na wyciągu Siberian Express dołączyłem do stojących nieopodal trzech

osób pogrążonych w rozmowie o pogodzie i warunkach na szlaku. Spoglądałem na zjeżdżających w dole narciarzy i snowboardzistów i zamarzyłem, by móc ścigać się z Casey na stoku – ona zjeżdżałaby, płynnie balansując ciałem na desce, ja goniłbym ją zawzięcie. Byłoby cudownie móc zobaczyć ją zadowoloną z czegoś, co zdołała we własnym mniemaniu opanować. Taki sukces podbudowałaby jej poczucie własnej wartości.

O umówionej porze spotkaliśmy się przed wejściem do restauracji w High Camp. Casey siedziała na śniegu z jednym butem ciągle wpiętym w deskę i wyglądała na bardzo zniechęconą. Przysiadłem się do niej.

– Hej, i jak było?

Kopnęła zaspę śnieżną i wzruszyła ramionami. Może po prostu była zmęczona.

– Masz ochotę trochę pojeździć? Chętnie zobaczę, czego się nauczyłaś.

Nie odpowiedziała.

– Może wolisz wejść do środka i coś przekąsić?

– Obojętnie. – Podniosła się i wypięła but z deski.

Kupiliśmy gorącą czekoladę, z którą zasiedliśmy przy oknie. Próbowałem wciągnąć Casey w rozmowę, ale w ogóle nie odpowiadała. Najwyraźniej lekcje jazdy na desce snowboardowej nie poszły tak, jak zaplanowała, a ja wiedziałem już, że nie ma sensu zmuszać jej do wyznań. Teraz potrzebowała побыć w samotności. Mieliśmy jednak pewien problem. Znajdowaliśmy się na wysokości ponad sześciuset metrów i jakoś musieliśmy zjechać na dół.

– Kochanie, jeśli masz dość, wcale nie musimy zostawać dłużej – zagaiłem znów delikatnie.

– A ty? Przecież chciałeś pojeździć na nartach. – Nawet na chwilę nie oderwała wzroku od kubka z czekoladą.

Miała rację. Pogoda była wyśmienita i wcale nie uśmiechało mi się marnować takiej okazji, nie wspominając o tym, ile wydałem na ten wyjazd. Gdybym trochę się rozerwał i kazał jej na siebie poczekać, może w końcu przekonałaby się, że świat nie kręci się wokół niej. Ale nie mogłbym się dobrze bawić, wiedząc, że jest nieszczęśliwa. Poddałem się.

– Wszystko mi jedno. Mogę wracać. Chcesz zjechać na dół kolejką?

Podniosła wzrok i przewróciła oczami.

– Tato, to przecież słabe.

Gdybyśmy zjechali kolejką, straciłaby twarz. Była na to zbyt dumna. Za wszelką cenę chciała dostać się na dół o własnych siłach. Miałem nadzieję, że

złapie drugi oddech i odzyska humor. Na razie nie mogłem liczyć na to, że się uśmiechnie.

Skończyliśmy pić czekoladę, wyszliśmy na zewnątrz i założyliśmy sprzęt. Normalnie zjazd pięciokilometrową trasą, w większości po łagodnie nachylonym stoku, nie trwa dłużej niż dwadzieścia minut, choć czekało nas kilka bardziej stromych, nieco trudniejszych fragmentów.

Ruszyliśmy spod restauracji i pozwoliłem Casey jechać pierwszej. Chwiejąc się, pokonała może ze trzy metry, po czym poleciała w tył i klapnęła na śniegu. Gdy się do niej zbliżyłem, obrzuciła mnie pełnym wyrzutem, oskarżycielskim spojrzeniem, jakby to wszystko była moja wina.

Wyciągnąłem do niej dłoń.

– Pomóc ci?

Zignorowała mnie, podniosła się na nogi, złapała równowagę i przejechała powoli kolejnych dziesięć metrów, żeby zatrzymać się na płaskim i prostym odcinku stoku. Podjechałem do niej.

– Kochanie, to było świetne!

Do bazy dotarliśmy po ciągnącej się w nieskończoność półtorej godzinie naznaczonej płaczem i przekleństwami. Casey kilka razy groziła, że porzuci deskę i spędzi noc na stoku, zanim nie przekonałem jej do kontynuowania zjazdu.

Zanim znaleźliśmy się na dole, była cała zasmarkana, a włosy miała sklezione mokrym śniegiem. Wściekała się na samą siebie i brakowało jej sił. Gdyby tylko miała nieco więcej cierpliwości. Chciałem ją przytulić, ucałować mokrą głowę i pocieszyć, ale wiedziałem, że mnie ostro skarci.

– Chodź, kochanie. Pakujemy się i wracamy do domu. – Dalszy pobyt nie miał sensu.

Wbiła wzrok w leżący na ziemi śnieg.

– Przepraszam, wszystko zepsułam – wymamrotała, rozmazując na rękawie łyzy i smarki.

Poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Skarbie, nie bądź głuptasem. Żałuję tylko, że nie bawiłaś się lepiej. – Podszedłem, by ją objąć, lecz oczywiście odepchnęła moje ramię.

Przyzwyczailem się do tego, że mnie odrzuci, i starałem się nie brać tego do siebie. Miałem nadzieję, iż Casey wie, że nie odrzuci jej, nawet jeśli będzie sprawiać kłopoty.

Do domu wracaliśmy w milczeniu. Casey już nigdy nie pojechała na narty

ani na deskę. Niemożność zaakceptowania porażki po raz kolejny dała o sobie znać – tak jak po upadku na lodowisku Yerba Buena, gdy miała osiem lat. Uważała, że jeśli nie potrafi zrobić czegoś perfekcyjnie, nie jest to warte zachodu. W ten sposób odebrała sobie niejedną szansę.

Drugą klasę liceum Casey ukończyła ze średnią ocen na poziomie słabej czwórki, co przeciętnemu dzieciakowi w zupełności by wystarczyło, ale absolutnie nie spełniało jej standardów, więc zapewne robiła sobie wyrzuty. To nie my stanowiliśmy problem, ale jej rozczarowanie sobą.

Ponownie wpadliśmy w zakłęty krąg porażki. Casey odmawiała przyjęcia pomocy, nie chciała też korepetycji, a my nie potrafiliśmy jej pocieszyć, gdy tego potrzebowała. Mieliśmy tylko nadzieję, że przez wakacje zapomni o szkole i wróci do niej jesienią ze świeżą głową.

Latem grała w piłkę nożną i lacrosse'a, ale chodziło w tym przede wszystkim o spotkania ze znajomymi, a mniej o sport. Jeśli chciała się pogimnastykować, wyciągała grę *Dance Dance Revolution* i odtwarzała na macie ruchy prezentowane na ekranie telewizora, jakby ćwiczyła aerobik z Jane Fondą.

Byliśmy zaskoczeni, gdy wyraziła zainteresowanie programem dorywczej pracy wakacyjnej dla młodzieży organizowanym na Alasce przez nasz kościół. Nie spodziewaliśmy się tego zupełnie po niej, osobie określającej się mianem zadeklarowanej ateistki, lecz była to przyjemna niespodzianka. Pomyśleliśmy, że taki wyjazd pomoże jej rozwinąć swoją osobowość i obok innych zajęć pozaszkolnych uzupełni jej podanie na studia. Program przyciągnął dzieci o różnych poglądach na życie – od samozwańczych ateistów, jak Casey, po głęboko wierzące. Po powrocie narzekała na „fanatycznych wyznawców Jezusa”, którzy nie chcieli dać jej spokoju i próbowali ją nawracać, lecz gdy zaczęliśmy dążyć, przyznała, że malowanie domów sprawiło jej niemałą przyjemność, a wyprawa statkiem w pobliże lodowca też była ciekawa. Okazało się zatem, że wyjazd nie był zupełną stratą czasu.

Erika cały czas wypatrywała u Casey oznak zmuszania się do wymiotów. Odkąd poruszyliśmy tę kwestię, z łazienki przestały docierać niepokojące odgłosy. Albo cała sprawa była tylko chwilowym problemem, albo Casey zaczęła się ukrywać i pilnować, by nie budzić naszych podejrzeń. Mimo to nie zmieniła swoich dziwnych nawyków żywieniowych i coraz trudniej było nam skłonić ją do jedzenia wspólnych posiłków. Gdy już się na to zdecydowała, zjadała tylko surówkę, ignorując zupełnie potrawy zawierające białko, po czym uciekała do swojego pokoju, by zająć się pracą domową, a przynajmniej tak nam mówiła.

Stale skarżyła się na żołądek, ale wizyta u lekarza niczego nie wykazała – żadnego zatrucia, problemów z wyrostkiem robaczkowym ani wrzodów. Casey żywiła się głównie płatkami śniadaniowymi, japońskim makaronem, chlebem i surówkami zapijanymi dużymi ilościami napoju dietetycznego Dr Pepper. Utrzymywała, że jest wegetarianką.

Erika była bardziej wyczulona na zwyczaje żywieniowe Casey, bo w jej rodzinie domowe jedzenie uważano za istotny element rozwoju dziecka. Jednak wszelkie próby strofowania naszej córki wywoływały awanturę i skończyły się zatrzaśnięciem nam drzwi przed nosem.

Casey nie wydawała się różnić od swoich przyjaciół czy innych dzieci w okolicy. Wszyscy byli weganami, wegetarianami czy witarianami, spędzali mnóstwo czasu, serfując po Internecie czy oglądając telewizję, i spali do zbyt późnych godzin. Niektórzy nie jedli zbóż, inni glutenu, a jeszcze inni nabiału.

Casey przestała nosić elastyczne opaski na nadgarstkach, nie było też nowych dowodów świadczących o tym, że mogła się ciąć. Wyznała też Erice, że niektóre dziewczęta były zwyczajnie ciekawe takich doznań. Należało to traktować jak eksperyment, który dobiegł końca. Nie widzieliśmy powodów do zmartwień.

*

Jesienią 2006 roku Casey rozpoczęła trzeci rok nauki w Redwood. Mieliśmy nadzieję, że problemy z poprzedniej klasy nie powtórzą się, ale nadal miała kłopoty z obecnością na zajęciach i wynikami w nauce. Jej oceny zmieniały się jak w kalejdoskopie. Przechodziły z jednej skrajności w drugą.

Historia Europy na poziomie rozszerzonym – Uczenie Casey to czysta przyjemność

Wprowadzenie do rachunku różniczkowego – Zagrożenie

Zostały jej niecałe dwa lata, żeby podnieść średnią, którą brano pod uwagę w przyjmowaniu na studia. Na tym etapie nie mogła sobie pozwolić na kolejne nieusprawiedliwione nieobecności ani zaległości, tym bardziej że myślała o uczelniach wymagających doskonałej średniej: New York University, Bard College, Reed College, Bennington College. Truchlałem na samą myśl, że niepowodzenie na egzaminach wstępnych skończy się głęboką traumą.

Ale los szykował dla nas coś innego, znacznie bardziej poważnego.

*

Erika poruszyła ten temat pewnego sobotniego popołudnia, gdy wybraliśmy się na spacer z naszą przyjaciółką Sharon i jej psem imieniem Joy. Była piękna pogoda – prawdziwe babie lato – można było chodzić w krótkich spodniach i podkoszulkach. Sharon miała nawet duże okulary przeciwsłoneczne. Poszliśmy na spacer na łąkę McKegney Green nieopodal Tiburon. Kierowaliśmy się do niewielkiej białej altany nad wodą. Ufundowała ją czterdzieści lat wcześniej para małżonków z naszego miasta, którym tajemnicza choroba zabrała ukochaną siedmioletnią córkę. Był to bardzo spokojny zakątek. Usiedliśmy.

– Jakie to przyjemne miejsce – powiedziała Sharon, podziwiając kratkę zdobiącą altanę.

Erika westchnęła.

– Tak. Ale jednocześnie smutne, bo wybudowano je dla nieżyjącej dziewczynki.

Zamilkliśmy. Igor i Joy podeszli do nas znad zatoki z zadartymi nosami, dysząc radośnie i machając ogonami na powitanie. Potem wrócili do wody. Wtedy Erika przerwała milczenie:

– Muszę wam o czymś powiedzieć. Trochę mnie to gryzie.

Oho.

– Sprzątałam ubrania w pokoju Casey i znalazłam z tyłu jednej z szuflad pustą butelkę po wódce Skyy.

Natychmiast straciłem dobry humor. Sharon, która zazwyczaj podnosiła wszystkich na duchu, taka nasza pani Pozytywna, wyglądała na skonsternowaną. Erika mówiła dalej:

– Przejrzałam też jej torebkę i znalazłam paczkę papierosów i szklaną fajkę.

Tym zaskoczyła mnie zupełnie.

– Jaką? Do cracku czy do trawki?

– Do trawki.

– Aha. – Z jakiegoś powodu mi ulżyło. Przynajmniej nie popalała cracku. – Ale dlaczego grzebałaś w jej rzeczach?

To pytanie zirytowało Erikę.

– Jak to? Nie martwi cię, że twoje dziecko może brać narkotyki?

Żachnąłem się na oskarżycielski ton, ale wiedziałem, że ma rację. Oczywiście, że bardzo mnie to zmartwiło. Po prostu odnosiłem wrażenie, że problemy nas przytłaczają. Najpierw oceny w szkole, potem wywoływanie wymiotów i cięcie, a teraz to. Za namową Eriki utrzymywaliśmy ścisły kontakt z rodzicami znajomych Casey, dzięki czemu mogliśmy śledzić wszystkie ich wyjścia, przyjęcia i nocowanie u siebie w domach. Myśleliśmy, że to załatwi sprawę.

Sam w jej wieku piłem i paliłem trawkę, ale dobrze się kryłem i rodzice nigdy mnie nie złapali. Teraz, gdy miałem dziecko, życie postanowiło ze mnie zadrwić. Nadal lubiłem wypić kieliszek chardonnay i zaciągnąć się raz czy dwa, i wydawało mi się, że powinienem kryć się z tym przed moją córką, która najwyraźniej również lubiła się sztachnąć.

Dlaczego Erika musiała być tak cholernie spostrzegawcza? Czy nie mogliśmy po prostu odwrócić wzroku, jak przypuszczalnie robili to moi rodzice, gdy byłem dzieciakiem?

Szukałem odpowiednich słów w tej sytuacji.

– Wiesz, jak często popala?

– Nie.

Sharon postanowiła włączyć się do dyskusji.

– Wiem, że dzieciaki w Redwood piją i popalają, ale w wypadku Casey zwróciłabym na to baczniejszą uwagę. Nie wiecie zbyt wiele o jej fizjologii, a może mieć jakieś dziedziczne skłonności. Niektóre dzieciaki z tego wyrastają, ale inne się uzależniają.

Przyglądaliśmy się mewie, która wylądowała na kamieniach nieopodal brzegu. Igor też ją dostrzegł. Wystartował z miejsca, lecz mewa odleciała.

Pomyślałem, że może sprawa nie jest aż tak poważna, jak się wydaje. Być może Casey wypije okazjonalnie co nieco, czasem zapali – na przykład na imprezach – ale może nie kupuje sama używek. Nigdy nie widziałem, żeby była pijana ani pod wpływem narkotyków, nie wydawało mi się także, by każdy dzień zaczynała od odpalenia bongy przed szkołą, a podejrzewałem, że niektóre dzieciaki z czasów mojej młodości tak właśnie robiły, co więcej, miałem takich kolegów. A jej oceny? Nie były może bez zarzutu, lecz przecież nie oblała żadnego przedmiotu. Mimo to problem istniał, był poważny i nie mogliśmy go zignorować.

Daliśmy jej niejedną szansę i zbyt często naginaliśmy zasady. Odetchnąłem głęboko.

– Chyba nie mamy wyjścia. Pozwalaliśmy jej zjeżdżać po tej równi w nadziei, że może jednak się opamięta, ale chyba przyszła pora, by dotrzymać danego słowa. Będzie musiała wrócić na terapię.

Erika, wyczuwając mój niepokój związany z kolejną konfrontacją, wyjaśniła Sharon:

– Po ostatnich dwóch podejściach Casey poprzysięgła, że nigdy więcej nie pójdzie do terapeuty. Spotkałaś się kiedyś z takim przypadkiem, żeby dziecko odmawiało udziału w terapii?

– Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Przypomniało mi się coś, o czym rozmawiałem z Eriką, gdy kończyliśmy sesje z Tori.

– A może pozwolimy jej wybrać terapeutę. Oczywiście w granicach rozsądku.

– To doskonały pomysł – podchwyciła Sharon.

Aż sztywniałem na myśl o kolejnej tragedii terapeutycznej. Doktor Darnell okazała się bezużyteczna. Tori stanowiła pewnego rodzaju poprawę, a mimo to nie zdołała nawiązać kontaktu z Casey. Wyjazd organizowany przez nasz kościół jedynie utwierdził Casey w postanowieniu pozostania ateistką. A może powinniśmy wysłać ją do dziadków? Moja matka z radością by ją porozpieszczała, lecz zastanawiałem się, czy żelazna polska dyscyplina mojej teściowej nie zdałaby lepszego egzaminu. Powoli zaczynały nam się kończyć pomysły.

Wstaliśmy i nasze spojrzenia padły na inskrypcję umieszczoną pośrodku altany na brązowej tabliczce: „Dziecko słońca, dziecko gwiazd, dziecko księżycy, łasko, oświeć swym radosnym promieniem miłości wszystkich,

którzy tu trafiają”.

Pokręciłem głową.

– Nie wyobrażam sobie, jak to jest stracić dziecko.

– Nie chcę o tym nawet myśleć – odparła Erika.

Przywołaliśmy Igora i Joy zajętych ściganiem ptactwa i ruszyliśmy do domu.

*

Jedynym sposobem przeprowadzenia rozmowy tak, żeby nie skończyła się ucieczką Casey do pokoju i trzaśnięciem drzwiami, było odczekanie, aż się tam znajdzie, i zatrzymanie się w progu, by odciąć jej drogę wyjścia. Taka okazja nadarzyła się dość szybko, bo już w niedzielę po południu. Drzwi do jej pokoju były otwarte, więc zajrzeliśmy do środka.

Wnętrze wyglądało tak, jakby właśnie przeszedł tamtędy huragan Katrina – wszędzie porozrzucone ubrania, książki, buty, poduszki, płyty CD, puste puszki po red bullu i napoju dietetycznym Dr Pepper. Stojący w rogu fotel papasan był ledwie widoczny spod sterty brudnych ubrań. Nowe łóżko z Ikei było nawet porządnie zaścielone – narzuta została starannie rozpostarta na kołdrze, a pluszaki porozkładane po bokach. Ze sterty poduszek wystawała różowa piszcząca lalka, którą daliśmy jej w Polsce. No i oczywiście nie mogło zabraknąć jej ukochanego jaśka – mocno już poprzecieranego po latach używania i ponownego wypychania.

Casey i ja pomalowaliśmy pokój na ciemnoszafirowo. Taki mroczny odcień był tajemniczy i uspokajający, komponował się z wykładziną w kolorze pudrowego niebieskiego, naznaczonego jedynie żółtą plamą sierści Igora. Mimo że na podłodze panował chaos, na ścianach Casey chciała mieć przestrzeń. W rogu wisiał wielki, oprawiony w ciemne ramy plakat z cytatem z *Romea i Julii*, nad łóżkiem biało-pomarańczowy plakat z filmu *Trainspotting* o historii szkockich ćpunów i niewielka biała metalowa tabliczka z przejścia podziemnego dla pieszych w Paryżu z zakazem wjazdu na rowerach i motocyklach: „*Entrée interdite aux vélos et motos*”.

Casey jak zwykle siedziała zgarbiona nad komputerem w wysłużonym fotelu biurowym.

Ostatnio wprowadziła zmiany w swoim wyglądzie i zafarbowała popielate włosy na delikatny brąz. Przestała czesać się z przedziałkiem i spinać włosy

po jednej stronie. Teraz pozwalała im opadać na ramiona, a grzywkę przycięła jak Kleopatra. Wyglądała zachwycająco. Postrzępione džinsy ustąpiły miejsca dopasowanym, ale nadal nosiła białą bluzę z kapturem – zawsze było jej zimno.

Wzięłam wdech, uświadamiając sobie, jak bardzo się denerwuję.

– Cześć – odezwałam się niepewnie. – Co porabiasz?

Pociągnęła łyk red bulla.

– Rozmawiam z Julianem. Mamy zamiar wyskoczyć gdzieś później.

Wiedziałem, że lada moment jej plany na wieczór legną w gruzach. Dzisiejszy wieczór miała spędzić w domu. Przekraczając próg jej pokoju, poczułem, że skręca mi się żołądek. Erika wyciągnęła zza pleców pustą butelkę po wódce Skyy.

– Casey, znalazłam to wczoraj na dnie twojej szuflady. Skąd się tam wzięła?

Casey spojrzała na butelkę zupełnie nieprzejęta.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie ktoś ją tam zostawił.

Nie bała się. Ja wpadłbym w panikę, gdyby rodzice przyszli do mnie z takim oskarżeniem; wyobraziłem to sobie bez trudu.

Erika nie zmięknęła ani na moment.

– Trudno mi w to uwierzyć, Casey. Sądzę, że sama ją tam włożyłaś.

– Ale taka jest prawda... mamoo! – wyrzuciła z siebie Casey. – I nie podoba mi się to, że kwestionujesz moją uczciwość!

Wkroczyłem między nie.

– Casey, uspokój się.

Spojrzała na mnie z pogardą.

– To wy się uspokójcie!

Oczy zaszyły jej łzami, a ramiona poruszyły się w zduszonym szlochu. Krokodyle łzy. Zacząłem tracić cierpliwość i odezwałam się stanowczo:

– Casey, nie możesz wybuchać płaczem i zachowywać się jak dwuletnie dziecko za każdym razem, gdy próbujemy z tobą poważnie porozmawiać.

Chlipnięcia przeszły w gorzki szloch.

Pałeczkę przejęła Erika.

– Jest jeszcze coś. W twojej torebce znalazłam paczkę papierosów i fajkę. – Wyciągnęła dowody, by zaprezentować je Casey, która na ten widok aż otworzyła szerzej oczy. Nie była przerażona, tylko wściekła.

– Co? Przeszukałaś mi torebkę? Jakim prawem?

Kolana się pode mną ugięły, ale Erika nawet się nie zachwiała.

– Młoda damo, możesz zapomnieć o dzisiejszym wyjściu. Masz szlaban i wracasz na terapię!

– Co?! – Wycofaliśmy się z pokoju. Casey zamknęła drzwi kopniakiem, a potem zaczęła łomotać w nie pięściami i kopać z całych sił. – Niszczycie mi życie!

Zostawiliśmy jej kolację, ale nie wyszła z pokoju przez resztę wieczoru.

*

Propozycja, by sama wybrała terapeutę, złagodziła nieco cios. Nie zaskoczyło nas, że zdecydowała się na specjalistkę z Larkspur po entuzjastycznej rekomendacji jednej z jej przyjaciółek, która sama do niej uczęszczała. W tym urokliwym i szykownym miasteczku między Lark Theater, Left Bank Brasserie i Silver Peso Bar można było znaleźć tylu psychiatrów, co w Upper East Side na Manhattanie.

Za odpowiednią opłatą można było umówić się z mistrzem reiki, zapisać na zabieg akupunktury, spotkać z astrologiem, hipnoterapeutą, medium, psychologiem małżeńskim i doradcą rodzinnym, trenerem życia i oczywiście z którymkolwiek z szerokiej gamy psychiatrów. Równie łatwo można było tu znaleźć kogoś, kto nauczy twojego psiaka korzystać z nocnika, jak specjalistę, który wyciągnie piętnastoletnie dziecko z uzależnienia od oxycontinu.

Nowa terapeutka Casey miała na imię Dianne. Pierwsza wizyta wypadła w Dzień Kolumba w 2006 roku. Wziąłem wolne i zawiozłem ją do gabinetu. Nie rozmawialiśmy ani w czasie jazdy, ani gdy podjeżdżałem na parking za gabinetem Dianne. Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem, ale Casey zignorowała mnie, chwyciła torebkę, wysiadła z auta i pomaszzerowała po schodach do gabinetu.

Erika i ja odbyliśmy wcześniej spotkanie z Dianne. Nastolatki były jej specjalnością. Przypominała nam Mamę Cass – miała pełne kształty, długie jasne włosy z przedziałką pośrodku, na sobie złote satynowe kimono i mnóstwo biżuterii. Była typem matki natury gotowej uściskać nas gorąco. Przyjmowała w przytulnym, wygodnym gabinecie, w którym stały trzy ogromne, obite czarną skórą fotele tak wygodne, że człowiek marzył, by uciąć sobie w nich drzemkę. Po spędzonej wspólnie godzinie mieliśmy dobre przeczucia. Żywiłem nadzieję, że tym razem znaleźliśmy Casey odpowiednią

powierniczkę i że Dianne zdoła porozumieć się z naszą córką, choć nikomu dotąd się to nie udało.

Godzinę później znów zaparkowałem pod gabinetem Dianne, by odebrać córkę. Po kilku minutach zeszła ze schodów i wskoczyła do samochodu. Tak jak po pierwszym spotkaniu z Tori wydawała się spokojna i wesoła.

Spróbowałem uchwycić jej spojrzenie.

– Mogę wiedzieć, jak poszło?

– Dobrze. – Szukała czegoś w torebce. – Tato, nie mogę znaleźć karty upominkowej do Starbucksa, a tak bym chciała kupić café americano.

– Mam cię tam zabrać? – Uwielbiałem śpiewny ton, z jakim mówiła, gdy była zadowolona.

– Och, tak. A pożyczyłbyś mi pieniądze?

– Co więcej, z przyjemnością postawię ci kawę.

Pojechaliśmy do Starbucksa jak dwójka ludzi, którzy czują się dobrze w swoim towarzystwie.

*

Przez kilka następnych miesięcy Casey chodziła na terapię regularnie co tydzień i nie opierała się ponagleniom, gdy ja lub Erika musieliśmy ją tam odwozić. Nie potrafiliśmy powiedzieć, jak przebiega leczenie. Czasami, gdy ją odbieraliśmy, miała nastrój do pogawędek i wyglądała na odprężoną, kiedy indziej była ponura i niekomunikatywna. Gdy pytaliśmy o Dianne, zazwyczaj mruzczała coś niezrozumiale, wzruszała ramionami lub odpowiadała półsłówkami, na przykład „W porządku”. Z kolei Dianne była związana tajemnicą lekarską i mogła wyjawiać nam tylko nieliczne szczegóły.

Nie chcieliśmy naciskać Casey, by ujawniła nam coś więcej. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by zarzuciła terapię po raz trzeci. Cieszyło nas, że chodzi do Dianne bez awantur.

Przestaliśmy też dostawać z Redwood listy, których tak się obawialiśmy. Albo Casey poprawiła system pracy, albo zaczęła przechwytywać korespondencję ze szkoły. Zgodziła się na korepetycje z wprowadzenia do rachunku różniczkowego i wyglądało na to, że korepetytor jej pomógł. Zdołała podnieść ocenę z niedostatecznej do dopuszczającej, a nawet były widoki na dostateczną.

Odnieśliśmy wrażenie, że zrozumiała, jak niewiele czasu jej zostało na poprawienie ocen, jeśli myśli o kontynuowaniu nauki w szkole niepublicznej.

*

Nadal jej nawyki kulinarne stanowiły problem. Zazwyczaj jadała bez nas, utrzymując, że musi się uczyć. Widzieliśmy, że ciężko pracuje, i nie chcieliśmy jej zniechęcać do nowo odkrytej pasji, więc niechętnie, niemniej godziliśmy się na jej nieobecność przy stole.

Żywiła się dość niekonwencjonalnie, głównie skrobią i dietetycznym napojem Dr Pepper, ale nigdy nie traciła okazji, by pokazać nam, że jada też sałatki i owoce.

Przypuszczalnie czasami wypijała jakiegoś drinka, może nawet zapaliła skręta, lecz nie dała się na tym złapać. Gdy Erika przeszukała jej torebkę, co nie spotkało się z moją aprobatą, znalazła jedynie pustą paczkę po camelach light.

Nie podobało się nam, że pali papierosy – i pewnie też trawkę – ale postanowiliśmy nie poruszać tego tematu. Odpuściliśmy jej. Miała miłych przyjaciół – artystów i muzyków. Modliłem się tylko, żeby nie sięgnęła po nic bardziej egzotycznego niż trawka. Nie mogłem mieć do niej pretensji. Wziąwszy pod uwagę, co wypaliłem z przyjaciółmi w młodości i fakt, że i teraz zdarzało mi się zapalić, wszelkie wymówki zakrawałyby na hipokryzję.

Rozkoszowaliśmy się spokojem, który znów nastał w domu. Nie czułem już nieprzyjemnego kłucia w żołądku, gdy przestępowałem próg pokoju córki. Nie obawiałem się, że wejdę na kolejną minę. Prawdopodobnie sesje u Dianne przynosiły efekty.

Wszystko wskazywało na to, że sprawy układają się pomyślnie, więc zasypywaliśmy Casey pochwałami. Niewykluczone, że nagły przypływ pewności siebie pchnął ją do prośby o podniesienie tygodniówki, która wynosiła dwadzieścia pięć dolarów. Włożyła w nią całą swoją zdolność przekonywania i talent do negocjacji.

– Powinnam dostawać więcej, skoro godzę się chodzić na terapię i poprawiałam oceny.

– Mam najniższe kieszonkowe ze wszystkich moich znajomych. Nikt nie dostaje mniej niż pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

– Gdybyście podnieśli mi kieszonkowe, zajęłabym się wykonywaniem prac

domowych.

Niestety, cała jej argumentacja opierała się na założeniu, że powinna zostać wynagrodzona za coś, czego i tak od niej oczekiwaliśmy. Nie skąpiliśmy jej pieniędzy, ale gdy potrzebowała większej kwoty na coś konkretnego, musiała o to poprosić, a my mogliśmy dzięki temu wyrazić swoją opinię na temat zakupu.

Jej prośby i błagania mnie nie poruszyły i nie miałem zamiaru ulec, gdyż podejrzewałem, że każdą dodatkową kwotę przeznaczyłaby na papierosy, alkohol lub trawkę. Skoro nie mogłem jej powstrzymać przed zażywaniem tych substancji, postanowiłem przynajmniej odwlec w czasie to, co nieuniknione. To starcie udało mi się wygrać, bo to ja kontrolowałem wydatki.

Na okres zimowej przerwy świątecznej w trzeciej klasie Casey zatrudniła się jako asystentka w sklepie Williams-Sonoma w jej ulubionym centrum handlowym, pełnym ekskluzywnych butików Village w Corte Madera. Zajmowała się wszystkim: od witania gości po pracę przy kasie i pakowanie podarunków w magazynie. Ubrana w firmowy fartuch Williams-Sonoma w kolorze leśnej zieleni, z białą plaketką z jej imieniem, budziła zachwyty pracowników i klienteli. Co dzień robiła użytek ze swojego najpiękniejszego uśmiechu, uroku osobistego i cudnych dołeczków na policzkach. Zarabiała jedenaście dolarów za godzinę, co bardzo szybko podreperowało jej budżet.

Mimo że w maju skończyła szesnaście lat, nadal musieliśmy wozić ją do pracy i przywozić do domu, bo nie kwapiła się ze zdaniem egzaminu na prawo jazdy. My z kolei nie poganialiśmy jej ani trochę. Te krótkie przejażdżki dawały nam okazję, by wysłuchać jej opowieści o nudnych spotkaniach pracowniczych, wrednych szefach i konkursie dla sprzedawców, w którym główną nagrodą był rondel ze stali nierdzewnej wart dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Zaprzyjaźniła się z chłopakiem imieniem Clive z Tamalpais High, który, jak mówiła, sprawiał, że śmiała się do rozpuku, gdy pracowali razem w magazynie. Pewnego popołudnia, po zakończeniu zmiany, przybiegła w szaleńczym pędzie do samochodu, w którym na nią czekałem. Uśmiechała się od ucha do ucha. Wskoczyła od razu, ledwie łapiąc oddech, i niemal z miejsca zaczęła opowiadać z entuzjazmem.

– Jejkujej, tato! Nigdy nie zgadniesz, co się właśnie stało! – Słowa wypływały z jej ust niemal bez chwili przerwy. – Właśnie obsługiwałam Phila Lesh! – Phil Lesh był członkiem legendarnej grupy rockowej Grateful Dead, jednego z ulubionych zespołów Casey. Ona zaś wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, bo otarła się o świat wielkich gwiazd. – Był taki super! To znaczy, był taki... normalny! Kupił mikser!

– Niesamowite, kochanie! – Też lubiłem ich muzykę.

Zauważyła, że mi zaimponowała.

– Tato, możesz przestać się we mnie wpatrywać? Jedźmy już. – Nie lubiła, gdy ktoś się jej przyglądał, nawet z uwielbieniem.

Zgodnie z życzeniem ruszyłem, a ona tymczasem wygrzebała z torebki czerwoną motorolę razr i otworzyła klapkę.

– *Muszę napisać o tym Julianowi!*

W tamtej chwili kochałem ją bezgranicznie.

*

Gdy nastał nowy, 2007 rok, Casey wróciła do szkoły. Na koncie miała ponad osiemset dolarów zarobionych w przerwie świątecznej, co stanowiło równowartość ośmiomiesięcznego kieszonkowego. Praca dała jej poczucie własnej wartości i tak bardzo potrzebną dawkę energii. Nasze gratulacje zawsze puszczała mimo uszu, ale gdy pochwały napływały od przełożonych i klientów, zwłaszcza znanych, sprawa miała się zupełnie inaczej.

W tamtym okresie odnosiłem wrażenie, że lata walk, zmartwień i falstartów mamy wreszcie za sobą. Casey trafiła w ręce dobrej terapeutki, skupiła się na szkole i planach związanych z uczelnią i wreszcie wydawała się zadowolona z siebie. Gdyby tylko zdołała utrzymać ten stan do chwili wyjazdu na studia.

Nie zdołała.

*

W piątek przed weekendem przedłużonym z okazji Dnia Martina Luthera Kinga po powrocie do domu powitał mnie gromki krzyk Eriki:

– Casey Brooks, jesteś niemożliwa!

W tamtym momencie miałem ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść.

– John? To ty? – Erika wkroczyła do kuchni.

Chwyciłem stojącą w lodówce butelkę chardonnay, by wzmocnić się przed nadciągającym starciem, którego przecież nie dało się uniknąć. Erika wyglądała, jakby puściły jej wszelkie hamulce. Nie mogła złapać oddechu, a oczy płonęły jej gniewem.

– Musisz porozmawiać ze swoją córką! – Zrobiła gest w kierunku pokoju

Casey. – Wiesz, co powiedziała?

– Skąd mam wiedzieć? Dopiero wszedłem. – Nalałem sobie kieliszek wina i upiłem większy łyk. Może trzeba było napić się wódki?

Erika zmarszczyła czoło.

– Nie bagatelizuj tego! Powiedziała, że rzuca terapię!

– Cholera. – Spuściłem głowę. – Powiedziała dlaczego?

– Może sam ją zapytaj? – Erika wzięła ode mnie wypity do połowy kieliszek i dokończyła go, a ja nalałem sobie kolejny, wypiłem wino i dopiero wtedy poczułem się rozluźniony.

Starałem się zachować spokój.

– Poczekasz tu? Chciałbym z nią porozmawiać sam.

– Oczywiście. Ja nie mam już o czym z nią rozmawiać.

Drzwi do sypialni Casey były otwarte. Spojrzałem na nie z odrazą. Zamek zepsuł się podczas którejś z licznych prób podważania go śrubokrętem. Przez dwie wklejone deski biegły podłużne pęknięcia w miejscach, gdzie Casey kopała w drzwi raz po raz podczas nasilających się i słabnących napadów szału. To były nowe drzwi. Czy ona nie miała ani odrobiny szacunku dla niczego, na co pracowaliśmy? Pchnąłem je i wszedłem do środka.

W pokoju panowała cisza, wszystkie światła były pogaszone, rolety zaciągnięte. Ciemnoszafirowe ściany sprawiały wrażenie, że znalazłem się w jaskini, i tylko wąski promień światła wpadał przez świetlik. Casey leżała w łóżku zagrzebana pod kołdrą tak, że widziałem jedynie jej plecy. Spod kołdry wystawało pasmo brązowych włosów. Ukochany jasek leżał obok niej zwinięty w nieforemną kulę niczym dziwaczna wypustka na ciele. Na pewno nie spała, udawała, żebym dał jej spokój. I z pewnością nie bała się mnie, raczej chciała uniknąć rozmowy. Usiadłem na rozchybotanym krześle stojącym przy biurku.

– Casey?

Naciągnęła kołdrę na ten fragment głowy, który jeszcze spod niej wystawał. Choć byłem naprawdę wściekły, podobał mi się ten uroczo dziecięcy gest.

– Casey, musimy porozmawiać.

Spod kołdry wydobył się stłumiony głos.

– Wiem. Nienawidzisz mnie.

– Absolutnie nie, kochanie, ale pokaż mi przynajmniej twarz.

– Nie.

– Casey, mama mówi, że nie chcesz już chodzić na terapię. Dlaczego?

Odwróciła się na plecy, wyrzała spod kołdry i popatrzyła na sufit, unikając mojego wzroku.

– Bo szkoda na to twoich pieniędzy, tato.

– Pozwól, że może ja będę o tym decydował.

– A poza tym ona jest głupia.

– Mówisz o Dianne?

– Tato, moi znajomi są od niej dziesięć razy mądrzejsi i przecież mogę rozmawiać z nimi. – Odchyliłem się na krześle, żeby pomyśleć. – Nie możesz mnie zmusić, żebym tam chodziła.

– Wybacz, Casey, ale to ja jestem twoim ojcem. Wydaje mi się, że decyzja w tej sprawie należy do mnie, a nie do ciebie.

Niech ją diabli! Jak mam kontrolować to dziecko? Nie potrafiłem zmusić jej do niczego, a wszelkie groźby i kary nie robiły na niej żadnego wrażenia. Zacząłem się zastanawiać, czy ona w ogóle ma dla mnie choć odrobinę szacunku, czy może według niej jestem błaznem, którego można okręcić sobie wokół palca tak, by spełniał wszystkie jej zachcianki. Czy w ogóle postrzegają mnie inaczej niż tylko jako narzędzie, za pomocą którego mogła uzyskać to, czego chciała? Ile dla niej znaczyłem? Kochała mnie czy tylko wykorzystywała?

Musiała mnie kochać na tyle, na ile była do tego zdolna.

Tak sądzę.

Mimo to czułem, że poniosłem klęskę, że nie sprawdziłem się w roli rodzica.

– Casey, bardzo mnie zawiodłaś. Czy wiesz, ile trudu kosztowało mamę i mnie załatwienie ci pomocy? Będziemy musieli porozmawiać o tym z Dianne.

Znów naciągnęła kołdrę na głowę. Byłem zbyt zmęczony, by się z nią kłócić.

*

Kilka dni później znów zasiedliśmy w wielkich skórzanych fotelach w gabinecie Dianne. Spoglądała na nas ze smutkiem i współczuciem, a my trzymaliśmy się za ręce. Casey była drugim w jej trwającej ponad czterdzieści lat praktyce dzieckiem, które zrezygnowało z terapii. Jak mogła to wyjaśnić?

– Dianne, jesteś trzecią terapeutką, u której byliśmy. Nikt nie umiał nam pomóc do niej dotrzeć. Jesteś specjalistką. Gdzie popełniamy błąd? –

zapytałem.

Dianne nie odpowiedziała od razu.

– Nie wolno mi wchodzić w szczegóły ze względu na tajemnicę lekarską, ale nie sądzę, żeby problem leżał po waszej stronie.

– Więc gdzie?

– Rozmyślałam o wczesnym dzieciństwie Casey, o porzuceniu i sierocińcu. Słyszeliście kiedykolwiek o zespole zaburzenia więzi?

– Nie. – Dlaczego wszyscy teraz cierpieli na jakieś zaburzenia? ADD, ADHD, OCD. A teraz zaburzenie więzi.

Dianne ciągnęła:

– Na zespół zaburzenia więzi cierpią bardzo często dzieci, nad którymi się znęcano lub które zostały porzucone we wczesnej młodości. Bardzo często dotyka to sierot, którym zabrakło opieki rodzicielskiej. Takie dzieci mają problemy z tworzeniem więzi.

– Ale jak to możliwe? – zapytałem. – Przecież sierociniec to zamierzchna przeszłość. Jakim cudem miałyby to mieć na nią wpływ aż do tej chwili? Miała zupełnie normalne życie i przez większość czasu jest naprawdę wspaniałym dzieckiem.

– Pierwszych dwanaście miesięcy w życiu dziecka może mieć decydujące znaczenie dla jego rozwoju – wyjaśniła Dianne. – Dzieciństwo Casey może mieć na nią wpływ do dziś i to będzie tkwiło głęboko w jej podświadomości.

Siedzieliśmy bez słowa, dopóki Dianne nie poruszyła następnej kwestii.

– Ale u Casey niepokoi mnie co innego.

Oboje z Eriką pochyliliśmy się, słuchając w skupieniu.

– Zażywanie narkotyków.

Dianne odmalowała przed nami niepokojący obraz zażywania narkotyków przez nastolatków w Marin County. Była to prawdziwa plaga wzmagana dostępnością silniejszych i uzależniających odmian marihuany, środków halucynogennych, kokainy. Dianne przez lata miała sposobność obserwować z bliska wyniszczające skutki nadużywania narkotyków przez nastolatków – wahania nastroju, ograniczona kontrola bodźców, niezdolność skoncentrowania się, społeczne wycofanie, osądzanie innych.

Erika spojrzała na mnie ponuro.

– Wiedziałam.

– Casey ma wszystkie objawy – kontynuowała Dianne. – Napady szału, zachowania histeryczne, problemy w nauce, jest aspołeczna. Problem tkwi

w jej towarzystwie. Mają na nią zły wpływ.

Przygryzłem wargę, słuchając tego wywodu. Obruszyłem się na zarzut, że moje dziecko może mieć problemy z narkotykami, a jej znajomi wyzwalają u niej destrukcyjne zachowania. Zerknąłem na Erikę, która przycupnęła na krawędzi fotela.

– Uważasz, że powinniśmy ją wysłać na odwyk? – zapytała w końcu.

– Na tym etapie nie mamy ku temu wystarczających informacji, ale nie wykluczałabym tego.

Splatałem i rozplatałem nerwowo palce, a milczenie znów zaczęło się przeciągać. Zawiedliśmy jako rodzice i nie dopilnowaliśmy terapii, co więcej, właśnie się dowiedzieliśmy, że problemy Casey wypływały albo z trudności z tworzeniem więzi, albo z nadużywania narkotyków – a być może z obu tych powodów.

Zastanawiałem się, czy była przypadkiem beznadziejnym, czy może istniała magiczna pigułka, która by jej pomogła. Zawsze uważałem lekarstwa za ostateczność.

– Dianne, a co sądzisz o włączeniu leków? – zapytałem.

– Nie mogę stawiać diagnozy – odparła. – Ale może warto zaprowadzić Casey do psychiatry. Mój kolega, doktor Palmer, jest świetnym psychiatrą dziecięcym i być może przepisze Casey leki. Przyjmuje po drugiej stronie korytarza.

Chyba wyczuwając moją frustrację, Dianne dodała:

– Rozumiem, że macie sporo do przetrawienia. Nie spędziłam z Casey dużo czasu, więc nie mogę wyrokować o niczym ostatecznie. W kwestii urazów z wczesnego dzieciństwa nadal wiele pozostaje dla nas tajemnicą. A dopóki nie dowiemy się czegoś na temat fizjologii Casey lub historii jej rodziny, zażywanie narkotyków może mieć dla waszej córki poważne konsekwencje.

Zapadłem się w fotel i zapatrzyłem na japońską akwarelę wiszącą na ścianie. Awantury w domu, niepokój o oceny, wywoływanie wymiotów, cięcie się, narkotyki i bezowocne spotkania z terapeutami były skrajnie wyczerpujące. Nie mogliśmy ciągle zmieniać terapeutów.

Zwróciłem się do Dianne w poszukiwaniu pomocy.

– Co mamy dalej robić?

– Bardzo bym chciała kontynuować spotkania z Casey – odparła. – Ale to ona musi ich chcieć, a na razie nie ma zamiaru tutaj wracać.

Skryłem twarz w dłoniach, a Erika pogłaskała mnie po karku.

Dianne wyglądała na załamana.

– Bardzo mi przykro. To naprawdę wspaiała dziewczyna. Od razu poczułam do niej sympatię.

Podnieśliśmy się z foteli, a Dianne uściskała nas serdecznie. Gdy staliśmy już w drzwiach, odezwała się:

– Jest naprawdę dobra książka o zaburzeniach więzi, którą może będziecie chcieli przeczytać.

Erika zapisała tytuł i autora.

W drodze do samochodu starałem się zrozumieć znaczenie słów Dianne. Zaburzenia więzi? Narkotyki? Brzmiało to poważnie i trudno było mi pogodzić się z taką diagnozą. Każdy pediatra i terapeuta, który miał do czynienia z Casey od jej niemowlęctwa, był zachwycony postępami, jakie poczyniła. Nikt nigdy nie dopatrywał się związku między jej zachowaniem a dzieciństwem spędzonym w sierocińcu.

Nie podobała mi się też sugestia Dianne, że Casey jest narkomanką, ale to ona była ekspertem. Nie miałem podstaw, by podważać jej opinię. Mimo że zacząłem rozważać możliwość podawania Casey leków, obawiałem się ich skutków ubocznych, zwłaszcza gdy przeczytałem, że mogą zagrażać życiu.

Niestety, kończyły się nam możliwości. Uznaliśmy, że trzeba umówić Casey na wizytę u doktora Palmera.

*

Po powrocie do domu zastaliśmy Casey na sofie w salonie. Oglądała telewizję i jadła prosto z miski owsiane chrupki Cracklin' Oat Bran. Igor leżał zwinięty na swojej macie u jej stóp. Wiedziała, że wracamy od Dianne, więc odezwała się najmilej, jak potrafiła:

– Nie musicie się martwić. Odrobiłam już pracę domową. – Wepchnęła sobie do buzi łyżkę pełną płatków. – Aha, dostałam też czwórkę z minusem z klasówki z fizyki. Przepraszam, że nie czekałam na obiad. Byłam głodna.

Nie wyglądała na przejętą wynikiem naszego spotkania z Dianne i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że stara się mnie ująć swoim urokiem. A jej widok z wiernym psem u boku był niebywale hipnotyczny i w jednej chwili rozładował napięcie towarzyszące nam od chwili przekroczenia progu mieszkania.

– I jak było? – spytała Casey.

Zacząłem szperać w lodówce, nie szukając tak naprawdę niczego szczególnego, a Erika zajęła się sprawdzaniem wiadomości w telefonie. Ignorowaliśmy Casey. „Zbądźcie ją milczeniem i pozwólcie trochę się pomęczyć”. Nie mieliśmy już innej broni.

– Hej?! – zawołała z pytaniem w głosie.

Weszliśmy do salonu i usiedliśmy na mniejszej sofie naprzeciwko Casey. Oboje wyglądaliśmy ponuro.

– Umówiliśmy się, że powinnaś chodzić na terapię – zacząłem, a ona zmarszczyła czoło, słysząc te słowa. – Ale też umawialiśmy się, że musisz tego chcieć, a teraz wyraźnie nie masz na to najmniejszej ochoty.

Napięcie w jednej chwili ustąpiło z jej twarzy. Niemal słyszałem, jak w duszy wykrzykuje triumfalne „Tak!”, wykonując przy tym pełen werwy gest zaciśniętą pięścią.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Nie chciałem poruszać tematu narkotyków mimo wykładu, jakiego udzieliła nam Dianne. Doprowadziłoby to tylko do kolejnej awantury, a nie miałem na nią najmniejszej ochoty. – Umówiliśmy cię na wizytę u specjalisty, który oceni, czy powinnaś przyjmować leki.

Celowo zastąpiłem „psychiatrę” bliżej nieokreślonym „specjalistą”, nie chcąc, żeby Casey wpadła w panikę na wieść o następnym mającym ją badać terapeutę. Spodziewałem się wybuchu i protestów, ale Casey zachowała spokój i tylko wpatrywała się ponuro w telewizor.

Spróbowałem uchwycić jej spojrzenie.

– W porządku?

Wzruszyła ramionami i dalej wpatrywała się przed siebie.

Erika podjęła wątek:

– Zanim pójdziesz świętować, musisz wiedzieć, że ani Dianne, ani tata, ani ja wcale nie jesteśmy zadowoleni z takiego obrotu spraw. Ponieważ nie możemy zmusić cię do udziału w terapii, oczekujemy, że będziesz się zachowywać wzorowo. W przeciwnym razie dostaniesz szlaban. Dożywotni. – Skrzywiłem się na myśl o tym. To znaczyłoby, że wszyscy będziemy uziemieni, ale nie komentowałem, gdy Erika tymczasem dalej stawiała warunki: – Czyli żadnych złościwości, przeklinania, żadnych listów ze szkoły na temat twoich nieobecności i wyników w nauce, absolutnie żadnych więcej wymiotów i przede wszystkim żadnego picia, palenia i narkotyków.

Casey zmierzyła Erikę przesywająco lodowatym spojrzeniem.

– Nie wymiotuję i nie stosuję używek, mamó!

W tym momencie postanowiłem się włączyć, spokojnie, ale stanowczo:

– Casey, daj spokój. Proponuję, byś nie nadużywała naszego zaufania, bo z góry uprzedzam, że jeśli znajdziemy przy tobie cokolwiek, możemy nie mieć innego wyjścia, niż wysłać cię na terapię.

*

Później tego wieczoru, już po kolacji, odpoczywałem z Eriką w naszej sypialni. Byliśmy wykończeni. Erika myła zęby w łazience, a ja wziąłem do rąk numer „Chronicle” i zacząłem przeglądać wiadomości z działu Bay Area. Zatrzymałem się przy nekrologach.

Moją uwagę zwrócił nekrolog ze zdjęciem. Szesnastolatek z Mill Valley „zmarł śmiercią tragiczną”, ale szczegółów nie podano. Rozpoznałem jego nazwisko. To był chłopak, z którym Casey pracowała zaledwie miesiąc wcześniej w Williams-Sonoma. Erika wyszła z łazienki owinięta białym szlafrokiem frotté. Wycierała włosy ręcznikiem.

– Kochanie, nie uwierzysz. – Sam nie wierzyłem w to, co właśnie przeczytałem.

– Co się stało?

– Pamiętasz chłopca z Mill Valley, którego Casey tak lubiła? Tego, z którym pracowała w Williams-Sonoma?

– Tak?

– Nie żyje.

Erika uniosła dłoń do ust i wyszeptała:

– O mój Boże.

Następnego dnia wyszukałem w Google, co znaczyło, że „zmarł śmiercią tragiczną”. Chłopak, który sprawiał, że Casey się śmiała, skoczył z mostu Golden Gate.

Za każdym razem, gdy pozwalaliśmy Casey rezygnować z terapii, byliśmy nagradzani okresem rodzinnej sielanki. W miesiącach, które nastąpiły po zaprzestaniu wizyt u Dianne, Casey zachowywała się jak idealna nastolatka. Kiedy zanosilo się na awanturę, udawało nam się poprzestać na niewielkich utarczkach słownych. Był to dla nas niemały sukces. Wyglądało na to, że pozwoliliśmy Casey nauczyć nas, jak ją wychowywać, by unikać konfliktów.

Udaliśmy się z nią do doktora Palmera. Nie opierała się koncepcji brania leków. Mimo moich obaw mogło się okazać, że magiczna pigułka będzie skuteczną alternatywą dla terapii. Wielu przyjaciół Casey z upodobaniem zażywało specyfiki takie jak zoloft czy prozac.

Pocieszała mnie myśl, że doktor Palmer zalecał nastolatkom najpierw naturalne środki, przy których ryzyko wystąpienia skutków ubocznych było minimalne, a dopiero gdy te zawiodły, sięgał po silniejsze leki na receptę. Początkowo zaproponował Casey przyjmowanie suplementu z witaminą B o nazwie Inositol, który podobno dawał doskonałe efekty w leczeniu takich schorzeń jak depresja, zaburzenia lękowe, nadaktywność i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Mimo że nigdy nie zdiagnozowano u niej żadnej z tych chorób, ten pomysł wydał się nam obiecujący. Znaleźliśmy się w takim punkcie, że byliśmy gotowi chwycić się każdej nadziei. Poza krótką uwagą Dianne dotyczącą zaburzeń więzi kwestia relacji między przeszłością Casey a jej obecnym zachowaniem nie została już poruszona.

Niestety, Inositol nie sprawdził się w roli magicznej pigułki. Casey zaczęła się uskarżać na rozdrażnienie i bezsenność. Nigdy nie należała do osób cierpliwych, dlatego zrezygnowała z leku, a my ponownie zaprowadziliśmy ją do doktora Palmera.

Przepisał jej lamictal, stabilizator nastroju, który miał „uspokoić umysł”.

– Ludzie znów czują się sobą – przekonywał. – I nie ma skutków ubocznych.

Być może to była odtrutka na dolegliwości Casey. Ale po tygodniu zaczęła

się uskarżać na bóle głowy. Miała dość terapeutów, psychiatrów i leków. Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Nie pomagało nasze przymilanie się, błagania ani groźby.

Wróciliśmy z Eriką do punktu wyjścia – zirytowani, wycieńczeni i wściekli na własną córkę, która nie chciała z nami współpracować, gdy staraliśmy się jej pomóc. Nie chcąc wyrzucać już pieniędzy na szukanie rozwiązania naszego problemu, postanowiliśmy wreszcie zrezygnować z terapii u doktora Palmera. Zbliżało się lato. Uznaliśmy, że jesienią podejmiemy kolejną próbę.

Być może Dianne nie myliła się co do zaburzeń tworzenia więzi. Erika odnalazła w bibliotece książkę, którą nam poleciła – *Inteligencja społeczna* autorstwa Daniela Golemana. Niemniej gdy zaczęliśmy ją czytać, okazało się, że nie ma ona wiele wspólnego z kwestią adopcji ani tworzenia więzi. Poruszała zagadnienia z zakresu biologii, nauki o mózgu i zachowań wiążących się z interakcjami międzyludzkimi i związkami. Ani Erika, ani ja nie wiedzieliśmy, o co chodziło Dianne.

Na tym poprzestaliśmy zgłębianie zaburzeń tworzenia więzi.

*

Pod koniec trzeciej klasy, w czerwcu 2007 roku, gdy miała już siedemnaście lat, Casey zdała egzamin na prawo jazdy. Ponieważ chciała móc korzystać z samochodu, zyskaliśmy kolejną marchewkę, którą mogliśmy majtać jej przed nosem, by wyegzekwować od niej zachowanie, na jakim nam zależało. Jednocześnie zaczęliśmy się martwić, że zostanie ranna albo zginie w wypadku.

Koniec szkoły oznaczał też początek sezonu weekendowych imprez. Pewnego sobotniego wieczoru siedzieliśmy we dwójkę na sofie w salonie. Piliśmy wino i przymierzaliśmy się do obejrzenia filmu, na który od jakiegoś czasu mieliśmy ochotę. Był dość drastyczny i nie chcieliśmy, żeby Casey go widziała.

Dokument nosił tytuł *Most* i opowiadał historie ludzi, którzy popełnili samobójstwo, skacząc z mostu Golden Gate. Budził sporo kontrowersji, ponieważ po raz pierwszy od wybudowania mostu w 1937 roku poruszono nieprzyjemną i dotychczas skrzętnie pomijaną kwestię tego, że Golden Gate przyciągał największą liczbę samobójców na świecie. Wiedzieliśmy, że ludzie

rzucali się z niego, ale nie potrafiliśmy pojąć, dlaczego ktokolwiek zdecydował się na taki krok. Ciągłe wracałem myślami do szesnastoletniego chłopca, który też skoczył. Chłopca z Williams-Sonoma, którego Casey tak lubiła. Zastanawiałem się, czy ona o tym wie.

Włączyłem odtwarzanie. Dokładnie w chwili gdy na ekranie przestały przewijać się napisy początkowe i pojawiła się osnuta mgłą konstrukcja mostu, do pokoju weszła Casey gotowa do wieczornego wyjścia. Miała na sobie ulubioną czerwoną pikowaną bluzę z kapturem, długi czarny sweter i szare sprane džinsy oraz zamszowe buty. Z ramienia zwisała jej torebka od Marca Jacobsa w kolorze morskiej wody. Zacząłem szukać po omacku pilota, ale już spojrzała na ekran.

Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Co oglądacie?

– Nic – odparła Erika. – Film dokumentalny.

Przyglądała się nam, jakby nakryła nas na paleniu trawki.

– Ten film o moście?

Spróbowałem zmienić temat.

– Casey, chcielibyśmy to obejrzeć. W porządku?

Nie lubiła, gdy trzymało się ją w nieświadomości. Pokręciła głową ze wzrokiem wyrażającym najdalej posuniętą podejrzliwość.

– Boże, ale jesteście pokręcani, żeby oglądać ludzi, którzy odbierają sobie życie. – Na chwilę zapadła niezręczna cisza. – To mogę wziąć auto?

Mimo że prawo jazdy zrobiła niedawno, już jęczała, że jako jedyna w Redwood nie ma swojego samochodu. Ale oboje z Eriką uważaliśmy, że posiadanie go to przywilej, a nie prawo przysługujące każdemu mieszkańcowi Marin County.

Ustaliliśmy, że mój volkswagen mający na liczniku przeszło sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów będzie wspólnym samochodem. Jak dotąd Casey udało się zyskać nasze zaufanie tym, że dowozi do domu siebie i auto w jednym kawałku. Z ograniczeniem korzystania z samochodu musiała się pogodzić, uznaliśmy jednak, że to niewielka cena za możliwość dysponowania środkiem transportu.

Podszedłem z nią do drzwi i odszukałem kluczyki w kieszeni. Odwróciłem się do Casey i pomachałem jej nimi przed nosem. Uważałem, że powinna trochę na nie zasłużyć.

– Praca domowa odrobiona?

- Tak.
- Pokój wysprzątny?
- Tak, tato.

Nachyliłem się, by pocałować ją w policzek, i poczułem świeży zapach wody perfumowanej Marca Jacobsa. Ani śladu tytoniu, dzięki Bogu. Casey uśmiechnęła się przewrotnie, złapała kluczyki i już miała wychodzić, gdy zatrzymała ją Erika.

- Casey, poczekaj chwilkę!

Casey odwróciła się w stronę matki z rozchylonymi ustami i wyrazem poirytowania na twarzy.

- Masz latarkę?
- Tak, mam.
- A gaz pieprzowy?
- Tak! Może nie pamiętasz, ale skończyłam już pięć lat.

– Weź wodę, żeby się nie odwodnić, i sprawdź paliwo, żebyś nie została bez benzyny!

Casey kierowała się powoli w stronę samochodu.

- Mam, nie jestem opóźniona w rozwoju.

– W porządku. Uważaj na drodze! – Erika pomachała Casey na pożegnanie, a ja stanąłem obok i uniosłem niedbale dłoń.

Ostatnie słowo musiało należeć do Casey.

- No co ty? Wjadę na pierwsze lepsze drzewo. Przecież nie jestem idiotką!

Uśmiechnęła się do nas nieśmiało i pomachała z fotela kierowcy. Potem zapięła pasy, ustawiła lusterka i wyjechała z podjazdu. Patrzyłem, jak się oddala, z mieszaniną dumy i niepokoju.

*

Lato 2007 roku upłynęło nam na szukaniu uczelni. Casey miała zamiar wysłać papiery jesienią, więc poświęciliśmy wakacje na zawężenie listy odpowiednich miejsc i odwiedzenie kampusów. W szczególności interesowały ją nieduże ambitne uczelnie humanistyczne: Reed, Bard, Bennington, Marlboro i Hampshire. Z wyjątkiem Reed wszystkie znajdowały się na Wschodnim Wybrzeżu. Casey chciała się tam uczyć – zapomniała już dawno o swoich doznaniach z Simsbury. Przede wszystkim marzyła o tym, by znaleźć się jak

najdalej od rodziców, o czym przypominała nam bezustannie:

– Nie spodziewajcie się, że będę dzwonić do was codziennie, jak mama do babci.

– Nie przyjadę na wakacje. Pewnie załatwię sobie praktyki w Nowym Jorku.

– No i chyba powinniśmy pomyśleć o transporcie. Będę potrzebowała samochodu taty.

Byłem przyzwyczajony do jej pyskówek, więc nie brałem ich do siebie. Nie miałem zamiaru kłócić się o każde nieprzyjemne słowo, jakie z siebie wyrzucała. Poza tym nie wydawało mi się, żeby naprawdę chciała sprawić nam przykrość.

Pewnej czerwcowej niedzieli po południu zastałem ją pochyloną nad kuchennym blatem, na którym przeglądała przysłaną niedawno błyszczącą broszurę z Reed College. Wtedy znajdował się on na czele jej listy. Oparłem dłoń na jej ramieniu i pocałowałem ją w głowę.

– Cześć. Co to?

– Broszura z Reed College. – *BroszurazReedCollege.*

Zajrzałem jej przez ramię.

– Hmm, dobra szkoła.

– Tak. Ale pewnie się nie dostanę. – Westchnęła.

Słyszając to, skrzywiłem się.

– Nie mów tak, kochanie. Wiesz przecież, że jesteś mądra. – Objąłem ją, a ona mnie przytuliła.

– Tato, mam fatalne oceny i nie poszło mi na egzaminie SAT.

– W poprzednim semestrze miałaś dobre oceny, kochanie.

– Ale mam fatalną średnią. Jakies dwa i osiem dziesiątych. – Musiała usłyszeć pochwałę od kogoś innego niż ja, żeby ją przyjąć.

– Wiesz, że na SAT świat się nie kończy, a średnią zdążysz jeszcze podnieść w pierwszym semestrze ostatniej klasy.

– Tato, nie rozumiesz. Żeby się dostać do Reed, trzeba mieć średnią na poziomie trzy i dziewięć. Mój kolega Alex ma cztery dwa.

Spojrzałem na nią zakłopotany.

– Myślałem, że nie da się wyjść poza cztery. Jakim cudem Alex to zrobił?

Przerzuciła następną stronę.

– Robił zajęcia rozszerzone. Jest Azjata, do tego cholernie mądrym.

Zaśmiałem się pod nosem, bo słowa Casey opisywały typowego dzieciaka z Marin County – pracującego ponad miarę i bardzo ambitnego. Jednocześnie

byłem zaskoczony, że szkoły wymagały obecnie wyników na poziomie niewiele niższym od uniwersytetów Ivy League.

Przez chwilę oglądaliśmy zdjęcia sielankowego kampusu uczelni – przed ceglany budynek kwitły wiśnie, młody człowiek pochyłał się nad laptopem w bibliotece, nauczyciel wskazywał na tablicę zapisaną wzorami.

Zastanawiałem się, ile godzin Casey spędziła w swoim pokoju przy laptopie, oglądając zdjęcia uczelnianego życia, jakie już w przyszłym roku miało się stać jej udziałem. Zazdrościła swojej przyjaciółce Roxanne, która poszła do szkoły z internatem w New Hampshire. Podejrzewam, że wyobrażała sobie to miejsce jako Hogwart z *Harry'ego Pottera* i chciała się znaleźć w takim samym.

– To co ci się podoba w Reed? – zapytałem.

– Praca dyplomowa. – *Pracadyplomowa.*

– To znaczy?

– Na ostatnim roku dają ci ogromny projekt. Musisz zrobić z niego prezentację, a potem oprawiają twoją pracę magisterską i umieszczają ją w bibliotece.

Zaskoczyła mnie.

– To ci się podoba?

– Tak! – odparła podekscytowana.

– Mnie by to przerażało, ale ty uwielbiasz się uczyć. – Naprawdę podziwiałem jej głód wiedzy. Zupełnie nie przypominała mnie z lat szkolnych, ja zawsze decydowałem się iść po linii najmniejszego oporu, byle tylko dostać zaliczenie.

Poklepała mnie po ramieniu.

– Stare dobre czasy, prawda, tato?

Spojrzeliliśmy na stronę poświęconą uczelnianemu wybiegowi dla psów. Umieszczono na niej zdjęcie długonosego greyhonda.

– Och... – westchnęła Casey. – Szkoda, że nie będę mogła zabrać Igora.

– Musiałabyś go karmić i sprzątać jego kupy.

Dała mi delikatnego kuksańca w bok.

– Tato, a masz pieniądze, żeby wysłać mnie na studia?

– Dlaczego o to pytasz?

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc wzroku.

– Myślałam, że jesteśmy spłukani.

Do czego zmierzała? Szukała wymówki, żeby móc okazać rozczarowanie?

– Posłuchaj, Casey. Po pierwsze, mamy pieniądze. Po drugie, twoje studia są już opłacone, a po trzecie, to i tak nie twoja sprawa. – Parsknęła cicho na znak zgody, a ja dodałem: – Na szczęście mam tylko jedno dziecko.

Posłała mi udawanie gniewne spojrzenie.

– Dobrze, że szkoły, które wybrałaś, nie specjalizują się wyłącznie w jednej dziedzinie – powiedziałem. – Musisz pokazać im, że dobrze piszesz, i zebrać pozytywne referencje.

– Pan DiStefano powiedział, że napisze mi referencje.

Uśmiechnąłem się.

– Widzisz, kochanie. Nie przejmuj się na zapas. Masz mnóstwo czasu i wszystko będzie dobrze. – Miałem nadzieję, że brzmię przekonująco. Na samą myśl o jej rozpaczy przechodziły mnie ciarki, a najgorszego – że nie dostanie się na którąś z wymarzonych uczelni – starałem się w ogóle nie brać pod uwagę.

– Racja. – Westchnęła i przerzuciła kolejną błyszczącą stronę broszury.

*

Później tego wieczoru siedziałem sam na sofie i oglądałem *60 Minutes*. W pewnym momencie puścili reklamę Apple'a prezentującą nowy model iPhone'a, który miał być dostępny pod koniec czerwca. Casey właśnie opuściła swój pokój i szła przez salon w stronę kuchni. Miała na sobie czarną bluzę z kapturem, dżinsowe rurki i kosmate kapcie z owczej wełny. Zatrzymała się przed telewizorem z otwartą buzią. Wskazała na ekran i wyjęczała:

– Chcę taki!

Niestety, obchodziła już urodziny i miała telefon.

– Każdy chce – przyznałem.

– Och... – Spojrzała na mnie błagalnie.

– No i dostałaś niedawno razra.

Robiła wszystko, co mogła, by wyglądać na pięcioletnie dziecko.

– Wiem...

– Może jeśli ktoś tu będzie grzeczny, to dostanie taki pod choinkę.

– Tato – zaskomlała. – To jeszcze pół roku.

Znów ze mną pogrywała, ale raczej nie spodziewała się, bym zechciał wydać czterysta dolarów na nowy telefon. Staraliśmy się też z Eriką nauczyć

ją doceniać nagrody i tego rodzaju prezenty dawaliśmy wyłącznie na wyjątkowe okazje.

Udając rozczarowanie, powlekła się do kuchni, wzięła z lodówki napój i zawróciła do swojego pokoju. Gdy przechodziła obok mnie, wydeła wargi i zrobiła smutną minę. Miała siedemnaście lat, a nadal potrafiła chwycić mnie za serce. Wróciłem do oglądania programu. Mike Wallace przeprowadzał wywiad z Jackiem Kevorkianem, Doktorem Śmierć.

Kilka minut później Erika wyszła z łazienki i stanęła między mną a telewizorem z ponurym wyrazem twarzy. Zacząłem się zastanawiać, co przeskrobałem. Może wyrzuciłem gazetę albo wylałem jej wystygłą już kawę? Usiadłem prosto.

– Co się stało? – Wyraz jej twarzy bardzo mnie zaniepokoił.

– Chciałam ci coś pokazać. – Stała sztywno, jakby usiłowała powstrzymać się przed wybuchem.

Poszedłem za nią do sypialni. Zamknęła drzwi i wskazała na moją komodę.

– Patrz, co znalazłam w pokoju naszej córki.

Komoda wyglądała jak żywcem wyjęta z nalotu na melinę narkomanów – leżała na niej bogata kolekcja różnych farmaceutyków i utensyliów ułożonych w elegancką wystawkę. Naprzeciwko tego arsenału środków farmakologicznych, tworząc niemały kontrast, stały dwa zdjęcia oprawione w ramki – jedno, zrobione w dniu chrztu Casey, przedstawiało całą naszą trójkę, z drugiego uśmiechała się do nas sześciolatka Casey siedząca na nowym rowerku.

Przyglądałem się tym dowodom. Była tam szklana fajka, którą od razu podniosłem i powąchałem – trawka. Niewielki przezroczysty woreczek strunowy zawierał na oko kilka gramów zioła. Moją uwagę przykuły przedmioty, których nie rozpoznawałem. Podniosłem szare opakowanie po kliszy fotograficznej – takie samo, w jakim za młodu trzymałem swoją trawkę – podważyłem jego wieczko i wysypałem zawartość na dłoń. Było to coś brązowego, niewątpliwie organicznego i bez zapachu. Grzyby? Pomarańczowe plastikowe opakowanie po lekach, w którym kiedyś znajdował się przepisany mi paxil, było teraz wypełnione białymi pigułkami z nadrukowanymi uśmiechniętymi buźkami. Co to było? Kwas? Ecstasy? Kolejny przezroczysty woreczek zawierał jeszcze więcej białych pigułek, które wyglądały dziwnie organicznie. Erika stała obok mnie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, z trudem powstrzymując łzy.

Byłem tak ogłuszony, że nie wiedziałem, jak zareagować. Moja nastoletnia córka wodziła mnie za nos i czułem się jak dureń światowego formatu. Niczym łatwowierny idiota modliłem się, żeby cały ten problem jakoś się rozwiązał lub sam rozwiązał. Może naprawdę powinniśmy spełnić groźbę i wysłać ją do szkoły dla dzieci z problemami.

I do diabła ze studiami.

– Niech ją szlag – wymruczałem, myśląc z obrzydzeniem o sobie i o swojej córce.

Erika wzięła w dłoń jedną z buteleczek z białymi pigułkami.

– Straciliśmy kontrolę nad naszą córką.

Patrzyłem na fajkę, pigułki i trawkę ułożone na mojej komodzie i nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że widzę więcej narkotyków, niż jeden człowiek potrzebowałby na własny użytek.

Może była uzależniona, ale czy rzeczywiście? Przecież widywaliśmy ją codziennie. Jeśli brała narkotyki pod naszym dachem, musiała mieć wielki talent, by ukryć, że jest na haju. Zawsze wydawała się w porządku. Może była dilerką? Miałem ochotę postawić ją przed plutonem egzekucyjnym.

– Przyprowadzę ją – oznajmiłem grobowym głosem.

Erika została w sypialni, ja tymczasem poszedłem po Casey. Drzwi do jej pokoju były otwarte, wszedłem więc do środka. Siedziała tam, gdzie zawsze, skulona nad biurkiem ze słuchawkami iPoda w uszach. Spojrzała na mnie z niewinną miną i wyjęła jedną ze słuchawek.

– Casey, mogę cię prosić?

Poszła za mną do naszej sypialni, gdzie Erika cały czas czekała przy komodzie. Casey spojrzała na poukładane równo środki odurzające i przyrządy do ich zażywania, jakby widziała je pierwszy raz. Erika milczała, a ja zapytałem:

– Co to jest?

Casey wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Erika nie zdołała się powstrzymać.

– Casey, znalazłam to w twoim pokoju!

W tym momencie twarz naszej córki zrobiła się cała czerwona.

– Co?! Mieliście nie szperać w moim pokoju! To naruszenie mojej prywatności! Jak śmiałaś?!

Patrzyła na nas z oburzeniem. Ona gniewała się na nas? To zakrawało na

jakaś hucpę. Wziąłem jedną z fiolek i potrząsnąłem jej przed twarzą.

– Co to, do cholery, jest, Casey? Ecstasy? Kwas? Skąd to wzięłaś?

Pokręciła głową, a w jej oczach zobaczyłem strach.

– To nie moje, tato! Poproszono mnie, żebym to przechowała!

Erika znów się wtrąciła.

– Naprawdę? A kto cię poprosił?

Sam chciałem to wiedzieć.

Przerażenie Casey przerodziło się w furję.

– Nigdy bym wam nie wydała moich znajomych!

– Handlujesz tym, Casey? – zapytała wprost Erika.

Casey spojrzała na nią z wyraźną wrogością. Odepchnęła mnie na bok i odmaszerowała do swojego pokoju. Zawołałem za nią:

– Casey, wracaj tu!

Trzasnęły tylko drzwi do jej pokoju, a potem usłyszałem, jak okłada je pięściami. Jej krzyki niosły się echem po całym domu.

Usiedliśmy z Eriką pod jej pokojem. Wyglądaliśmy jak dwójka negocjatorów. Na próżno starałem się utrzymać nerwy na wodzy, w końcu powiedziałem szeptem do Eriki:

– Najchętniej bym ją teraz udusił.

– Słyszałam! – Casey wrzasnęła zza drzwi i kopnęła je z całej siły. Miałem ochotę je staranować. – Niedługo skończę osiemnaście lat i wyjadę! – zawyła.

– Nie będziecie mi już mówić, co mam robić! Nigdy do was nie zadzwonię, a wy się zestarzejecie i umrzecie!

W tamtym momencie nienawidziłem swojej córki. Nie zachowywała się normalnie – gniewne tyrady, prymitywne wrzaski, walenie w drzwi. Wyglądało to tak, jakby coś przejmowało nad nią kontrolę, a ona nie potrafiła nic na to zaradzić.

Próbowałem naprzeć ramieniem na drzwi. Po wielu próbach podważania zamek przestał działać i jakiś czas temu postanowiliśmy go zdemontować, próbując pozbawić Casey przywileju prywatności, ale mimo to ona potrafiła skutecznie przytrzymać drzwi z drugiej strony. *Boże, jaka ona silna.* Jednocześnie cały czas krzyczała, płakała i kopała. *Cholera, tym razem sąsiedzi na pewno zadzwonią do opieki społecznej.*

Próbowaliśmy z Eriką na zmianę przekręcić klamkę. Baliśmy się panicznie tego, co mogło się wydarzyć po drugiej stronie drzwi. Kusiło mnie, żeby kopniakiem rozwalić to, co z nich zostało.

Po półgodzinie bezskutecznych prób otwarcia ich i uspokojenia Casey uznałem, że mam dość. Zacząłem mówić do niej, jak gdybym negocjował z terrorystą.

– Casey, jeśli nie przestaniesz, wezwę policję!

Kolejne kopnięcie. Poszliśmy do kuchni. Wybrałem numer posterunku w Tiburon.

Wróciłem pod drzwi pokoju Casey. Były otwarte, ale teraz z kolei nie mogliśmy wejść do łazienki. Nie zauważyliśmy, kiedy się tam wyslizgnęła. Pewnie gdy byliśmy w kuchni.

Erika przystąpiła do szturmowania drzwi łazienki.

– Casey, co tam robisz? Otwieraj! – Załomotała, ale z drugiej strony odpowiedziała jej cisza. Wrzasnęła wtedy: – Casey!

W jednej chwili przed oczami stanął mi obraz jak z najgorszych koszmarów – wyłamujemy drzwi i znajdujemy córkę na podłodze, nieprzytomną, całą we krwi z żyłką w zimnej bezwładnej dłoni. Chociaż od dawna nie mieliśmy dowodów na to, by się cięła, nadal staraliśmy się chować wszystkie ostre przedmioty.

Rozległ się dzwonek. Erika podeszła do mnie, gdy otwierałem drzwi funkcjonariuszowi policji. Jego motocykl stał zaparkowany przy ulicy. Policjant był młody, dobrze zbudowany, miał krótko obcięte włosy i profilowane okulary przeciwsłoneczne. Na piersi widniało nazwisko „Gilbreath”. Mógłby być starszym bratem Casey.

Wyjaśniliśmy, co działo się przez ostatnią godzinę, nie wspominając oczywiście o narkotykach, chociaż kusilo mnie, żeby dać córce nauczkę i przekazać ją oraz prochy przedstawicielowi prawa. Posterunkowy Gilbreath zachował spokój i profesjonalną postawę przez całą naszą relację.

Poprosił, żebyśmy poczekali w kuchni, tymczasem sam poszedł porozmawiać z Casey. Usłyszałem szczęknięcie zamka w łazience i kątem oka dostrzegłem cień przemykający do pokoju. Dzięki Bogu ciągle żyła.

Posterunkowy Gilbreath dołączył do nas po jakichś dziesięciu minutach. Nie powiedział, o czym rozmawiali, tylko zapewnił, że Casey się uspokoiła i wszystko jest z nią w porządku.

Przepraszałem gorąco, gdy odprowadzałem go do drzwi, ale obrócił to w żart. Przypuszczalnie nie po raz pierwszy wezwano go do awantury rodzinnej w modnym Tiburon.

Przyglądałem się, jak odjeżdża sprzed naszego domu, przy okazji

sprawdzając, czy sąsiedzi nie okazali się nadmiernie wścibscy. Spojrzałem na zegarek – była dwudziesta pierwsza czterdzieści, ale wydawało mi się, że jest znacznie później. Musieliśmy ochłonać.

Tamtej nocy daliśmy Casey spokój pod warunkiem, że nie wyjdzie w nocy z domu. Byliśmy wyczerpani i postanowiliśmy zrobić coś z tym później.

Następnego dnia, gdy szykowałem się do pracy, postanowiłem sprawdzić, co u Casey. Często rano po większych wybuchach pojawiała się świeża i wesolutka, zachowując się przy tym, jakby nic się nie stało. Idąc do kuchni po poranną kawę, zerknąłem w stronę jej pokoju. Drzwi były uchylone, zaryzykowałem więc i zajrzałem do środka.

Nie było jej.

Łóżko zostało zasłane, poduszki porządnie ułożone, a cały pokój był nieskazitelnie wysprzątny. W zasadzie wyglądał, jakby zostawiono w nim tylko to, co niezbędne. Z nadstawki na biurku, gdzie Casey trzymała podręczniki i zbierane przez lata drobiazgi, zniknęły niektóre przedmioty osobiste: woskowa figurka smoka, którą dostała kiedyś pod choinkę, Budda, którego kupiła w Haight, fajansowy nosorożec, którego zapragnęła podczas wizyty w San Diego Wild Animal Park, oraz ramka ze zdjęciem Igora z okresu, kiedy był szczeniakiem.

Opróżniona była także biblioteczka. Zniknął album ze zdjęciami, które dostała ode mnie, lalka Robin Hood American Girl, albumy ze szkolnymi zdjęciami. Nie został po nich nawet ślad. Początkowo nie dopatrzyłem się niczego złego w tym, że posprzątała swój pokój, bo zazwyczaj panował w nim ogromny bałagan. Już dawno przestaliśmy ją z tego powodu upominać, uznając, że niech żyje, jak chce.

Podszedłem do szafy, uznawszy, że w niej wszystko schowała, ale okazało się, że wewnątrz wygląda jak zwykle – jest pełne powciskanych chaotycznie ubrań: niektóre zwisały z wieszaków, inne spadły z nich na sam spód.

Gdzie w takim razie podziały się rzeczy Casey i, przede wszystkim, gdzie ona się podziała? Powiedzieliśmy przecież, że nie wolno jej wychodzić. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem, że saab stoi zaparkowany przed domem. Nie mogła uciec, ale właściwie nigdy nie byłem do końca pewny, do czego tak naprawdę była zdolna.

Poszedłem do kuchni, gdzie znalazłem numer „Chronicle” złożony na blacie tak, jakby na mnie czekał. Na gazecie stał pusty kubek po kawie. Serce zabiło mi szybciej i przez chwilę pomyślałem, żeby znów wezwać policję, wtedy jednak zobaczyłem kartkę z napisaną przez Casey notatką. Leżała pod kubkiem:

Przepraszam. Poszłam do Bell Market po bajgla. Zaraz wracam.

Odetchnąłem powoli. Dzięki Bogu nic jej się nie stało. Ale co robiła na nogach tak wcześnie? Trwały wakacje i nie musiała chodzić do szkoły. Nie miałem czasu, żeby zbadać tę sprawę. Ekspres został nastawiony jeszcze wieczorem, więc tylko nalałem sobie kawy w nadziei, że trochę rozjaśni mi myśli, a potem sięgnąłem po „Chronicle”. Pod gazetą leżała złożona na pół kartka papieru do drukarki. Rozgąłem ją i zobaczyłem wyglądający bardzo oficjalnie, napisany na komputerze list. Byłem już nieco spóźniony, ale poświęciłem jeszcze minutę, żeby go szybko przebiec wzrokiem.

Mamo i Tato!

Uważam, że to jedyny niekonfrontacyjny sposób przekazania tego, co myślę, ponieważ wątpię, czy w jakichkolwiek innych okolicznościach zostałabym należycie wysłuchana. Próba prowadzenia rozmowy skończyłaby się kolejną niedojrzałą kłótnią, która do niczego by nas nie doprowadziła.

Brzmiało to dojrzałe i rozsądnie. Przynajmniej udało nam się nawiązać dialog – wprawdzie listowny, ale lepszy niż żaden. Może tak właśnie powinniśmy się porozumiewać – na piśmie.

Nie mówię, że eksperymenty z narkotykami są częścią dorastania, ale mogą być pouczającym doświadczeniem. Nie mówię, że branie narkotyków jest właściwe. Próbuję powiedzieć, że eksperymentowanie (nie uzależnienie) może prowadzić u nastolatka do pozytywnych wyników.

Rewelacja. Oto słowa prawdziwej wyznawczynie psychodelicznej ikony lat sześćdziesiątych, doktora Timothy’ego Leary’ego, który przekonywał nas: „Włącz się, dostrój, odpadnij”.

Nie biorę (i to trzeba podkreślić wyraźnie) narkotyków stale ani dla rozrywki. Ten list nie jest zuchwałą próbą uzyskania od Was pozwolenia na

zażywanie narkotyków. Uważam jednak, że porozumienie (czy też pewnego rodzaju tolerancja) jest podstawą relacji łączącej dziecko i rodzica.

Ta mała miała jaja. Żądała od nas wdrożenia polityki „nie pytaj i nie mów”. Do głowy by mi nie przyszło napisać czegoś takiego do swoich rodziców. Widziałem ją oczami wyobraźni jako następczynię Williama Kunstlera, budzącego kontrowersje adwokata, który wsławił się obroną członków grupy Weathermen, a potem bronił terrorystów, handlarzy narkotykami i bronią.

Wiem, że oboje jesteście przeciwnikami zażywania narkotyków w jakiegokolwiek postaci, ale jednorazowe odkrycie ecstasy w rzeczach dziecka nie jest dowodem na to, że dziecko (ja) jest „na drodze do uzależnienia”. Nie palę papierosów i bardzo rzadko zdarza mi się palić marihuanę. Zdecydowanie nie jestem „ćpunem”. Bardzo mi przykro, że wypadki potoczyły się w taki sposób.

Nie zgadzałem się z podstawowym przesłaniem tego listu – że zasady dotyczące zażywania przez nią narkotyków podlegały jakiegokolwiek dyskusji – ale byłem pod wrażeniem sposobu, w jaki przedstawiła swój punkt widzenia.

Zostawiłem list na blacie, żeby Erika mogła się z nim zapoznać, i poszedłem wyrzucić fusy po kawie do kosza pod zlewem. Był pełny, więc wyniosłem go przez drzwi kuchenne do pojemnika stojącego przed domem. Gdy uniosłem pokrywę, zamarłem ze zdumienia. Było w nim wszystko: woskowy smok, Budda, fajansowy nosorożec, zdjęcie Igora, albumy ze zdjęciami, trofea sportowe, lalki American Girl, zdjęcia klasowe, gry komputerowe, biżuteria, którą Erika dla niej zrobiła. Wyglądało to tak, jakby Casey wyniosła całe swoje życie na śmietnik.

Czytałem w Internecie, że ludzie mający skłonności samobójcze często oddają swoje rzeczy. Próbowala nami wstrząsnąć czy po prostu tego nie przemyślała? Czasami w napadach gniewu bywała porywcza i destrukcyjna.

Kiedyś, po którejś z awantur, dostała się do komputera Eriki i usunęła z programu pocztowego całą książkę adresową, żeby zrobić matce na złość. Innym razem wyjęła z jej szafy wszystkie ubrania i usypała z nich na podłodze wielki stos. Nigdy nie potrafiliśmy wyjaśnić tych ekstremalnych zachowań. Nawet biorąc pod uwagę czupurność Casey, nie dopuszczałem do siebie myśli,

że mogłaby sięgnąć po rozwiązanie tak ekstremalne jak odebranie sobie życia. Nie wykluczałem, że może chcieć uciec z domu, nawet moim samochodem. Przypuszczalnie chciała nas zdenerwować, co zresztą jej się udało.

A może miała rację, że nie mieliśmy bladego pojęcia, kim była.

*

Tamtej nocy zamknęliśmy się z Eriką w sypialni. Ona siedziała na łóżku, ja zająłem miejsce na sofie po drugiej stronie pokoju.

Staraliśmy się zrozumieć znaczenie przeprowadzenia przez Casey czystki w pokoju. Erika miała w oczach łzy gniewu. Powiedziała mi, że cały ranek wygrzebywała z kosza rzeczy Casey zmieszane z fusami, skórkami po bananach i kośćmi kurczaka. Rozważała, czy nie zostawić ich tam, gdzie je wyrzuciła Casey, i nie pozwolić jej odczuć na własnej skórze skutków tej decyzji. Ale nie potrafiła porzucić tych wszystkich pamiątek, do których była przywiązana, nawet jeśli dla naszej córki nic nie znaczyły.

– Czy wyjaśniła, dlaczego to zrobiła? – zapytałem.

Erika osuszyła oczy i pokręciła głową.

– W ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Cały dzień bunkruje się w pokoju. – Przygryzłem nerwowo wargę, a ona ciągnęła: – Naprawdę mnie to niepokoi, John. Te napady szału, opór przed udziałem w terapii, niechęć do poddania się dyscyplinie, raz dobre, raz złe oceny, picie i narkotyki, wezwanie policji, a teraz to. Nie wiem, czy to skłonności autodestrukcyjne, samobójcze, czy zwykłe szaleństwo.

Nie potrafiłem patrzeć Erice w oczy, więc wbiłem wzrok w podłogę. Szukałem odpowiednich słów, ale w głowie miałem pustkę.

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zapytała. Podniosłem wzrok. – Powinniśmy ją wysłać do jednej ze szkół dla dzieci z problemami.

Skrzywiłem się.

– Wiesz, ile to kosztuje? – Erika nigdy nie myślała o pieniądzach.

– Tylko to się dla ciebie liczy? Pieniądze? A twoja córka?

Oburzyło mnie to oskarżenie. Ktoś przecież powinien myśleć o naszych finansach.

– Jeśli ją tam wyślemy, jeśli w ogóle zdołamy ją do tego przekonać, nie będzie nas stać na posłanie jej na studia.

Erika skierowała palec oskarżycielsko w moją stronę.

– Jeśli zdołamy ją przekonać? Nie możemy pozwolić jej nami rządzić! Zawsze chcesz jej ustępować, owinęła sobie ciebie wokół małego palca. Kiedy w końcu zaczniesz zachowywać się jak ojciec i potraktujesz ją stanowczo?

Splotłem dłonie i znów wbiłem wzrok w podłogę.

Ile to już lat próbowaliśmy kontrolować zachowanie Casey? Dlaczego Erika nie rozumiała, że stanowczość do niczego nie prowadzi? Casey pozostawała niepodatna na dyscyplinę. Obawiałem się, że przeniesienie naszych obowiązków na specjalną szkołę tylko oddaliłoby ją od nas i jeszcze bardziej zatręło toksyczną atmosferę w domu. Wydawało się, że każde wyjście z tej sytuacji trąciło pójściem na łatwiznę. Tak samo było z zabranianiem Casey wychodzenia w domu. Rzadko przynosiło skutek, poza tym nie mogliśmy trzymać jej w zamknięciu przez całą młodość.

Czystka w pokoju pozostała zdarzeniem niewyjaśnionym. Mimo że poczynania Casey często były gwałtowne, ciągle miałem wrażenie, że Erika przypisuje im zbyt duże znaczenie. Casey była po prostu impulsywna. Najpierw działała, dopiero później myślała. Nie rozwiązaliśmy jeszcze problemu odkrytego zapasu narkotyków i nie omówiliśmy wizyty policjanta minionego wieczoru. Obecny kryzys przyćmił całkowicie tamtą sprawę. Czy poza wszystkimi kłopotami, jakie nam sprawiała, zajmowała się rozprawdaniem narkotyków?

Erika odezwała się głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– No to co mamy robić, skoro nie będziemy wysyłać jej na terapię, chociaż umawialiśmy się, że to będzie nasz następny krok?

Zapadłem się głębiej w sofę i wciągnąłem powietrze, a potem wypuściłem je powoli.

– Nie wiem. Po prostu jestem zmęczony. Przypuszczam, że będzie siedzieć w pokoju, dopóki nie postanowimy inaczej.

– Przypuszczasz?

Zerknąłem przelotnie na Erikę, przytłoczony oskarżeniami o to, że nie jestem wystarczająco stanowczy, których wysłuchiwałem, odkąd Casey poszła do szkoły podstawowej. Nie wiedziałem już, kiedy powinienem okazywać wyrozumiałość, a kiedy silną rękę. Zabraniając Casey wychodzić, skazywaliśmy się na konieczność pilnowania jej cały czas. Oznaczało to, że wszyscy będziemy niezadowoleni, smutni i uwięzieni razem w domu.

Na szczęście ten stan nie utrzymał się długo. W lipcu i sierpniu mieliśmy wyjechać na wschód, by sprawdzić szkoły, jakie wybrała Casey, więc jej areszt domowy zakończył się po zaledwie kilku tygodniach. W podróży mogliśmy ograniczać się do pustych gróźb, że później policzymy się za jej niepoprawne zachowanie. Ale wszystko wskazywało na to, że po powrocie do domu sprawa będzie albo zapomniana, albo zostanie zignorowana. Ostatecznie groźba kary miała moc jedynie w chwili wykrycia wykroczenia. Taka kara nie podlegała odroczeniu.

Casey ekscytowała się nadchodzącą wyprawą. Spędzała całe godziny w sieci, analizując dokładnie strony internetowe wybranych uczelni, porównując notatki ze znajomymi i wymieniając się z nimi spostrzeżeniami. Wabiły ją wizje kościołów z białymi wieżami pośród skąpanych w barwach jesieni kampusów uniwersyteckich, a podczas nocnych rozmów z Roxanne wysłuchiwała opowieści o szkole z internatem. Zapomniała już, jak wyglądały pierwsze lata jej życia w takiej malowniczej miejscinie w Nowej Anglii, w Simsbury w stanie Connecticut.

Podróż minęła w atmosferze kruchego zawieszenia broni. Przejechaliśmy przez Nowy Jork, Vermont i Massachusetts w wynajętej toyocie camry. W dwa dni odwiedziliśmy pięć szkół. Kłóciliśmy się o wybór trasy, kolejność zwiedzania poszczególnych kampusów, wybór stacji radiowej, restauracji i hoteli. Po dwóch dniach gniecenia się jak myszy w klatce opadliśmy bez sił w hotelu Hertz przy lotnisku JFK. Lada dzień Casey miała uzyskać wymarzoną wolność i niezależność, a nam pozostawała nadzieja, że o nas nie zapomni.

We wrześniu 2007 roku Casey rozpoczęła ostatnią klasę w Redwood. Erika nadal okazywała niezadowolenie z powodu braku mojej reakcji na incydent narkotykowy, do którego doszło latem. Zawsze oburzało ją moje dążenie do utrzymania zawieszona broni w kontaktach z córką, chęć zachowania pokoju zamiast dążenia do konfrontacji. Czas płynął, a w rozumieniu nastolatki ograniczenia, mierzone przecież w dniach, a nie w tygodniach czy miesiącach, odeszły dawno w niepamięć. Zresztą Casey rzuciła się w wir zajęć szkolnych, a ja nie chciałem, by cokolwiek ją rozpraszało.

Martwiła się skutkami zaległych i oddanych z opóźnieniem prac domowych oraz nieobecnościami, które zepsuły jej niegdyś nieskazitelną drogę edukacji i mogły pokrzyżować plany związane ze studiami. Postanowiła podnieść średnią do wartości powyżej trzech, żeby mieć szansę w rywalizacji z mocną konkurencją, a do wysłania podania o przyjęcie na uczelnię pozostał tylko semestr.

Mogła osiągnąć to, co zamierzyła, zapisując się na zajęcia rozszerzone, które dałyby jej dodatkowe punkty. Wybrała trzy przedmioty i zapewniała, że da radę – i to z przyjemnością – sprostać temu wyzwaniu. Wiedziałem z doświadczenia, że w takich okolicznościach radziła sobie najlepiej.

W październiku wybrała uczelnię. Oznajmiła nam to raczej, niż spytała o naszą zgodę – zazwyczaj tak właśnie postępowała. Zrobiła to pewnego pięknego niedzielnego popołudnia, gdy siedzieliśmy z Eriką na zewnątrz, zachwycając się babim latem. Dla takich dni chciało się żyć. Casey wypadła nagle z domu, z typowym dla siebie rozmachem rozwierając drzwi z zamontowaną siatką przeciw owadom, i z wyrazem zadowolenia na twarzy opadła ciężko na stojące między nami krzesło.

– Dobrze, rodzice – ogłosiła tonem festiwalowego naganiacza. Nie musiała się wysilać, żeby przykuć naszą uwagę, szczególnie jeśli była w dobrym nastroju. – Mam już plan na studia. – Umilkła, czekając na naszą reakcję.

W ten sposób domagała się aprobaty.

Uniosłem brwi.

– Naprawdę? Oświeć nas, proszę!

– Składałam papiery w pierwszym terminie do Bennington. – Dla lepszego efektu uderzyła dłońmi w oparcie krzesła.

Rozsądnie, uznałem. Bennington miało opinię doskonałej, choć kosztownej szkoły o alternatywnym zacięciu artystycznym. Niedaleko, w Connecticut, mieszkały moja mama i babcia. Babcia miała wprawdzie sto sześć lat i była słabego zdrowia, ale powtarzaliśmy to od lat, a ona od lat jakoś się trzymała. Spojrzałem na Erikę, która sprawiała wrażenie powściągliwej i przypuszczalnie nie była zadowolona z tego, że Casey chce opuścić Zachodnie Wybrzeże.

– Super! – powiedziałem. – A dlaczego Bennington?

– Bo mają tam fajny program zajęć, poznałam przez sieć ludzi, którym się tam podobało, i wydaje mi się, że mam szansę w pierwszym terminie – powiedziała z przekonaniem Casey. Słyszała, że uczelnie wykazują większą elastyczność wobec kandydatów zgłaszających się wcześniej, jeżeli w razie przyjęcia zadeklarują się, że będą chodzić na zajęcia.

Erika wyglądała na zaniepokojoną.

– A szkoły na Zachodnim Wybrzeżu, Casey?

Ona tylko spojrzała na matkę.

– Mamo, chcę się wynieść jak najdalej stąd!

– Casey, jak możesz tak mówić. – Erika nie kryła, że jest jej przykro.

Starąłem się delikatnie wziąć jej stronę.

– Casey, czy wiesz, jak zimne są zimy w Vermont? – Zapewne wydawało się jej, że zima to plus cztery stopnie i słońce jak w Tahoe.

– Tak! Będzie świetnie!

Erika nie odpuszczała:

– Casey, po prostu martwię się, co będzie, jeśli zachorujesz.

Casey aż podskoczyła na krześle.

– Mamo, to głupie. Przecież uczelnie mają szpitale! – Podniosła się i wpadła z impetem do domu.

Erika zwróciła się do mnie rozdrażniona:

– Dlaczego mnie nigdy nie poprzysz? Naprawdę się martwię, jak sobie da radę z dala od domu. W innych rodzinach to rodzice decydują, jakie szkoły będzie kończyć ich dziecko. Dlaczego my nie mamy nic do powiedzenia?

Skrzywiłem się, bo przecież nigdy nie byliśmy w stanie zmusić Casey do niczego. Mogliśmy tylko pozwolić jej być sobą. Gdy obrała jakiś cel, nic nie mogło stanąć jej na drodze, nie tolerowała też niczyjej pomocy. Na zajęciach rozszerzonych zebrała imponującą kolekcję piątek i czwórek, a prace wstępne stały się jej obsesją – postanowiła naprawdę pokazać, na co ją stać. Jeśli chciała spróbować swoich sił w Bennington, byłem za tym, by dać jej szansę wykazania się, zamiast odwozić ją od tego pomysłu.

W związku z determinacją Casey, by przejąć kontrolę nad nowym rozdziałem swojego życia, postanowiliśmy nie zwracać uwagi na kwestie dotyczące jej zachowania, będące od lat źródłem problemów, o ile sprawa nie okaże się naprawdę poważna – jak na przykład wór marihuany pod łóżkiem czy zauważalna utrata wagi.

Zależało nam na tym, by wyjechała na studia. Powoli zaczynałem się odprężyć. Czułem, że przetrwamy ten okres.

*

Któregoś październikowego wieczoru siedziałem rozparty wygodnie przed telewizorem i oglądałem wiadomości, racząc się przy okazji lampką wina. W pewnym momencie do pokoju weszła Casey.

– Tato?

– Tak?

– Możemy porozmawiać?

Było to dziwne. Najwyraźniej czegoś potrzebowała, zapewne pieniędzy.

– Oczywiście. – Poczekałem, aż usiądzie.

– Wolałabym tam. – Wskazała na mój gabinet.

Nigdy wcześniej nie chciała rozmawiać ze mną na osobności. Poszedłem za nią. Zamknęła drzwi i usiedliśmy. Patrzyła na mnie z psotnymi iskierkami w oczach.

– Wiesz, tato, wczoraj szukałam proszków na przeziębienie i zawędrowałam do twojej łazienki. – Przerwała, a ja przyjrzałem się jej uważnie. – Zajrzałam do twojej kosmetyczki...

Gdy usłyszałem słowo „kosmetyczka”, wiedziałem, co znalazła – mój zapas zioła. Myśli galopowały mi w takim tempie, że nie słyszałem nawet, jak skończyła poprzednie zdanie.

Zdołałem zachować spokój i obojętność, ale oboje wiedzieliśmy, o co chodzi – oto ziszczał się mój koszmar, przyłapało mnie własne dziecko. Nie dość, że byłem fatalnym ojcem, to jeszcze wyszła na jaw moja hipokryzja. Świetna robota, tato. Trzymaliśmy się nawzajem w szachu.

Poczułem, że krew odpływa mi z twarzy, chciałem się zapaść pod ziemię, zniknąć w jednej chwili i rozpaczliwie zastanawiałem się, co powiedzieć.

– Dobrze, Casey. Do czego zmierzasz?

Upajała się każdą sekundą tej sceny.

– Pomyślałam tylko, że moje znalezisko jest wyjątkowo interesujące w świetle twoich poglądów na moje kontakty z narkotykami.

Szukałem w głowie racjonalnych argumentów.

– Casey, to nie zmienia niczego w moim podejściu do kwestii narkotyków i do ciebie. Masz siedemnaście lat i nie wiemy, jak takie środki wpłyną na twój organizm. Mama i ja staramy się dbać o twoje bezpieczeństwo, dopóki nie staniesz się samodzielna.

– Tato, nie jestem ćpunką. Wiem, co robię. Gdybyś mnie znał, nie wątpiłbyś w to.

Auc.

– Casey, żadne z nas nie powiedziało nigdy, że jesteś ćpunką. Niezależnie jednak od tego, co sam robię, nie mogę się godzić, żebyś zażywała narkotyki. Byłoby to nieodpowiedzialne z mojej strony.

– Musimy znaleźć kompromis. – Próbowała mnie zaszantażować.

– Wcale nie.

– Tato, to niesprawiedliwe.

Niech ją szlag. Chciałem, żeby ta rozmowa dobiegła końca. Chciałem móc udawać, że nic się nie wydarzyło.

– Co więc proponujesz?

– Nie będziecie już grzebać w moich rzeczach.

Zacisnąłem usta i oparłem się na krześle. Wiedziałem, że Erika będzie miała do mnie pretensje, bo nie przedyskutowałem z nią tego i znów pozwoliłem siedemnastolatce zagnać się w kozi róg. Pewnie nadal będzie urządzać przeszukania w pokoju Casey. Po chwili namysłu spojrzałem znużony na córkę.

– Dobrze.

Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana, gdy zbieraliśmy się do wyjścia z pokoju.

To był najlepszy dzień w jej życiu.

Podanie do Bennington wysłała online na długo przed upływem ostatecznego terminu w październiku. Potem czekaliśmy. Decyzja miała zapaść w połowie grudnia – sześćdziesiąt dni później.

Gdy obserwowałem pozostałe dzieciaki przygotowujące po kilka zestawów dokumentów na wiosenny termin, zaczynałem rozumieć, dlaczego Casey zrobiła to wcześniej. Chciała oszczędzić sobie tortury czekania do wiosny, by poznać swój los. Zbyt dobrze znała własną naturę.

Atmosfera w domu była ciężka od pełnego milczenia napięcia. Casey nigdy wcześniej nie grała o tak wysoką stawkę i nie miała tyle do stracenia. Po nocach nawiedzały mnie koszmary, że jej podanie zostało odrzucone.

Mimo jej zapewnień, że jest przygotowana na każdą odpowiedź, wyobrażałem sobie rozpacz, dni spędzone w pokoju za zamkniętymi drzwiami i głodówkę. Mogła też robić dobrą minę do złej gry, skryć przygnębiające wieści głęboko w sobie i pozwolić się im zjeść żywcem.

Na początku grudnia Casey niemal polowała na listonosza, wyglądając niecierpliwie jakichkolwiek wieści z adresem zwrotnym z Vermont. Przerzucała niecierpliwie rachunki, czasopisma i reklamy wpychane do naszej skrzynki.

Bezskutecznie.

Pewnego dnia odebrałem pocztę, gdy była na spacerze z Igorem. W skrzynce czekała koperta z Bennington College. Cienka. Czy przypadkiem w takich nie przysyłali odmownych decyzji?

Poczułem, jak na sercu zalega mi ciężki głaz. Nie mogłem znieść myśli, że Casey otworzy kopertę i straci wszelką nadzieję. Erika krzątała się po kuchni, gdy wszedłem i położyłem pocztę na stole.

– Zgadnij, co przyszło. – Uniosłem kopertę, by mogła ją zobaczyć.

Odwróciła się w moją stronę.

– O Boże, przysłali odpowiedź!

– Tak, ale koperta jest cienka. Niedobrze. – Obejrzałem ją pod światło, lecz nie dało się niczego odczytać.

Erika zmarszczyła brwi.

– Nie mów tak. Przecież nie masz pewności.

Zabrała mi kopertę i sama zlustrowała dokładnie, zaciekawiona jej zawartością równie mocno jak ja.

Gdy tak podawaliśmy ją sobie z rąk do rąk, Casey wróciła ze spaceru, ciągnąc za sobą Igora; byli podekscytowani. Uniosłem kopertę, żeby Casey mogła ją zobaczyć. Otworzyła tylko buzię i natychmiast wyrwała mi ją z dłoni.

Nadeszła chwila prawdy.

– Ostrożnie, nie porwij – powiedziała Erika.

Staliśmy obok siebie, przepychając się, by zobaczyć wszystko. Casey otworzyła list i wyciągnęła złożoną kartkę, tymczasem koperta opadła na podłogę. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a potem odczytała głośno i wyraźnie:

– Droga Casey! Gratulujemy! W imieniu uczniów, wykładowców i pracowników Bennington College witamy cię w gronie przyjętych do rocznika 2012.

Podrzuciła list w górę i aż zapała z radości. Przybiliśmy piątki i uściskaliśmy się wśród wesołych okrzyków. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby była z siebie tak zadowolona. Zasłużyła na to. Spełniło się jej marzenie – dostała się na upragnione studia. Byliśmy z niej dumni i cieszyliśmy się jej szczęściem.

Nowe ekscytujące życie stało przed nią otworem.

*

Presja oczekiwania na informację z uczelni minęła, byliśmy więc w świetnych humorach. Casey odliczała na ścianie dni do wyjazdu.

W maju, za niecałe pięć miesięcy, miała skończyć osiemnaście lat, a wyjazd do Vermont zaplanowała na sierpień. Przypominała nam o tym przy każdej okazji, ale jakoś nie chciała pamiętać, czy może to ignorowała, że jeszcze przez następne cztery lata mieliśmy zapewniać jej byt. Nie znikaliśmy z kadru.

Niedługo po nadejściu odpowiedzi z Bennington moja mama przyleciała z Connecticut z wizytą na ferie zimowe. Uwielbiały się z Casey. Mama była

przykładem archetypowej babci zakochanej w swojej jedynej wnuczce, którą uważała za ideał. Z radością podtrzymywałem tę wizję, by mieć święty spokój. Przed rozpoczęciem przygotowań do świąt spędziliśmy noc w położonej na brzegu oceanu gospodzie w Mendocino, po drodze do domu zatrzymaliśmy się w winnicy Anderson Valley i zajrzeliśmy do chińskiej restauracji w San Francisco. Casey omal nie zemdląła na widok prezentu od babci – dostała iPhone'a.

Na początku stycznia mama wróciła do siebie. Erika, po szesnastu latach spędzonych na prowadzeniu domu i wychowywaniu dziecka, poszła do pracy jako diagnosta laboratoryjny. W Bay Area nastał okres zaciągniętego szarymi chmurami nieba i wilgotnych sztormów zimowych. Z przyjemnością siedzieliśmy w domu, pogrążeni w zimowym letargu, aż do pewnego wieczoru przed weekendem przedłużonym z okazji Dnia Martina Luthera Kinga.

Kilkoro z przyjaciół Casey założyło zespół bluegrassowy. Występowali pod nazwą Itchy Mountain Men. Zdobyli niemały rozgłos, dawali koncerty, występowali w audycjach radiowych, nagrali nawet płytę. Casey uważała się za wierną fankę zespołu.

Zespół miał wystąpić w kościele Old St. Hilary w Tiburon. Kościół wybudowano w 1888 roku, dobre sto lat przed tym, gdy na tym skrawku ziemi stały domy warte miliony dolarów, utrzymany był więc w prostym stylu drewnianego gotyku. W kaplicy mieściła się nie więcej niż setka osób.

Koncert miał się odbyć w sobotę i Casey spędziła większość dnia, zastanawiając się, jak się ubrać na tę okazję. Podłoga pokoju była dosłownie zasłana kolejnymi zestawami ubrań. Casey wezwała na pomoc Erikę, która leżała złożona wirusem, ale po chwili odesłała ją z powrotem, gdy okazało się, że matka nie umie jej doradzić, jak stać się „wystarczająco zachwycającą”. Casey zdążyła odwołać plany na wieczór, rozpłakać się, a potem znów wziąć się w garść.

Impreza zaczynała się o dziewiątej. Była ósma piętnaście. O wpół do dziewiątej po Casey miały przyjechać przyjaciółki. Ostatni kwadrans upłynął jej na szaleńczym poprawianiu fryzury, malowaniu się i przebieraniu po raz trzeci w zestaw, który był zresztą jej pierwszym wyborem – w czerwoną pikowaną bluzę z kapturem, dzinsowe rurki, zamszowe buty; do tego kilka kropel wody perfumowanej.

O ósmej dwadzieścia pięć po łzach nie było już śladu. Szczęśliwa i gotowa Casey czekała przy drzwiach na koleżanki. Wtedy nagle wypaliła:

– Też powinniście przyjść!

Zaskoczyła nas. Przez tyle lat walczyła o zachowanie dystansu do nas. Stan Eriki był zbyt poważny, by mogła wyjść z domu, ja zaś zadrżałem z ekscytacji na myśl o tym zaproszeniu, ale nie wiedziałem, jakie obowiązują mnie zasady. Mam udawać, że jej nie znam?

– Tato, będziesz musiał pojechać osobno.

Mimo to chciałem iść.

– Oczywiście, kochanie.

Gdy zajechałem pod kościół, w środku było już pełno ludzi. Tłum rozgrzewał wewnątrz bardziej, niż było to konieczne tamtej zimnej styczniowej nocy. W powietrzu czuło się atmosferę napięcia i oczekiwania, wokół rozbrzmiewały podniesione głosy. Przepchnąłem się spod drzwi do ostatnich rzędów ławek, gdzie spodziewałem się znaleźć miejsce do siedzenia. Zobaczyłem kilka znajomych twarzy, które pamiętałem jeszcze z czasów szkoły podstawowej Casey.

Zająłem miejsce, które pozwalało mi widzieć scenę i jednocześnie stojących pod nią ludzi, wśród których szukałem wzrokiem Casey. Dostrzegłem ją jakieś pół metra od sceny, w gronie przyjaciółek. Rozmawiała z nimi swobodnie, była jedną z nich, śmiała się. Wspaniale było widzieć ją taką szczęśliwą. Bałem się, że i ona mnie zobaczy, więc skuliłem się nieco. Nie chciałem jej zawstydząć przed koleżankami.

Oślonięty przez znajdujących się przede mną ludzi widziałem, jak przerwała rozmowę, obróciła się i wyciągnęła szyję w moją stronę. Gdy mnie dostrzegła, nie schowała się, tylko się rozpromieniła. Pomachała do mnie przejęta.

Musiałem tęsknić do takich gestów jak zakochany sztubak, bo przyszło mi wtedy do głowy jedynie to, że przyznała się do mnie. Na moment przywołałem w pamięci lata walk, nieprzyjemnych zachowań, płaczu, zmartwień i przykrych słów. Wystarczyło, by mnie dostrzegła, zaakceptowała jako ojca mimo otaczającego nas tłumu, a wszystko to poszło w zapomnienie.

Wiedziałem, że nic jej nie będzie.

Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

W dniach, które nastąpiły po tamtym strasznym styczniowym poranku w 2008 roku – zaledwie kilka tygodni po koncercie w Old St. Hilary – nie mogłem uwolnić się od jednego pytania:

Dlaczego?

Czas mijał mi bezproduktywnie i kładłem się spać, rozmyślając o niej, zadręczając się poczuciem winy, pogrążając się w pożerającym duszę żalu. Niekiedy, jak gdyby mój mózg próbował się bronić i uruchamiał mechanizmy obronne, wyobrażałem sobie, że to tylko sen. Że się obudzę i zastanę ją śpiącą w swoim pokoju. A potem pojawiał się ból w piersi.

Straż przybrzeżna przestała szukać jej ciała już po dwóch dniach. Podobno prądy były zbyt silne. Ocean miał być grobem Casey.

Omaliem nie zwymiotowałem, gdy miałem napisać jej nekrolog.

Bez końca przeżywałem i analizowałem wydarzenia z weekendu poprzedzającego jej śmierć. Erika i ja pokłóciliśmy się z nią. Wszystko zaczęło się od niewinnej pyskówki – niegrzecznego odszczeknięcia czy odmowy posprzątania po sobie, nie potrafiłem sobie tego przypomnieć. Potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Wraz z rosnącym napięciem traciliśmy nad sobą panowanie i w końcu Casey rzuciła: „Dupek! Kutas!”. Zagroziła, że ucieknie z domu i będzie mieszkać na ulicy.

A co ja na to? Rzuciłem się na nią i wrzasnąłem niczym sierżant w wojsku: „Świetnie! To na co czekasz?!”, a potem zatrzasnąłem drzwi, zostawiając ją we łzach na podłodze pokoju.

Gdy potem w nocy przechodziłem przez salon do naszej sypialni, Casey siedziała skulona na sofie i patrzyła w telewizor. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu. Spojrzeliśmy na siebie lodowato.

Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Ta nieprzyjemna wymiana wyzwisk nie chciała mi wyjść z głowy. Być może gdybym nie wydarł się wtedy na nią, nie byłaby tak bardzo zdenerwowana. Gdybym jej nie zignorował, idąc do łóżka, może zastanowiłbym się nad swoim postępowaniem, cofnął przykre słowa i zapewnił, że tak naprawdę nie miałem na myśli tego, co powiedziałem. Gdybym rano nie spał pół godziny dłużej, może wszedłbym do jej pokoju wcześniej, znalazł ten list i zawiadomił policję na czas.

Ale nic z tego się nie stało.

Kłóciliśmy się z Casey zawzięcie i hałaśliwie, odkąd poszła do szkoły podstawowej, ale nigdy nie skończyło się takim nieszczęściem. Zazwyczaj po prostu uciekała do swojego pokoju. Tamten weekend nie dawał odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że nagle przeszła ze stanu „wściekła na tatę” do próby samobójczej.

*

Niektórzy uważali, że Casey odebrała sobie życie przez narkotyki, ale ani mnie, ani Ericie nie wydawało się to prawdopodobne. Kłóciliśmy się o nie, ale nigdy nie widzieliśmy córki naćpanej ani pijanej, nigdy również nie przeszła odwyku. Wtedy nie brała już leków, nie była też na żadnej imprezie w poniedziałek. We wtorek rano zdołała wziąć saaba i pojechać nim na most. Nagranie z miejskiego monitoringu pokazuje, że wypaliła papierosa i pobiegła na chodnik – nie wydaje mi się, żeby tak zachowywał się człowiek pod wpływem narkotyków. Z łatwością wspięła się na ponadmetrowej wysokości ogrodzenie i – zgodnie z raportem policyjnym – przez dziesięć czy piętnaście sekund stała nieruchomo, zanim zrobiła ostateczny krok. Co działo się w jej głowie w tych rozstrzygających chwilach przed podjęciem śmiertelnej w skutkach decyzji?

*

Przyjaciele Casey byli równie zszokowani jak my. Po pogrzebie w kościele Świętego Stefana w Belvedere, w którym uczestniczyło mnóstwo ludzi, odbyła się skromna stypa w naszej parafii. Dziwnie było widzieć innych rodziców niemogących znaleźć słów. Wydawało się, że nagle wyrosła między nami

szklana ściana. Co malowało się na ich twarzach? Współczucie, zrozumienie, osąd czy może przerażenie? Nie mieliśmy pojęcia. Być może samobójstwo dziecka to temat zbyt drastyczny, by ludzie potrafili sobie z nim poradzić. Przywodziło na myśl zatrważające widmo zarazy.

Gdy dorośli odeszli, otoczyli nas przyjaciele Casey. W ich twarzach odbijał się wyraźnie ogrom straty, jaką poczuli po jej śmierci. Wyglądali, jakby czegoś od nas oczekiwali. Może chcieli porozmawiać.

– Wiecie może, dlaczego to zrobiła? – zapytałem.

Pokręcili głowami i odpowiedzieli zgodnym chórem: „Nie”.

Dlaczego miałyby się kryć przed najbliższymi przyjaciółmi?

– Nie rozumiem. Tak niewiele dzieliło ją od wolności. Myślałem, że tego właśnie chciała.

Wszyscy wpatrywali się w podłogę, dopóki nie odezwał się jej przyjaciel Julian:

– Nie wydaje mi się, by Casey naprawdę chciała iść do Bennington.

Spojrzelismy z Eriką zaskoczeni na siebie.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytałem.

– Trudno to wyjaśnić – odpowiedział. – Wydaje mi się po prostu, że chciała pokazać sobie i innym, że da radę to zrobić.

Była to interesująca koncepcja. Ale jaki jest sens zdobywać coś, o czym się marzy, a potem to odrzucać?

*

Po uroczystościach pogrzebowych dowiedziałem się, że w poniedziałek w nocy Casey rozmawiała do późna online z dwiema koleżankami z dzieciństwa – Carly i Maryse.

Casey i Carly lubiły odkładać wszystko na ostatnią chwilę, ubolewały więc nad terminami oddania projektów szkolnych, których jeszcze nie zaczęły robić. Później Casey i Maryse ponarzekały trochę na szkołę i zaczęły rozważać wspólny wyjazd w lutym na ferie.

Zwykła nocna rozmowa zesłała wkrótce na niespodziewane tory. Casey stwierdziła, że mają szczęście, bo żyją w Marin, a potem zapytała Maryse, czy wierzy w reinkarnację. Dodała, że gdyby miała odrodzić się ponownie, przyjęłaby pewnie formę czegoś „naprawdę gównianego”. Sześć godzin

później nie żyła.

*

Na niegdyś naszym laptopie, który daliśmy Casey na szesnaste urodziny, szukałem dalszych wskazówek. Większość zapisanych na dysku dokumentów stanowiły prace domowe – tekst o chłopcu imieniem Andrew pod tytułem „Andrew to nudny dupek”, jakieś materiały naukowe, które ściągnęła z sieci z myślą o projekcie na rozszerzone zajęcia z historii, rozprawka na temat książki o wielkim kryzysie, którą ode mnie pożyczyła, wypracowanie o wieży Eiffla, to, które sprawdzałem, a które rzekomo usunęła, a jedyną jego kopię podarła, a później posklejała. Prawie nic osobistego, żadnych pamiętników, listów czy zdjęć. Wyglądało to tak, jakby się upewniła, że nie zostawi nic, co pomogłoby nam ją zrozumieć. Wydawało się, że usunęła wszystkie ślady swojego życia emocjonalnego.

Za pomocą hasła jednego z jej przyjaciół dostałem się na jej profil na Facebooku. Czułem się jak podglądacz, gdy przeglądałem wiadomości nieprzeznaczone dla moich oczu. Obejrzałem jej profil.

O mnie: zachowuję się paradoksalnie; tulę drzewa; zawsze wbiję szpilę. Casey miała ostry język. Była mistrzem ciętej riposty i trafnego podsumowania w prawdziwie Seinfeldowskim stylu.

Interesują mnie: mężczyźni. Była w szkole średniej, zakładaliśmy więc, że nie miała jeszcze chłopaka ani przygód erotycznych innych niż niewinne pocałunki, w każdym razie o żadnych nie wiedzieliśmy. Jednocześnie wydawało się to dziwne, wzięwszy pod uwagę, że była śliczną dziewczyną.

Zapatrywania religijne: ateistka, ale bez negatywnych konotacji. Casey nie wierzyła, żeby Bóg nad nią czuwał.

Z zaskoczeniem odkryłem całe albumy ze zdjęciami Casey, których wcześniej nie widziałem. Oto Casey wygłupiająca się przed aparatem, tańcząca, paląca, pijąca piwo na imprezie, o której mieliśmy się nigdy nie dowiedzieć. Albo siedząca pośród bujnych traw w czarnej sukience bez rękawów i w klapkach, a głęboka zieleń wokół niej kontrastowała z jej jasnymi włosami i bladą skórą.

W innym albumie były fotografie pokazujące, jak przechadza się między pokrytymi graffiti betonowymi wałami obronnymi z okresu drugiej wojny

światowej w Marin Headlands. Przypominały mi opuszczone budynki i cmentarze, po których włączyłem się w jej wieku z przyjaciółmi, gdy szukaliśmy ciekawych ujęć.

Były też zdjęcia Casey w ciemnofioletowej sukience z krótkimi rękawami i w znoszonych rozwiązanych tenisówkach na opuszczonej budowie jakiejś krzykliwej rezydencji w Belvedere. W oddali widać było czerwone wieże Golden Gate.

Na Facebooku rozmawiała ze znajomymi o pracach domowych, planach na weekend, ludziach, których nie lubili, swoich odrażających rodzicach, skrętach i różnych pierdołach.

Staaary, chuj ze mną i całą tą gównianą robotą, gdzie idziemy na obiad w czwartek?

Twoje uwagi pod adresem Juliana są zdawkowe.

Czarnuchu, będziemy się dziś luzować?

Wszedłem na jej tablicę, żeby zobaczyć, co odpisywała znajomym.

W ogóle nie dogaduję się z matką. Albo jesteśmy identyczne, albo zupełnie różne. Nie potrafię powiedzieć. Bardzo często uważałem, że źródłem ich konfliktów jest ich podobieństwo – obie były uparte i kłótlive.

Moi rodzice wyjeżdżają 26. Przyjdź do mnie, pojaramy. To w nawiązaniu do dwudniowej wycieczki, którą zorganizowaliśmy sobie z Eriką po świętach, a Casey spytała, czy może zaprosić „kilkoro” przyjaciół.

Nie wiem, czy nie wykopią mnie z domu, gdy skończę 18 lat. Starym nie podoba się, że płaczę. Czy jej znajomi wiedzieli o napadach rozpacz Casey?

*

Wskazówka od Roxanne zaprowadziła nas na kolejną stronę, o której istnieniu nie wiedzieliśmy. Był to serwis społecznościowy z okresu przed Facebookiem, gdzie znaleźliśmy przepięknie cierpieniem wpisane jeszcze z 2005 roku, gdy Casey miała czternaście lat.

Luty 2005: Moje ciało jest jak łagodny guz. Chyba dlatego tak bardzo przerażają mnie związki.

Kwiecień 2007: Nigdy nie pozwalam nikomu zbliżyć się za blisko do siebie. Chciałabym, żeby ktoś mnie naprawił, przytulił, powiedział, że kocha z wszystkimi moimi wadami. Jestem popsuta i nie da się mnie naprawić.

Październik 2007, zaledwie kilka miesięcy przed samobójstwem: *Zawalam już od pięciu lat. Pięć cholernych lat. Świetna robota, Casey, świetna, kurwa, robota. Co mam napisać w podaniu na studia? „Niezwykłe uzdolniona w powolnym zabijaniu samej siebie”?*

Casey niejednokrotnie pluła na nas jadem w chwilach gniewu, ale były to uwagi wygłaszane przez nadąsaną nastolatkę, która chciała wstrząsnąć swoimi rodzicami. Te zapiski były prywatne. Czytałem je i czułem przejmujący chłód.

A to ciągle nie wyczerpywało listy moich odkryć.

*

Erika trzymała telefon Casey pod ręką, by móc w każdej chwili posłuchać nagranego tam głosu mówiącego: „Zostaw wiadomość dla Quasey”.

W walentynki, dwa tygodnie po śmierci Casey, siedzieliśmy w kuchni w milczeniu nad talerzami zimnego makaronu, kiedy telefon zawibrował. Erika chwyciła go i roztrzęsiona zaczęła wpatrywać się w ekran. Jeden po drugim pojawiały się SMS-y od dziewczyny imieniem Rose.

Casey, jesteś tam?

Casey, wszystko w porządku?

Casey, co się dzieje? Isabel i ja zaczynamy się martwić.

– Odpisz jej. – Erika postukała palcem w ekran. – Nie wiem, kim jest, ale widać, że nie ma pojęcia, co się stało.

Kilka sekund później telefon rozdzwonił się nutami jakiegoś raperskiego przeboju. Erika odebrała.

– Halo?

Ciekawość na jej twarzy ustąpiła miejsca smutkowi. Uniosła dłoń do ust i wyszła nagle z kuchni. Po półgodzinie wróciła i położyła telefon na blacie. Twarz miała bladą, jakby właśnie przeżyła szok.

Odezwałem się:

– Kochanie, co się stało?

Wyjaśniła mi, że Rose chodziła do szkoły z internatem w Michigan i poznała Casey przez pewne forum internetowe, gdy obie były jeszcze w szkole średniej. Rozmawiały otwarcie i anonimowo o depresji, braniu używek, zaburzeniach żywienia, okaleczaniu się i myślach samobójczych. Łączyły się regularnie z grupą dziewcząt z tak odległych miejsc jak Teksas, Pensylwania,

Wielka Brytania, Norwegia i Brazylia.

Zdaniem Rose wiele z nich nie potrafiło porozumieć się z rodzicami, czuły się samotne i niezrozumiane, często przejawiały zachowania autodestrukcyjne. Dopiero bezpieczeństwo, jakie dawało im forum, sprawiło, że Casey otworzyła się i zaczęła mówić o walce, jaką prowadziła ze swoimi demonami i z rozpaczą.

Dowiedzieliśmy się, że dwudziestego siódmego stycznia, w niedzielną noc przed samobójstwem, pojechała na most Golden Gate. Najwyraźniej już wtedy miała zamiar skoczyć.

Słuchając relacji Eriki, odniosłem wrażenie, jakbym oberwał w twarz cegłą. Z każdym wypowiedzianym przez nią słowem gardło zaciskało mi się coraz bardziej. Obrazy tego, co musiało się dziać, dosłownie mnie paraliżowały.

Wyobrażałem sobie, jak zatrzymuje się saabem na parkingu Dillingham na południowym zjeździe z drogi 101, jak idzie po chwiejnych drewnianych schodkach na kładkę dla pieszych biegnącą pod mostem, by udać się nią na stronę północną, skąd miała widok na miasto i zatokę.

Nawet późno w nocy musiała słyszeć metaliczne dźwięki samochodów przejeżdżających po łączeniach mostu, stuk-stuk, stuk-stuk. Potem zapewne wspięła się po schodach prowadzących na parking przy Vista Point, gdzie zatrzymywały się autobusy z turystami, może zapaliła camela light, tak jak we wtorek rano. A następnie musiała pójść przejściem dla pieszych prowadzącym na most.

Ostrzegawczy plakat wiszący przy wejściu na most głosi: „Widzisz coś? Zareaguj!”.

Nad żółtym aparatem telefonicznym wisi niebieska tabliczka z tekstem: „Porady kryzysowe. Ciągłe jest nadzieja. Zadzwoń. Skok z mostu kończy się śmiercią i tragedią!”.

Ale to nie znaki ostrzegawcze zawróciły ją z obranej drogi. Przejście dla pieszych zagrażała wysoka na prawie dwa metry brama, która zamykała się automatycznie o dziewiątej wieczorem i otwierała dopiero o piątej rano następnego dnia. Dlatego Casey wróciła do samochodu i pojechała do domu.

Oszołomiony zapytałem Eriki:

– Skąd Rose o tym wiedziała?

– Powiedziała, że Casey napisała o tym na forum.

Pokazała mi telefon z wiadomością od Rose:

Wczoraj w nocy naprawdę się wystraszyłam. Byłam o krok od śmierci.

Nie wiem, czy podjęłam właściwą decyzję. Jestem tak bardzo zmęczona życiem i wszystkim innym.

Mam nadzieję, że nigdy już nic takiego nie przyjdzie mi do głowy.

:|:|

Przyglądałam się tym słowom, jakby napisała je obca osoba.

*

Zawsze mi się wydawało, że gdy człowiek podejmuje decyzję o samobójstwie, to nic nie może go powstrzymać. Już wiem, że samobójstwo często jest wynikiem impulsu, chwilowej potrzeby. Gdy ona minie, a ofiara ma możliwość przemyśleć sobie wszystko, przypuszczalnie nie spróbuje ponownie.

Ale Casey spróbowała. Niecałe trzydzieści sześć godzin później po wysłaniu tamtego SMS-a wróciła na most. Jej skok – jej rozpacz – nie były wynikiem impulsu. Za tym stało coś więcej.

Trzy lata później nadal żyłem jak w matni, przeczekiwałem kolejne dni. W 2009 roku, po kryzysie finansowym, zamknięto oddział Wells Fargo Bank, w którym pracowałem, znalazłem się na bruku. Nie przejąłem się tym, bo nie zależało mi już ani na pracy, ani na niczym innym. Rzuciłem się w wir pisania o Casey, mimo że nigdy wcześniej nie napisałem żadnej książki. Wiosną 2011 roku siedziałem w gabinecie doktora Palmera. Chciałem się dowiedzieć, co sądził o Casey.

Zachowywał się serdecznie, ale utrzymywał zawodowy dystans. Czuję się, jakbym rozmawiał z automatem. Zupełnie jakbyśmy omawiali przypadek obcej osoby, a nie śmierć mojego dziecka. Zapytałem, co zapamiętał z rozmów z Casey, czy cokolwiek zwróciło jego uwagę. Przejrzał swoje notatki, by odświeżyć pamięć – od jej ostatniej wizyty minęły cztery lata. A potem jego twarz się rozjaśniła.

– Odniosłem wrażenie, że była bardzo bystra. Wybitnie inteligentna.

Pokiwałem głową, słysząc tę nieoczekiwane pochlebne opinie. „Wybitnie inteligentna”.

Ponownie sprawdził notatki.

– Pamiętam, że pytałem ją, jak wspomina życie z okresu, gdy miała dziewięć lat.

Wyjaśnił, że zgodnie z jego doświadczeniem dla dziecka są to często najlepsze lata życia, zanim zaczną się wyzwania i napięcia związane z nauką w gimnazjum i szkole średniej.

– Powiedziała, że była szczęśliwa. Miała mnóstwo przyjaciół, grała w piłkę i na komputerze. Mówiła, że miała nawet sugestywne sny. – Zamilkł, znów studiując notatki. – Powiedziała mi, że to był dobry okres.

Humor poprawił mi się nieco, gdy wyobraziłem sobie Casey siedzącą na moim miejscu i opowiadającą temu brodatemu mężczyźnie o wyglądzie profesjonalisty o dobrym okresie w swoim życiu. Bo to znaczyło, że nie

zawsze była nieszczęśliwa.

– Miło to słyszeć – stwierdziłem. – A co mówiła o latach szkoły średniej?

– Mówiła, że często się irytuje i ma problemy ze spaniem. – Może zauważył wyraz zaniepokojenia na mojej twarzy, bo dodał: – Nie podobała się jej ta irytacja ani napady złości i niekoniecznie obwiniała was o ten stan.

To było przyjemne zaskoczenie.

– Naprawdę? Tak mówiła? – zapytałem. – Myślałem, że to wszystko nasza wina.

– W rzeczywistości bardzo się martwiła ciągłymi tarciami, do jakich między wami dochodziło. – Doktor Palmer uniósł wzrok znad notatnika. – Nie lubiła tracić panowania nad sobą i często była zaskoczona swoim zachowaniem.

Wbiłem wzrok w podłogę, zastanawiając się, o co jeszcze zapytać, a doktor Palmer kartkował swoje zapiski.

– Pytałem kilka razy, czy miała myśli samobójcze, ale przysięgała, że nie.

Powiedział też, że utrzymywała z całym przekonaniem, że nigdy nie brała narkotyków, nie cięła się ani nie wywoływała wymiotów. Uśmiechnąłem się pod nosem. Casey nigdy nie zdradziłaby się z czymś takim przed nikim, kto uosabiał jakąkolwiek władzę – ani przed lekarzem, ani przed rodzicami. Zastanawiałem się, czy doktor Palmer uwierzył w jej zapewnienia, czy wolał uniknąć konfrontacji, lecz zachowałem to dla siebie.

– Obawiam się, że to wszystko – powiedział w końcu. Przez chwilę milczeliśmy, a potem zapytał: – A jak pan się czuje?

Pozostał rzeczowym specjalistą. Mimo że sprawiał sympatyczne wrażenie, nie miałem ochoty wywnętrzać się przed nim, przełknąłem więc narastającą rozpacz i wymamrotałem:

– Nie najłepiej. – Ale nie wnikałem w szczegóły.

Nie była to sesja terapeutyczna i w żaden sposób nie mógł mi ulżyć w bólu. Jednakże nasze krótkie spotkanie ujawniło kilka istotnych informacji o tym, jak Casey widziała samą siebie i jak podchodziła do relacji z Eriką i ze mną. Gdyby tylko wykazała się większą cierpliwością, doktor Palmer może znalazłby magiczną pigułkę, której tak potrzebowała.

*

Tydzień później poszliśmy z Eriką do Dianne. Usiedliśmy naprzeciwko niej

w tych samych wielkich fotelach, które lata temu wydały się nam bardzo wygodne. Tym razem było między nami dziwne napięcie.

Pochyliłem się nieco do przodu, by patrzeć w oczy Dianne.

– Byłaś ostatnią terapeutką Casey. Co w niej dostrzegłaś? O czym rozmawiałyście?

Zanim przeszła do swoich uwag, omówiła pokrótce sposób, w jaki prowadziła zazwyczaj terapię – poznawała pacjenta, zyskiwała jego zaufanie i nawiązywała z nim relację, by móc pracować dalej na tym fundamencie. Podkreśliła, że w ciągu jej czterdziestu lat praktyki większość młodych pacjentów ostatecznie otwierała się przed nią. Potem podkreśliła, że z Casey było inaczej. Opisała ją jako bystrą, ale znudzoną i przejawiającą zachowania typowe dla osób uzależnionych od narkotyków – sardoniczną, sarkastyczną i lekceważącą autorytety.

Gdy tego słuchałem, pomyślałem, że w taki sposób dałoby się opisać każdego nastolatka. Irytował mnie też upór, z jakim próbowała wykazać różnice między Casey a swoimi pozostałymi pacjentami, jak gdyby Casey była z jakiegoś powodu gorsza, ułomna.

Wymieniliśmy z Eriką pełne niezadowolenia spojrzenia. Spróbowałem zmienić temat rozmowy. Dianne wspominała kiedyś o wczesnym dzieciństwie Casey, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, jakim terminem się posłużyła. W moim wówczas otępiałym umyśle ta myśl zniknęła, zanim zdążyłem się nad nią zastanowić.

– Rozmawiałaś z nią może o wczesnym dzieciństwie lub wspomnieniach dotyczących sierocińca?

– Poprosiłam kiedyś, by wróciła do „tamtego miejsca”, ale się na mnie rozdarła.

Nie pomogło mi to w niczym, lecz podjąłem kolejną próbę.

– Dianne, jak sądzisz, dlaczego Casey skoczyła?

– Przez narkotyki – odparła sztywno.

Miałem już dość bezustannego wracania do narkotyków.

– Nie zgadzam się z tym, Dianne.

Casey na pewno nie była uzależniona od amfetaminy. Prawdopodobnie miała doświadczenia z narkotykami, ale nie różniła się w tym względzie od innych dzieciaków z Marin County, które w ten sposób odreagowywały emocje czy, tak jak ona, uciekały od przytłaczających je uczuć. Niestety, wiadomo było powszechnie, jak bawiono się w Marin, przez co młode pokolenia nabierały

zblazowanego podejścia do picia i popalania trawki. W lokalnej prasie regularnie pisano o dzikich imprezach, do jakich dochodziło w domach pod nieobecność rodziców. Nie usprawiedliwiałem zażywania narkotyków przez młodzież ani nie bagatelizowałem tego problemu, niemniej słowa terapeutki upierającej się, że to narkotyki przywiodły moje dziecko do samobójstwa, zabrzmiały mi trochę jak z nakręconego w latach trzydziestych filmu *Narkotykowe szaleństwo*.

Mnóstwo ludzi zażywało narkotyki, a naprawdę nie wszyscy próbowali odebrać sobie życie.

Dianne, najwyraźniej dotknięta moją uwagą, odparła:

– Z pewnością w niczym nie pomagały. Mogły sprawiać, że czuła się zagubiona, i z pewnością osłabiały jej zdolność podejmowania racjonalnych decyzji.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż Dianne odezwała się znowu:

– Wydaje mi się, że widziała we mnie wyłącznie łatwy dostęp do leków.

Oburzyłem się na obraz Casey, jaki mimo jej śmierci malowała Dianne – miała ją za wariatkę uzależnioną od narkotyków – ale nie odezwałem się. Erika rozładowała nieco napięcie, zagajając rozmowę na jakiś błahy temat, aż w końcu zerknąłem na zegarek i oznajmiłem, że musimy już iść.

– Dziękujemy za poświęcony czas, Dianne. Bardzo nam pomogłaś.

Prawdziwe myśli zachowałem dla siebie.

Gdy zbieraliśmy się do wyjścia, Dianne powiedziała jeszcze:

– Dbajcie o siebie. Zawsze możecie przyjść ze mną porozmawiać.

Uściskaliśmy się, ale wypadło to znacznie mniej naturalnie niż przy okazji powitania. Przeszliśmy z Eriką przez zatłoczoną poczekalnię na korytarz. Dopiero tam zapytałem:

– I co o tym sądzisz?

Wywróciła tylko oczami. Wyraz jej twarzy mówił wszystko.

– No właśnie. – Pokiwałem głową.

Nie poruszyliśmy nawet tematu *Inteligencji społecznej* ani nie zapytaliśmy Dianne, dlaczego poleciła nam tę książkę. Wtedy wydawało się to stratą czasu.

21

„Człowiek otrzymuje jedynie to, co jest w stanie przyjąć, czy to fizycznie, intelektualnie, czy moralnie, podobnie jak zwierzęta o pewnych porach zwracają uwagę wyłącznie na swój rodzaj. Słyszymy i rozumiemy jedynie to, co w polowie znamy (...). Każdy człowiek zatem całe życie śledzi samego siebie w tym, co słyszy, czyta i widzi, we wszystkich swoich podróżach. Jego obserwacje tworzą pewien ciąg. Żadne zdarzenie ani fakt, których nie można w rozsądny sposób powiązać z pozostałymi jego obserwacjami, dla niego nie zaistnieje. Z czasem może staniemy się gotowi otrzymać to, czego nie możemy wziąć teraz”.

– Henry David Thoreau

Gdy umawiałem się na spotkania z doktorem Palmerem i Dianne, miałem już gotowy pierwszy szkic historii Casey. Poza wspomnieniem o naszej podróży do Polski znalazły się w nim wyłącznie zdawkowe odniesienia i rozważania dotyczące tego, jaki wpływ na zachowanie Casey mogły mieć porzucenie i adopcja. Nigdy nie zajmowaliśmy się tą kwestią ani nie traktowaliśmy jej poważnie, nawet wtedy, gdy Dianne o niej wspomniała. Po prostu wydawało mi się mało przekonujące, by tak wczesne dzieciństwo mogło mieć cokolwiek wspólnego z późniejszym życiem i śmiercią Casey. Przecież, jak sam sobie tłumaczyłem, nie miałem żadnych wspomnień z własnego życia sprzed okresu, gdy ukończyłem siedem lat. Znałem tylko to, co widziałem na zdjęciach i rodzinnych filmach. Skąd więc ona miałaby mieć takie wspomnienia? Ale niektórzy ludzie widzą wyraźnie to, czego inni nie dostrzegają. Czasem po prostu jest się zbyt blisko jakiegoś tematu.

Pracowałem wtedy z grupą autorów wspomnień. Spotykaliśmy się raz w tygodniu w domu prowadzącej te warsztaty kobiety. Mieszkała w okazałej biało-żółtej wiktoriańskiej rezydencji w Haight-Ashbury na przedmieściach San Francisco. Dopiero gdy przeprowadziła recenzję mojego szkicu, wskazała mi wątek, na który zupełnie nie zwróciłem uwagi. Krył się w zdawkowej uwadze poczynionej przez Dianne, gdy widzieliśmy się z nią po zarzuceniu terapii przez Casey cztery lata wcześniej, wiosną 2007 roku.

Zaburzenia więzi.

Myślałem o Casey, która odcinała się od nas w swoim pokoju, za zniszczonymi, popękkanymi drzwiami. Od jej samobójstwa minęły lata, drzwi zostały dawno wymienione na nowe, z sześcioma wewnętrznymi panelami, pomalowane śnieżnobiałą farbą. Myśleliśmy, że zdołamy w ten sposób zapomnieć o walkach, jakie rozegrały się po tamtej ich stronie. Na ścianie korytarza nadal było widać wgłębienie, którego nie mogła przykryć farba – wynik jednego z naszych starć. Jakże często stawałem przed tymi drzwiami, wsłuchując się w zawodzenie i chlupanie, nie potrafiąc pocieszyć Casey. Raz otworzyłem te drzwi, ignorując zdjęcie dębu, które na nich powiesiła. Napisała na nim: „*Entrez-vous? Non!*”, co znaczyło po francusku „Zakaz wstępu”.

Gdy wszedłem do pokoju, natychmiast przestała płakać, jakby ktoś uniósł igłę z płyty gramofonowej. Wbiła we mnie twarde spojrzenie, ale usta jej drżały.

– Wynoś się.

Zatrzymałem się, szukając odpowiednich słów, które pozwoliłyby mi do niej dotrzeć.

– Kochanie... – I znów nie byłem dość szybki.

– Wynocha!

Spaliłem raka ze wstydu i wycofałem się upokorzony.

Gdy tylko znalazłem się na korytarzu i zamknąłem za sobą drzwi, znów usłyszałem okropne wycie. To było wołanie o pomoc, ale gdy ta nadchodziła, Casey ją odrzucała i zamykała drzwi.

Dlaczego?

Teraz, po latach, w jej pokoju, przyklejona taśmą klejącą do nadstawki na biurko, wisi pomięta kartka papieru do drukarki z wiadomością wypisaną czerwoną kredką, drukowanymi literami stawianymi nierówno przez pięciolatkę.

KOCHANI RODZICE

KOCHAM WAS I TĘSKNIĘ,

ALE WAS NIE NIENAWIDZĘ.

ZROBIONE PRZEZ CASEY

Stał tam też przepelniony pojemnik na kredki ozdobiony wizerunkiem Domo, bohatera z japońskiej kreskówki, szczerzącego gniewnie zęby w grymasie, który amerykańskie nastolatki uznały za wyjątkowo słodki. Erika przypięła do tego pojemnika, tuż obok Domo, kartkę, którą Casey zrobiła dla mnie z okazji Dnia Ojca, gdy miała trzynaście lat. Swoim wyraźnym, pełnym zawijasów pismem osoby leworęcznej napisała na niej:

Został Pan (tak, Pan!)

NOMINOWANY

do nagrody dla...

NAJLEPSZEGO OJCA!

Kocham Cię!

Mam nadzieję, że podoba Ci się ta kartka napisana, wyprodukowana, wymyślona i w ogóle zrobiona przeze mnie.

Jesteś najlepszym tatą na świecie!

W rogu pokoju stało czarne łóżko z Ikei, a nad nim wisiał plakat z *Trainspotting*. Był i napis wykonany grubymi drukowanymi literami, który wydawał się teraz tragicznie ironiczny:

WYBIERZ PRZYSZŁOŚĆ.

WYBIERZ ŻYCIE.

Na łóżku leżała sterta poduszek. Casey lubiła zwijać się w kokon. Nigdy jednak nie była sentymentalna – żadnych lalek, nie zbierała niczego poza Beanie Babies i kartami z Pokémonami (uważała, że pewnego dnia będą warte fortunę). Mimo że miała mnóstwo pluszowych zwierzków, różową świnkę Piggy, Tukana i wielkiego starego Puchatka, żaden nie był ulubieńcem, którego ciągnęłaby ze sobą do łóżka co noc, jak robiłem to kiedyś ja.

Za to nigdy nie rozstawiała się z jaśkiem przywiezionym jeszcze z Polski. Erika wypychała go i oblekała niejednokrotnie i zawsze układała równo przy zagłóWKu.

Siedziałem w domu przed komputerem i wpisałem w Google termin „zaburzenia więzi”. Pierwszy wyświetlił mi się link do artykułu na Wikipedii:

„Zaburzenia więzi to zaburzenia nastroju, zachowania i więzi społecznych wynikające z braku ukształtowania się poprawnych więzi z pierwszymi opiekunami we wczesnym dzieciństwie. Tego rodzaju braki mogą wynikać z pojawiających się niespodziewanie wcześnie zaniedbań, molestowania lub nagłego oddzielenia od opiekunów w pierwszych trzech latach życia dziecka”.

Potem zacząłem sprawdzać powiązany z tym hasłem termin „reaktywne zaburzenia przywiązania”, czyli RAD:

„U dzieci z zaburzeniami typu RAD występują przypuszczalnie poważne uszkodzenia wewnętrznych modeli związków, które mogą prowadzić do powstawania trudności interpersonalnych i behawioralnych w późniejszych latach życia. Badania dotyczące skutków długofalowych są nieliczne, ale uzyskanie w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku dostępu do sierocińców prowadzonych w Europie Wschodniej pozwoliło badać skutki wychowania niemowląt i małych dzieci w warunkach daleko posuniętych ograniczeń”.

„Uzyskanie w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku dostępu do sierocińców prowadzonych w Europie Wschodniej”. Nie mogło chodzić wyłącznie o Rumunię. Termin ten odnosił się także do Czech, Słowacji, Węgier, Bułgarii i Polski. Zacząłem drążyć i przekopywać się przez góry danych i wyników badań pochodzących z różnych źródeł – od ekspertów w dziedzinie tworzenia więzi i praktyków klinicznych po wpisy na blogach prowadzonych przez rodziców adoptowanych dzieci. Powoli zaczynałem wyławiać z tego wszystkiego profil dziecka wychowywanego w sierocińcu.

Uwarunkowanie emocjonalne: Z powodu braku modulującego wpływu oddanego opiekuna we wczesnym dzieciństwie adoptowane dziecko często przejawia brak tolerancji na zdenerwowanie, nierozwinięte mechanizmy radzenia sobie z kontrolą bodźców, a także problemy z uspokajaniem się. Może być nadmiernie niesamodzielne, nadaktywne, łatwo wpadać w gniew lub wybuchać łzami w sytuacjach, które innym wydają się nieznaczące lub pomijalne. Uspokojenie go logicznymi argumentami lub jakąkolwiek dyscypliną może stanowić problem. Łatwo traci nad sobą kontrolę, zdarzają mu się długotrwałe napady złości wykraczające poza okres niemowlęctwa,

niewspółmierne do okoliczności i pozornie świadczące o niedojrzałości emocjonalnej.

Kontrola: Porzucone w niemowlęctwie adoptowane dziecko już wie, że nie może nikomu ufać. Kontrolowanie otoczenia i rozpraszanie uwagi ludzi wokół – zwłaszcza opiekunów – staje się najważniejsze, ponieważ jest narzędziem chroniącym przed ponownym porzuceniem. Takie nastawienie wpływa na świat relacji społecznych, w którym dziecko żyje i w którym stara się poruszać i odczytywać wzorce społeczne. Dziecko może czuć się zagrożone przez ludzi, mieć problem z tolerowaniem związków i wchodzeniem w rywalizację na warunkach innych niż własne. Gdy sprawy nie będą układać się po jego myśli, nie będzie potrafiło pogodzić się z przegraną. Może mieć problemy z dzieleniem się zabawkami, jedzeniem czy uwagą przyjaciół znacznie dłużej, niż wynikałoby to z jego wieku. Czasami takiemu dziecku brakuje zdolności myślenia przyczynowo-skutkowego i zdarza mu się winić innych za własne błędy. Przekonane, że nie ma opiekunów lub nie może im ufać, będzie unikać zwracania się o pomoc. Może wydawać się apodyktyczne, ale nie będzie zachowywać się w ten sposób wobec wszystkich. Potrafi też manipulować – wobec obcych być czarujące, a nawet bezkrytycznie czułe, a w domu zimne i wycofane.

Zmiany: Dziecko adoptowane, ze względu na konieczność sprawowania kontroli, może mieć problemy z akceptowaniem zmian, zwłaszcza jeśli pojawiają się niespodziewanie. Takie dziecko nie będzie potrafiło „płynąć z prądem”. Zdecydowanie najlepiej radzi sobie w środowiskach charakteryzujących się sztywną strukturą, przewidywalnych, gdzie obowiązują pewne schematy. Zmiany w ustalonym porządku – koniec obowiązków szkolnych w wakacje, święta i przerwy w nauce – są dla niego bardzo stresujące i wywołują potrzebę odreagowania.

Dyscyplina: Zaufanie, kontrola i dyscyplina to dla adoptowanego dziecka jedno i to samo. Może sprawiać wrażenie nieposłusznego, niechętnego, a nawet wrogo nastawionego do przedstawicieli władz w sposób wykraczający poza normę, przez co będzie sprawiać wrażenie nadmiernie upartego lub obdarzonego silnym charakterem. Kłótnie wstrząsające posadami życia mogą wybuchać o najbardziej błahę sprawy.

Postrzeganie siebie: Adoptowane dziecko pozbawione w niemowlęctwie odpowiedniej opieki spogląda na siebie, swoją rodzinę i społeczeństwo pesymistycznie i bez cienia nadziei. Może czuć się niezręcznie w obliczu

fizycznej bliskości i w sytuacjach intymnych. Pochwały rodziców wydają mi się bez związku. Nie czuje się godne miłości czy szacunku, może otaczać swoje serce murem nie do przebicia i walczyć o to, by nie dopuścić do siebie nikogo, kto je naprawdę kocha. Wyznanie „kocham cię” będzie budzić u niego przerażenie. Takie dziecko nie czuje miłości, uważa, że miłość rani, nie chce więc mieć z nią do czynienia. Adoptowane dziecko może przejawiać zachowania destrukcyjne, na przykład może u niego dochodzić do samookaleczania, zaburzeń żywienia i skłonności samobójczych.

Informacje znalezione w Google wyjaśniły mi wszystko na temat Casey. Niekontrolowane wybuchy złości i niekończące się płacze. Brak cierpliwości czy to, gdy była jeszcze małym dzieckiem czekającym w wysokim krześle do karmienia na łyżeczkę lodów, czy lata później, gdy miała nauczyć się jeździć na łyżwach lub nartach. Jej nadwrażliwość w domu, nieumiejętność tolerowania niewinnych żartów czy uwag pod jej adresem. A moje reakcje? Sfrustrowany kazałem jej przestać płakać, dorosnąć i zachowywać się, jak na jej wiek przystało.

Doskonała robota, tato.

Nie radziła sobie w trójkątach i wracała do domu we łzach od kolegów z poczuciem wykluczenia i bycia lekceważoną. Puszczały jej nerwy, gdy coś nie szło po jej myśli. Przypomniałem sobie wczesne spotkanie z doktorem Kleinem, kiedy próbowaliśmy poznać jego zdanie na temat jej apodyktyczności i bojowego nastawienia. On tymczasem opisał ją jako zupełnie inne dziecko – w szkole była wcielonym ideałem, który rzadko ktokolwiek upominał.

Ścieraliśmy się o absurdalne rzeczy – Casey, odstaw brudny talerz do zlewu, nie zostawiaj mokrego ręcznika na podłodze, weź Igora na spacer. Utknęliśmy w zaklętym kręgu zarwanych terminów, odebranych przywilejów, porzuconych programów nagrodowych, zakazów wychodzenia z domu i czczych pogroźek, że pieniądze na studia zostaną przeznaczone na rok w czyścicu. Uciekaliśmy się do klapsów, a nawet groziliśmy solidnym laniem, gwałcąc tym samym wszystkie dogmaty dobrego rodzicielstwa i dając jej kolejne powody, by nas nienawidzić.

A zmiany? Może Bennington było kroplą, która przepełniła czarę. Pomyślałem o tym, co powiedział po pogrzebie Julian, że Casey nie miała zamiaru iść do tej szkoły, że po prostu chciała coś udowodnić. Teraz w jej przechwałkach na temat Bennington widziałem jedynie przerażenie. Była

niewolnikiem swoich przyzwyczajęń, nigdy nie wyjeżdżała sama (z wyjątkiem wycieczki na Alaskę), nigdy nie dzieliła z nikim łazienki czy sypialni. W domu czuła się względnie bezpieczna, miała zapewnioną prywatność, mogła spuścić ze smyczy złość i wybuchy szału, nie obawiając się skutków swojego postępowania. W szkole nie miałyby się gdzie schować i rozładować na osobności. Byłaby niemal obnażona i bezbronna.

Problemy z postrzeganiem siebie wykraczały daleko poza przeciętne traumy nastolatki. Casey zachowywała się tak, jakby szczerze siebie nienawidziła. Patrząc wstecz, muszę przyznać, że nie sposób odróżnić klasycznego braku pewności siebie u nastolatek od zaburzenia w formowaniu więzi wyniesionego z wczesnego dzieciństwa i niebezpiecznych skłonności samobójczych, bo ich objawy są do siebie podobne. Nie można było przecież traktować każdego wybuchu złości czy dąsów i miotania się po domu jak groźby popełnienia samobójstwa.

Przypadkiem natknąłem się na coś wielkiego, z czym mieliśmy do czynienia od lat, a czego nikt nie zauważył. Casey była sama, cierpiała, nie potrafiła zaufać, a my tego nie widzieliśmy. W tak trudnym stanie, w jakim się znalazła, nie widziała wystarczająco wielu powodów, by chcieć żyć, by pozostać w grze, by dalej to wszystko sztukować. W jej własnym mniemaniu miała kiepskie widoki na przyszłość.

Casey musiała cierpieć na jakiegoś rodzaju zaburzenia więzi.

Przejrzałem na ten temat wszystko, co udało mi się znaleźć w bibliotece w Marin County i co wyszperałem w Internecie. Rozmawiałem z ekspertami od adopcji i zaburzeń więzi. Kilku z nich zgodziło się ze mną porozmawiać, wyjaśnili mi też, co się robi, by pomóc dzieciom mającym taki problem i ich rodzicom. Prawie wszyscy byli, jak ja, rodzicami adoptowanych dzieci lub dziećmi pochodzącymi z adopcji, starającymi się zrozumieć swoje zachowanie.

Dowiedziałem się, że więź rodzi się w okresie niemowlęctwa z zaufania dziecka do matki lub opiekuna. To uczucie staje się podstawą tworzenia wszystkich przyszłych związków. Brytyjski psychiatra John Bowlby, powszechnie uznawany za ojca teorii dotyczącej więzi, utrzymuje, że noworodek nie potrafi automatycznie sam o niczym rozstrzygać. Jego emocje ograniczają się do dwóch prostych stanów – spięcia i rozluźnienia. Gdy jest spięty – czy to z powodu głodu, mokrej pieluszki, braku snu czy strachu – płacze. Powraca do równowagi, gdy opiekun zareaguje uspokajającymi dźwiękami, delikatnym dotykiem i spojrzeniem pełnym miłości.

Nancy Newton Verrier, specjalistka od adopcji z Lafayette w Kalifornii, przedstawiła mi własną analogię rozdzielenia matki i dziecka.

– Oddzielanie dzieci od matek jest nienaturalne – powiedziała. – Szczeniaków czy kociaków nie bierze się do domu przed upływem ośmiu tygodni, dajemy im czas na odstawienie od matki, a nasze dzieci oddajemy obcym w chwili urodzenia.

Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, a przecież wydawało się to oczywiste. Dlaczego zwierzęta traktujemy z większym szacunkiem niż ludzi?

Niemowlę pozostawione samo sobie, bez instynktownych mechanizmów pocieszenia, żyje w stanie przeciągającego się strachu i nadmiernego pobudzenia. Nie może wezwać pomocy, nie może uciec, więc jego jedyną obroną przed tym nieznośnym stanem jest emocjonalne wycofanie.

Amy Klatzkin prowadzi terapię małżeńską i praktykę terapii rodzinnej. Poznałem ją w centrum badań nad traumami dziecięcymi Child Trauma Research Center przy UCSF/San Francisco General Hospital. Jest też matką adoptowanego dziecka.

– Jest coś gorszego od niewłaściwej relacji, nawet najbardziej szkodliwej – powiedziała mi kiedyś. – Brak jakichkolwiek relacji. Pustka.

Gdy Amy kontynuowała, miałem przed oczami Casey leżącą samotnie w łóżeczku w sierocińcu.

– Casey miała przypuszczalnie zapewnioną opiekę, ale nie dano jej możliwości przywiązania się, nawet cieniutkiej niteczki więzi. Ludzie przychodzili i odchodzili, a ona nigdy nie wiedziała, czy jeszcze wróci. Wszyscy byli jej równie odlegli i w pewnym stopniu nierozróżnialni.

Potem opowiedziała o innym rodzaju rozdzielania – w chwili, gdy dziecko opuszcza sierociniec z nowymi rodzicami. Pewien aspekt przewidywalności mija – znajome doznania, dźwięki i zapachy zostają zastąpione czymś zupełnie obcym, dwójką nieznanymi ludźmi. Aby ułatwić proces tego rozdzielania, pani Klatzkin proponuje zostawić dziecku ubrania z sierocińca, nawet jeśli są brudne i nieładnie pachną.

– Niech mają jakąś ciągłość – wyjaśniła. – Każdy z nas musi mieć poczucie przynależności.

W książce *High Risk: Children Without a Conscience* dwójka psychologów klinicznych, Ken Magid i Carole McKelvey, pisze: „Jeśli więź miłości między dzieckiem a matką nie powstanie już na początku, dziecko nie zdoła później rozwinąć poprawnych relacji z resztą ludzkości, dosłownie mówiąc, ludzkość nie będzie go obchodzić. W duszy takiego dziecka na zawsze zostanie zamknięty ból, którego nie da się pojąć, ponieważ we wczesnym dzieciństwie zostało ono porzucone”.

„Ból, którego nie da się pojąć”. Moja córka. To straszne zawrodoenie za drzwiami.

Skutki instytucjonalizacji są tak poważne, że doktor Jerri Ann Jenista, pediatra i autorka książek z dziedziny medycyny adopcji, sugeruje, iż wszystkie zinstytucjonalizowane sierocińce mogą być źródłem problemów z tworzeniem więzi.

Im dłużej dziecko przebywa w takim ośrodku, tym większy będzie miało uraz emocjonalny.

– Wiemy, że jeśli dziecko zostanie adoptowane w ciągu pierwszego roku

życia, skutki instytucjonalizacji dają się cofnąć stosunkowo łatwo – powiedział doktor Robert Marvin, kierownik kliniki Mary D. Ainsworth Child-Parent Attachment Clinic działającej przy University of Virginia Medical Center. – Jednak w przypadkach takich jak Casey, dziecka adoptowanego w czternastym miesiącu życia, dochodzi już do znacznych urazów psychologicznych i neurologicznych, które ostatecznie prowadzą do powstawania bardzo nietypowych zachowań.

Badania wykazują, że dzieci dotknięte instytucjonalizacją mają mierzalnie inne struktury mózgu niż te, które wychowywały się w normalnych rodzinach. Naukowcy odkryli uderzające anomalie w rozwoju tkanek przewodzących sygnały elektryczne w mózgu, co być może pozwala wyjaśnić niektóre z dysfunkcji obserwowanych u zaniedbanych i osieroconych dzieci.

Skutki instytucjonalizacji rzadko udaje się cofnąć. Rodzice takich dzieci dowiadują się, że depresje, wahania nastrojów, samookaleczenia, napady złości, opór i problemy w nauce mogą być „normą”. Niektóre dzieci odchodzą z domów i zrywają relacje z adopcyjną rodziną. Częste są u nich problemy zawodowe, nieplanowane ciąży, próby samobójcze, trudności z poddawaniem się dyscyplinie, nierzadko odbywają terapie odwykowe i leczenie psychiatryczne.

Patricia, która adoptowała chłopca z południowej Polski, napisała mi, że jej syn – obecnie ośmioletni – ma emocjonalność pięciolatka. Mimo że udało się im pokonać zaniedbania wczesnego okresu życia, chłopiec nadal ma skłonności do wpadania w rozpacz, napady lękowe i kłopoty z samooceną.

Matka, która adoptowała dziewczynkę z północno-zachodniej Rosji, napisała, że jej córka pochodzi z rodziny alkoholików, nie uczęszczała do szkoły i była zaniedbywana, dopóki w wieku siedmiu lat nie została oddana do adopcji. Do nowej matki trafiła w wieku jedenastu lat z całym kompleksem problemów, od upośledzeń wzrostu po opóźnienie w rozwoju mowy i trudności z uczeniem się. Teraz ma osiemnaście lat, a emocjonalnie znajduje się na poziomie dziewięciolatki. Najmniejszy problem wywołuje jej wściekłość lub olbrzymią rozpacz. Rodzice obawiają się, czy można zostawić ją samą.

Oczywiście to tylko fragment historii wielu rodzin. Jedna z matek napisała mi o swojej pochodzącej z Rosji córce: „Wniosła do mojego życia więcej miłości, niż sądziłam, że to możliwe”.

Słuchając tych trudnych relacji, czułem zazdrość. Ich dzieci ciągle żyły. Moja

córka była martwa. Nie dopełniłem najważniejszego obowiązku rodzica – nie zdołałem zapewnić dziecku bezpieczeństwa. Informacje potrzebne, by utrzymać ją przy życiu, były dostępne, ale poza moim zasięgiem. W bibliotece i w Internecie.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, by ich poszukać.

Gdybyśmy mogli cofnąć czas, wiele rzeczy zrobilibyśmy inaczej. Życie Casey nie musiało się zakończyć tak nagle i tragicznie.

Teraz po drugiej stronie tamtych poobijanych drzwi sypialni widzę inną osobę. Nie gniewną i nieposłuszną nastolatkę upierającą się, by zadrećcać swoich rodziców, lecz cierpiące niewyobrażalny ból dziecko, którego nie można było pocieszyć.

Próbowała z nami rozmawiać, ale nie zdołała przekazać nam tego, co myśli. Nie potrafiliśmy jej słuchać, nie rozumieliśmy albo odcinaliśmy się od jej głosu, gdy zaczynała krzyczeć. I odwrotnie – staraliśmy się mówić, tyle że słowa nigdy do niej nie docierały. Tak bardzo chcieliśmy ją kochać, a ona nie potrafiła wpuścić nas do środka. Na próby porozumienia trafiające obustronnie w próżnię reagowaliśmy wszyscy frustracją i dystansowaniem się od siebie. Był to tragiczny w skutkach błąd, ale nie mogliśmy o tym wiedzieć. Nie mieliśmy pojęcia, że Casey balansuje na ostrzu noża.

Na pozór wszystko układało się normalnie, a nawet lepiej. Dostała się do wymarzonej szkoły, lecz to nie wystarczyło, by wyszczerbić górę lodową rozpacz, która pływała pod powierzchnią, a którą Casey skrywała przed wszystkimi. Tylko czasami pokazywała, co naprawdę czuje. Ludzie nie słyszeli jej wołania o pomoc, więc rozważała dostępne możliwości: żyć w bólu lub wybrać śmierć.

Erika i ja od początku byliśmy ślepi. Myślami ciągle wracałem do tego ranka, gdy zabieraliśmy Casey z sierocińca. Tak bardzo spieszyliśmy się, by przebrać ją w ładne, czyste, dziewczęce ubranka, że nawet przez głowę nam nie przeszło, by zapytać, czy miała coś, do czego lubiła się tulić – poduszkę, pluszaka, kocyk. Teraz widzę, że zostawiliśmy wtedy za sobą coś, czego nie mogliśmy jej zastąpić, zwiększając tylko jej cierpienie. Aby ułatwić jej zmianę, powinniśmy poprosić o jakieś ubranko, zabawkę, cokolwiek, co byłoby jej znane i do czego mogłaby się przytulić. Nie zrobiliśmy tego.

W swoich książkach *Adopting the Hurt Child* i *Parenting the Hurt Child* doktor Gregory Keck i Regina Kupecky piszą, że rodzice adopcyjni chcą wierzyć, iż mocna więź, jaka tworzy się między dzieckiem a poprzednim opiekunem, to proces, który bez trudu przeniesie się na nich. Adopcja ma być lekiem na wszystkie kłopoty dziecka.

Tak było w naszym przypadku. Uradowani niebywałymi postępami Casey w pierwszych dniach, jakie spędziliśmy razem w ciasnym pokoju hotelowym w Warszawie, uznaliśmy, że nasza córka wcale nie jest dzieckiem specjalnej troski. Wydawało się nam, że w sierocińcu zabrakło jej odpowiednich bodźców do rozwoju, a do cofnięcia skutków tego stanu wystarczyła w naszym mniemaniu para kochających rodziców. Staliśmy się częścią bajki: dwójka chętnych Amerykanów ratujących polską sierotę z rąk kochającej, ale ubogiej matki, która po prostu chciała dla niej lepszego życia.

Traktowaliśmy Casey, jakby była naszym zwierzątkiem. Trafiła przecież w dobre amerykańskie ręce. Wystarczyło ją nakarmić, poczekać, aż się jej odbije, zmienić pieluszkę, ponosić trochę po pokoju i posadzić przed telewizorem, gdy rodzice chcieli w końcu odpocząć. Wtedy zaczęły się te wybuchy niezadowolenia.

Teraz wiem, że rodzice adopcyjni, którzy patrzą na niepokojące zachowania swoich dzieci jak na zwykłe problemy okresu dorastania, ignorują bombę z opóźnionym zapłonem. Muszą nauczyć się rozróżniać fizyczny i emocjonalny wiek swoich dzieci i dostosować swoje oczekiwania do niedojrzałości emocjonalnej, o której czytałem i którą oczywiście widziałem w Casey.

Powinniśmy poddać ją badaniom. Ray Kinney, kierownik i główny psycholog w Cornerstone Counseling Services w Wisconsin, wyjaśnił mi znaczenie odpowiedniego przebadania dziecka, które żyło w sierocińcu. W ciągu trzydziestu pięciu lat pracy w szpitalu widział setki skrzywdzonych dzieci i upewnił się, że jest ono niezbędnym krokiem pozwalającym wybrać odpowiednią strategię postępowania.

Tamtej pierwszej nocy w pokoju hotelowym w Warszawie, kiedy najpierw Casey nie dawała się uspokoić, a potem sama ukołysała się do snu, potrzebowaliśmy po prostu chwili spokoju, chcieliśmy, by wreszcie ucichła. Ale zamiast sadzać ją w wózku przed grającym telewizorem – czymś, czego pewnie nigdy wcześniej nie widziała – powinniśmy wziąć ją do łóżka, przytulić i ukoić. Powinniśmy nosić ją na rękach przez cały pierwszy miesiąc i ani na chwilę nie odkładać. Może byłoby inaczej. Wtedy potrzebowała

przede wszystkim dotyku drugiego człowieka.

Od momentu gdy przywieźliśmy ją do domu, popełnialiśmy same błędy. Założyliśmy, że przeszłość zginie w niepamięci, troska pokona naturę. Pomocy w opiece nad dzieckiem szukaliśmy u ekspertów wykreowanych przez media.

Gdy Casey była mała, próbowaliśmy uczyć ją manier, cierpliwości i niezależności. Gdy zachowywała się nieodpowiednio i wpadała w szal, okazywaliśmy niezadowolenie i ją karciliśmy. Nie dostrzegaliśmy tego, co było przyczyną jej wybuchów, i nasze działania tylko pogarszały sytuację. Zamiast odsyłać ją do pustego pokoju, trzeba było z nią zostać, pomóc się uspokoić i pocieszyć. Potrzebowała pewności, że mama i tata będą przy niej zawsze, niezależnie od wszystkiego.

Gdy poszła do szkoły, zmyliły nas objawy tego, co wzięliśmy za osobowość mnogą – w szkole zachowywała się jak aniołek, a w domu jak oporny i niedojrzały dzieciuch. Rozmawialiśmy z rodziną, przyjaciółmi, nauczycielami i psychologami i wszyscy nas przekonywali, że ma charakter, jest nerwowa i że z tego wyrośnie.

Erika i ja uznaliśmy, że to my stanowimy problem. Że ją rozpuściliśmy, że zabrakło nam stanowczości, że powinniśmy być wobec niej bardziej twardzi. Dlatego czytaliśmy takie książki jak *Raising Your Spirited Child*, próbowaliśmy wdrażać system nagród, używaliśmy argumentów w postaci telewizora, komputera i spotkań z przyjaciółmi, by skłonić ją do poprawnego zachowania. Winiliśmy siebie nawzajem za bycie złymi rodzicami, mieliśmy pretensje, że nie jesteśmy w stanie skłonić jej do odnoszenia się do nas tak, jak inne dzieci zwracały się do swoich rodziców. Nie wiedzieliśmy, że prowokacyjne, pełne agresji zachowania mogły być skutkiem strachu przed kolejnym odrzuceniem, czymś, czego sama nie rozumiała.

Nancy Verrier powiedziała mi, że adoptowane dziecko może dążyć do odrzucenia, choć w rzeczywistości chce czegoś przeciwnego. Cały czas będzie testować rodziców, czy już się złamią, czy już je odrzucą, aż w końcu, w sposób nieunikniony, do tego doprowadzi. Każde kolejne wystawienie na próbę oddania rodziców, często przez manipulowanie ich niepewnością co do tego, czy są wystarczająco dobrzy, sprawia, że rodzice, zamiast okazać wyrozumiałość i niezłomną postawę, zaczynają zachowywać się defensywnie i brać odwet na dziecku. Takie działania mogą w efekcie doprowadzić do tego, czego dziecko właśnie się obawiało – odesłania na leczenie, do szkoły z internatem lub wyrzucenia z domu.

*

W artykule *Therapeutic Parenting* przygotowanym przez stowarzyszenie Association for the Treatment and Training in the Attachment of Children (ATTACH), wydanym w 2008 roku, można przeczytać we wstępie:

„(...) Sprawowanie opieki nad dzieckiem z zaburzeniami więzi to najtrudniejsze zadanie, przed jakim kiedykolwiek staniecie (...). Będzie wymagało od was dawania, dawania i to bez niemal żadnej nagrody. (...) Będzie wymagało przemodelowania instynktów rodzicielskich. (...) Będzie oznaczało podejmowanie świadomych terapeutycznych decyzji rodzicielskich (...) i ciągłego skupiania się na głębszym znaczeniu zachowania waszego dziecka tak, by reagować na przyczyny, odpowiadać na potrzeby i motywy powodujące waszym dzieckiem. To wyczerpujące. A także skazujące na izolację, bo rodzina i przyjaciele zaczną utrzymywać dystans, czując się niekomfortowo w atmosferze dramatu, jaka otacza te dzieci”.

Heather Forbes jest wydawaną na całym świecie autorką i konsultantką, a także matką adopcyjną i współzałożycielką Beyond Consequences Institute w Boulder w stanie Kolorado. Napisała, że jej praca ma pomóc leczyć relacje rodzic–dziecko z naciskiem na działania rodziców, ponieważ jest przekonana, iż pomysł leczenia dziecka musi wyjść od rodziców, a nie od terapeuty. „Rodzice, którzy nie mają wątpliwości, kim są, nie biorą pewnych spraw do siebie i potrafią kochać bezwarunkowo, nawet jeśli dziecko okazuje im opór bądź gdy ich odrzuca”.

Podobnie jak pozostali eksperci, z którymi rozmawiałem, i ona zachęca rodziców do spojrzenia na wydarzenia z perspektywy dziecka, a nie własnej. Co kryje się za zachowaniami dziecka? Dlaczego jest zdenerwowane i czemu się tak zachowuje? Nieważne, jak przykry wypływa z tego przekaz, rodzice powinni dać dziecku możliwość wyładowania się, bo ono przede wszystkim musi być usłyszane. Nad zachowaniem i odpowiednim językiem można pracować później.

– Wszystkie te dzieci czują się jak Casey – powiedziała mi. – Mają wrażenie, że są popsute i nie da się ich naprawić. I to poczucie nigdy nie mija. Nie chodzi o to, że nie kochaliście Casey, ale o to, że ona tego nie pojmowała.

*

Na początku dwudziestego pierwszego wieku doktor Marvin oraz kilku jego kolegów z Marycliff Institute w Spokane w stanie Waszyngton opracowało tak zwany krąg bezpieczeństwa, schemat diagnozowania zaburzeń więzi i tworzenia spersonalizowanych programów interwencyjnych mających pomagać w rozwijaniu więzi między opiekunami i dziećmi w wieku niemowlęcym i przedszkolnym. Zajęcia odbywały się przez dwadzieścia tygodni w grupach, rodzice mieli nauczyć się lepiej rozumieć swoje dzieci i samych siebie, dowiedzieć się, jak odczytywać złożone i subtelne sygnały wysyłane przez dzieci, jak wykazywać się empatią. Mieli zrozumieć, że gniew skierowany przeciwko rodzicowi jest w rzeczywistości czymś zupełnie innym, a opór tylko maskuje niezdolność dostosowania się do nowego schematu. Następnie mieli się dowiedzieć, jak wykorzystywać bardziej przyjazne techniki wytwarzania więzi.

– Nasze szkolenia pomagają rodzicom przesunąć punkt ciężkości działań z obszaru prób powstrzymania niechcianych zachowań do uspokajania dziecka, gdy straci nad sobą panowanie i nie będzie mogło się uspokoić – wyjaśnia doktor Marvin.

Na przykład zamiast izolować dziecko w ramach kary za niewłaściwe zachowanie, należy z nim zostać, wykazać zrozumienie dla jego złości i pozwolić mu być sobą. Czasami na poziomie nieświadomym zachowanie dziecka jest reakcją na wczesne porzucenie. Rodzice adopcyjni muszą to zrozumieć i przyjąć do wiadomości tę pierwszą stratę. Rodzice stosujący to podejście przekonują się, że niechciane zachowania znikają bardzo szybko.

Doktor Marvin utrzymuje, że cierpiące dzieci są wdzięczne rodzicom, gdy je pocieszają, zamiast dyscyplinować. Tak przecież postępowaliby z niemowlęciem, którym to dziecko kiedyś było i w pewnym sensie nadal jest.

Jane Brown, terapeutka adopcyjna z Ontario w Kanadzie, zachęca dzieci, które zostały adoptowane, do poznawania przez zabawę w grupach tego, czym jest adopcja, jak budować swoją tożsamość jako dziecko pochodzące z adopcji oraz jak radzić sobie w świecie. W dającej bezpieczeństwo grupie dzieci chętniej podejmują ryzyko i są dla siebie nawzajem wzorem, czasami biorą udział w zajęciach, wyłącznie słuchając i patrząc. Jane przydziela malcom zadania, które uczą, jak nazywać swoje przekonania na temat tego, co ich spotkało, jak zdefiniować swoje odczucia wobec rodziców biologicznych, jak dowiedzieć się, dlaczego rodzice adopcyjni wzięli dziecko z sierocińca, a wszystko to po to, by skłonić do odsłonięcia się i poznania swojej

przeszłości.

*

Od początku snuliśmy historie dotyczące adopcji Casey. Gdy powiedziała, że jej to nie interesuje, uwierzyliśmy jej na słowo. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że agresja Casey może być zakorzeniona w skrywanych odczuciach wynikających z porzucenia. Staraliśmy się chronić ją przed bólem związanym z wiedzą o martwej bliźniaczce, ale może gdzieś w głębi wiedziała i to.

Na jej urodziny patrzyliśmy swoimi, nie jej oczami. Dla niej mogły być kolejnym przypomnieniem o stracie, a nie okazją do świętowania. To wyjaśniałoby, dlaczego zawsze starała się sabotować wszystkie próby organizowania przyjęcia. Przypuszczalnie instynkt kazał jej uciekać od wzruszeń, lecz tak naprawdę potrzebowała pomocy specjalisty, który by ją zrozumiał i pomógł poskładać w całość fragmenty jej historii i dał szansę na zdrowsze postrzeganie siebie jako kompletnej osoby.

Ray Kinney twierdzi, że rodzice bardzo często ubarwiają historię adopcyjną, by oszczędzić dziecku kolejnej porcji bólu. On ma inne podejście – pomaga dzieciom odtworzyć historię adopcji. Dziecko musi wiedzieć, że jego doświadczenia były prawdziwe, a ciągłe i sprzeczne odczucia są normalne i uzasadnione. Szczere opowiedzenie historii – nawet jeśli nie jest ona miła – pozwala dziecku lepiej poznać siebie.

– Pragną ją znać w całości, a gdy ją usłyszą, może zrozumieją, jak czuła się ich matka – powiedział. – Gdy pozwalamy dziecku zrozumieć traumę, jaką przeszło, dowiedzieć się, co mu się przydarzyło, gdy było zupełnie małe, i jak wpływa to na całe jego życie, może ono wreszcie próbować kontrolować swoje emocje.

Dojrzewanie, gimnazjum i szkoła średnia przepełniają czarę goryczy. Gdy napady złości u Casey stały się podszytymi bluźnierstwem atakami kończącymi się wrzaskiem „Nienawidzę was”, staraliśmy się kontrolować ją szlabanami i ograniczaniem przywilejów, aż w końcu musieliśmy przyznać się do porażki. To, że była niepodatna na jakąkolwiek dyscyplinę, potraktowaliśmy jak osobistą porażkę. Niewykluczone, że jej ataki wcale nie były skierowane przeciwko nam. W jej wnętrzu wrzała toksyczna mieszanka strachu, stresu, samotności i nienawiści do samej siebie, którą ujawniała tylko na LiveJournal

i forum internetowym.

*

Doktor David Brodzinsky, profesor Rutgers University, założyciel Donaldson Adoption Institute i współautor wydanej w 1992 roku książki *Being Adopted: The Lifelong Search for Self*, tak pisał o skutkach długotrwałej instytucjonalizacji:

„W przypadku dzieci, które zostają adoptowane wcześnie, poczucie straty może pojawiać się stopniowo, gdy zaczyna rozwijać się u dziecka kognitywne rozumienie adopcji. W przypadku dzieci przysposobionych później uczucie straty może być bardziej traumatyczne i jawne, szczególnie w okresie gimnazjum, gdy dziecko zaczyna zastanawiać się nad tym, co znaczy być adoptowanym, i może łączyć to z poczuciem obcości i odmienności.

W sytuacjach skrajnych uraza i złość przejawiane wobec rodziców adopcyjnych mogą wpływać z poczucia wstydu i winy za to, kim się jest – dzieckiem niesympatycznym – co może wywoływać wybuchy destrukcyjne. Jedna z osób adoptowanych powiedziała:

– Bycie wybranym przez rodziców adopcyjnych jest niczym w porównaniu z odrzuceniem przez biologiczną matkę”.

Doktor Brodzinsky uprzedza, że wyrażanie żalu związanego z adopcją może przyjmować bardzo różne formy – od ledwie wyczuwalnego bólu do czegoś znacznie częstszego i bardziej intensywnego. Często poczucie straty jest maskowane ogromnym gniewem, odrzuceniem, dystansowaniem emocjonalnym i okazywaną na zewnątrz brawurą. Ale pod tym wszystkim kryje się dziecko, które zostało bardzo źle potraktowane przez życie. Łatwo je skrzywdzić i trudno do niego dotrzeć.

Powoli zaczynałem rozumieć, jak mogło wyglądać bycie Casey – dzieckiem krzyczącym rozpaczliwie ze swojego łóżeczka z powodu odrzucenia, wepchniętym w ramiona dwóch obcych osób z innego kraju, które nie potrafiły go pocieszyć, choć bardzo się starały.

Gardziła nimi za brak zrozumienia, za to, że okazali się tak głupi, by pokochać kogoś takiego jak ona. Dlatego kryła się za fałszywą brawurą, przywdziewała zbroję i udawała, że nikogo nie potrzebuje, a już na pewno nie ich. Jednocześnie mogła patrzeć na swoje zachowanie – otarła się o to na sesjach z doktorem Palmerem – i zadawać sobie pytanie: „Co, u licha, jest ze mną nie tak?”.

Kryła się więc za tą zbroją i wyżywała na jedynych ludziach, na których mogła robić to bezpiecznie – na rodzicach adopcyjnych. Dowiedziałem się, że opieka nad dzieckiem, które przeszło taką traumę w okresie niemowlęcym, jest sprzeczne z intuicją. Sprawdzone przez lata metody wychowywania i dyscyplinowania dzieci, u których poczucie więzi wykształciło się poprawnie, zalecane przez doktora Spocka, T. Berry’ego Brazeltona i doktora Phila, były zupełnie nieprzydatne, gdy chodziło o dziecko takie jak Casey.

– Czasami trzeba się nimi zajmować w sposób, który będzie dla nich dobry, choć tobie wydaje się, że tak nie jest – wyjaśnił Ray Kinney.

Doktor Keck zalecał zostawiać niemowlę – „niech się wypłacze”. Inni zalecali, by zostać z dzieckiem, jeśli płacze, wrzeszczy i nie może się uspokoić.

Weźmy na przykład nieszczęsną wyprawę na lodowisko w Yerba Buena, gdy Casey miała osiem lat. Zostawiliśmy ją w pokoju, by się wypłakała, bo powiedziała, że tego właśnie chce. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, co robić, nie posłuchalibyśmy jej żądania.

Erika mogłaby głaskać ją po plecach i masować stopy, uspokajając jednocześnie cicho, jak robiła to, gdy Casey była młodsza. Może zaśpiewałaby

coś po polsku, ulubioną piosenkę Casey w dzieciństwie o pajęczku, który szedł po jej brzuszku. Erika nauczyła się jej od matki; moja mama śpiewała mi coś podobnego, tylko zamiast pajęczka w piosence pojawiała się myszka. Wyobrażałem sobie, że twarz Casey rozjaśniłaby się w panicznym oczekiwaniu na łaskotanie pajęczych odnóży, gdy Erika dotarłaby do karku, co Casey powitałaby cudnym wybuchem śmiechu: Ha, ha, ha!

Doktor Keck pisał, że dziecko należy karmić wtedy, gdy tego chce, by utrwalić wzorzec, że jego potrzeby zostaną zapewnione, co pozwoli mu zaufać rodzicom w trudniejszych momentach. Należy unikać oddawania dziecka pod opiekę, by nie wzmacniać wzorca porzucenia przez pierwszego opiekuna.

Dzięki Bogu przynajmniej to jedno zrobiliśmy dobrze.

Ciągle posyłałamy Casey na terapię do lekarzy, którzy traktowali ją jak każde inne dziecko i skupiali się na poprawianiu zachowania, zamiast zająć się przyczyną. W końcu miała dość.

Teraz jej nie winię. Miała rację. Taka terapia była stratą czasu.

Niestety, w swoim zaślepieniu Erika i ja wpadliśmy w szal.

Dla nas był to kolejny akt oporu i kolejna porażka w sprawowaniu kontroli nad córką. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że być może ona sama już się poddała.

Dzieci takie jak Casey wymagają odmiennego traktowania – innej terapii, innego wychowania – bo tylko wtedy mogą przetrwać i się rozwinąć. Przez lata prowadziliśmy ją do specjalistów, którym brakowało narzędzi, by ją zrozumieć, poradzić sobie z nią czy choćby rozpoznać jej niecodzienne doświadczenia. Szukali odpowiedzi w jedynych metodach leczenia, jakie znali. Sprawdzali się u wszystkich młodych ludzi, więc dlaczego nie skutkują u Casey?

Na blogu „Gdy terapeuta nie rozumie”, prowadzonym na stronie o adopcjach w rejonie Bay Area, przedstawiona jest historia zmagania i frustracji matki adopcyjnej, która szukała pomocy dla swojego dziecka u zwykłych terapeutów. Kobieta przestrzega, że nawet ci mający doświadczenie w pracy z trudnymi dziećmi mogą sobie nie poradzić i jeszcze pogorszyć sprawę. Jak w większości znanych mi przypadków skupiali się na wykorzenieniu niepożądanych zachowań u jej syna, jakby usunięcie objawów mogło wyleczyć chorobę.

Kobieta ta pisała: „Rodzice szukają pomocy u specjalistów, bo chcą pomóc swoim dzieciom żyć w szczęściu i emocjonalnym zdrowiu. Ciągłe

wysłuchiwanie od kolejnych lekarzy, że wszystkie »problemy« dziecka są twoją winą, jest frustrujące. Znalezienie terapeuty, który zrozumie, o co chodzi, jest wybawieniem dla wszystkich w rodzinie”.

Rozmawiałem z Heather Forbes o naszych rozczarowaniach związanych z próbami podejmowania terapii.

– Niestety, ciągle słyszę takie historie – zapewniła mnie. – Jeśli nie dotrzecie do miejsca, z którego wypływają emocje – tej głębi serca i duszy, gdzie dziecko czuje się odrzucone – przypuszczalnie nigdy się wam nie uda.

Istnieją tysiące państwowych i prywatnych agencji adopcyjnych i prawników gotowych pomagać potencjalnym rodzicom w Stanach Zjednoczonych, ale zdecydowanie brakuje pomocy poadopcyjnej. W San Francisco Bay Area, piątej co do wielkości metropolii w kraju, gdzie żyje przeszło osiem milionów ludzi i działa duża międzynarodowa społeczność adopcyjna, znalazłem tylko kilkoro specjalistów w dziedzinie terapii adopcyjnej. A na własnej skórze przekonałem się, jak trudno jest do nich dotrzeć.

Gdybym zdołał znaleźć kogoś, kto naprawdę zrozumiałby Casey i umiał do niej dotrzeć, co nie udało się żadnemu z wybranych przez nas terapeutów, być może zaufałyby mi i nieco się otworzyła. Gdyby Casey zechciała wziąć udział w terapii grupowej z innymi pochodzącymi z adopcji nastolatkami, może nie czułaby się aż tak osamotniona, nawet gdyby tylko słuchała. Tych kilka śladów, na które natrafiliśmy po jej śmierci, sugeruje, że szukała ludzi podobnie doświadczonych przez los. Chciała nawiązać z kimś porozumienie. Spędziłem dużo czasu, rozmawiając z Jane Brown o jej adoptowanej córce pochodzącej z Chin. Gdy miała dziewięć lat, psychiatra zapisał jej środek stabilizujący nastrój. W ciągu tygodnia lek zadziałał i nagłe skoki nastrojów ustały. Gdy była już wyciszona, psychiatra mógł zająć się problemami psychologicznymi i behawioralnymi.

Mnie tabletki wydawały się ostatnią deską ratunku dla Casey, bałem się ich potencjalnych skutków ubocznych. Czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybyśmy spróbowali leczenia farmakologicznego wcześniej, a nie dopiero wtedy, gdy skończyła siedemnaście lat?

– Te dzieci są często znacznie bardziej podatne na stres i reaktywne, ale potrafią się nauczyć, jak sobie z tym radzić. Leki mogą pomóc – wyjaśniła Jane. – Problemy z nawiązywaniem relacji to jedna kwestia, ale to tylko część łamigłówek.

Coś jeszcze udało się nam zrobić właściwie zgodnie z naczelną zasadą, którą

przekazała mi Nancy Verrier – nigdy nie groź odrzuceniem.

Myśleliśmy, żeby wysłać Casey na odwyk lub do szkoły dla trudnej młodzieży, jak robili to inni rodzice, ale miałem zastrzeżenia, które wynikały raczej z przyziemnych niż altruistycznych pobudek. Takie ośrodki są równie drogie jak elitarne szkoły prywatne.

Gdybyśmy opanowali przynajmniej jedną z technik rodzicielskich, które później poznałem, lub wykorzystali każdą okazję, by przypominać Casey, jak bardzo była dla nas ważna, albo reagowali na każde jej „zabiję się” nie ciszą, lecz pełną pasji argumentacją, że świat bez niej będzie pusty, być może zdołalibyśmy utrzymać ją przy życiu.

To naprawdę nie musiało się stać.

Ray Kinney powiedział mi, że skutki instytucjonalizacji nigdy całkowicie nie mijają.

– Te dzieci mogą co najwyżej nauczyć się, jak nie pozwolić ranom przejąć kontroli nad ich życiem.

Ostatecznie Casey mogła wynieść z domu lepsze metody radzenia sobie ze światem, zdrowszy obraz samej siebie i pewność, że ma dwoje rodziców, którzy byliby gotowi jej pomóc, zawsze gdyby ich potrzebowała.

Gdy wracam pamięcią do uśmiechniętych twarzy i pełnego łez pożegnania ubranych w białe fartuchy opiekunek z sierocińca w Mrągowie, zastanawiam się, co kryło się za tym przyjemnym pokojem gościnnym, jedynym, jaki nam pokazano.

Szukając odpowiedzi na pytania dotyczące samobójstwa Casey, wpisałem w Google hasło „polskie sierocińce”. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej o systemie domów dziecka i o tym, jak pobyt w takiej placówce mógł wpłynąć na osobowość i emocjonalność Casey. Po krótkich poszukiwaniach trafiłem na prawdziwą skarbnicę wiedzy.

Agape Trust jest pozarządową organizacją zajmującą się wspieraniem młodych Polaków wychowanych przez domy dziecka. Wysłałem wiadomość z pytaniem i w ciągu tygodnia skontaktowali się prowadzący tę organizację Vic z południowej Afryki i jego polska żona, pracownik socjalny o imieniu, *nomen omen*, Joanna. Tak przecież pierwotnie miała na imię Casey.

Vic pisał, że obecny system sierocińców w Polsce powstał pod koniec drugiej wojny światowej, kiedy bez rodziców znalazło się około miliona dzieci. Po sześćdziesięciu latach liczba placówek znacznie spadła i teraz opiekują się one około dwudziestoma pięcioma tysiącami dzieci, ale ich struktura nadal zakłada, że na jednego opiekuna przypada około dziesięciorga dzieci. Potrzeby emocjonalne podopiecznych bardzo często ustępują konieczności zapewnienia podstawowej opieki w tej podlegającej ścisłemu reżimowi masowej opiece.

Pracowników przestrzega się przed przywiązywaniem się do dzieci. Uważa się to za nieprofesjonalne. Są też względy praktyczne. Przy tak dużej liczbie dzieci opiekun, który próbowałby odpowiadać na ich potrzeby emocjonalne, zostałby zapewne przez nie przytłoczony i szybko się wypalił. A niezdolność skutecznego reagowania na potrzeby dzieci mogłaby wywołać tylko większą traumę u nich.

Gdy opuszczają dom dziecka, są zazwyczaj nieprzygotowane na spotkanie z rodziną adopcyjną – a wiele z nich przeżyło traumę, zanim trafiło do ośrodka. W jednym z artykułów ujawniono, że ponad dziewięćdziesiąt procent polskich sierot może cierpieć na zaburzenia tworzenia więzi.

Casey przeżyła kilka trudnych chwil, zanim trafiła w nasze ręce. Z sali porodowej trafiła od razu do inkubatora, gdzie spędziła dwa miesiące prawie bez kontaktu z drugim człowiekiem. Potem została odesłana do sierocińca, gdzie żyła przez rok – pielęgnowano ją i karmiono, ale nie dbano o jej potrzeby emocjonalne. Prawdopodobnie większość czasu spędziła w łódeczku w pokoju pełnym innych niemowlaków, słuchając ich krzyków i płaczu, z przerwą na karmienie, zmianę pieluchy i gaszenie świateł. Straciła matkę, siostrę i przypuszczalnie wszystkie więzi genetyczne. Nie nawiązała nigdy więzi z żadnym z opiekunów, nigdy nie czuła się bezpiecznie, nigdy nikomu nie ufała. Zastanawiam się, czy jej matka biologiczna choć raz wzięła ją na ręce, zanim pożegnała się z nią na zawsze.

Jak pisał Vic w jednym z mejli, powtarzając to, co słyszałem wcześniej od innych: „Zważywszy na fakt, że Casey przeżyła potężną traumę emocjonalną we wczesnym niemowlęctwie, jej późniejsze zachowania były całkowicie normalne. W zaistniałych okolicznościach”.

Patricia, pisząc o chłopcu adoptowanym w południowej Polsce, powiedziała, że trafił do sierocińca jako pięciomiesięczne niemowlę. Był tam niemal do drugiego roku życia. Patricia miała wstęp do całego sierocińca i opisała go jako linię produkcyjną działającą z bezwzględną wydajnością. Opiekunowie są instruowani, by nosili dzieci twarzami w dół, żeby unikać tworzenia się więzi. Kąpiele przypominają mycie samochodu. Dzieci – chłopcy i dziewczęta do piątego roku życia – są wstawiane nagie i płaczące, w jednej linii, do wanny, gdzie jeden z opiekunów je mydli, inny spłukuje, kolejny wyciera, a jeszcze inny ubiera w piżamy.

Matka chłopca z północno-wschodniej Bułgarii powiedziała mi, że wzięła go, gdy miał trzy lata, z zapuszczonego sierocińca z czasów pamiętających Związek Radziecki, w którym przebywało około dwustu pięćdziesięciu dzieci. Przy ośrodku nie było boiska, więc dzieci spędzały cały czas w środku. Węgiel był drogi i zawsze go brakowało, dlatego często zdarzało się, że zimą dzieci leżały zawinięte w kołdry w łódeczkach. Na ich posiłki składały się letnia herbata, zupy, rozwodnione soki, owoce z puszek i chleb. Pieluszek nie było, więc o wyznaczonych porach dzieci sadzano na nocniki. Syn tej kobiety

ma obecnie dwadzieścia lat, emocjonalnie jest niedojrzały, ma skłonności do napadów gniewu i depresji. Ma też poważne problemy w nauce.

Wreszcie wiedziałem, o co pytać. Ale gdzie szukać odpowiedzi?

Pierwsze kroki skierowałem do grupy, która zachęcała do adoptowania dzieci w Polsce i organizowała regularne spotkania dla sierot i ich rodzin w Stanach Zjednoczonych. Po wymianie listów z Vikiem, uzbrojony w wiedzę na temat polskich domów dziecka, miałem przecucie, że spotkam się tam ze zrozumieniem i otrzymam pomoc. Jednakże moje pytanie wywołało nieco obronną i odpychającą reakcję, ujętą w słowa odpowiedzi przesłanej przez kierowniczkę programu:

„Od dwudziestu dwóch lat zajmuję się adopcją polskich dzieci. Oboje moich dzieci pochodzi z tego samego sierocińca, z którego adoptował Pan swoją córkę, i żadne z nich nie przejawia podobnych problemów”.

Dalej pisała tak:

„Przesłałam Pańską prośbę o rozmowę w sprawie przeprowadzonej adopcji do naszego pełnomocnika w Warszawie. Pani adwokat omówi Pana prośbę z władzami adopcyjnymi i udzieli nam wskazówek, jak postępować dalej w tej sprawie. Do tego czasu prosimy nie podejmować dalszych prób kontaktu”.

Kilka mejli z prośbami o wyjaśnienia przeszło bez echa.

Czyżby dawano mi do zrozumienia, że mam się nie wtrącać? Nie prowadziłem polowania na czarownice. Byłem zrozpaczonym ojcem, który szukał odpowiedzi.

Następne źródło odesłało mnie do grupy adopcyjnej specjalizującej się w sprawach dzieci pochodzących z Europy Wschodniej i Rosji. Ich początkowa odpowiedź była bardziej wyważona, ale nadal podszyta podejrzeniami:

„Rozumiemy Pańską potrzebę zebrania informacji, nie możemy jednak przychylić się do prośby o rozmowę z rodzinami korzystającymi z naszych usług. Mamy obowiązek chronić prywatność naszych członków. Na świecie jest zbyt wielu oszustów i bardzo często kontaktują się drogą mejlową.

Informacje te stałyby się zbyt łatwo dostępne, bym mogła zgodzić się na Pańską prośbę”.

Zadzwoiłem do kilku grup działających w Bay Area, nagrałem się na pocztę głosową, ale nikt się ze mną nie skontaktował. Może byli zajęci, a może nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego.

Nie takiego przyjęcia się spodziewałem.

Kontynuowałem poszukiwania, badając tajemnicę życia i śmierci Casey, i odkryłem coś smutnego i ironicznego zarazem – mimo że każdy człowiek i każda instytucja w łańcuchu adopcyjnym chcą jak najlepiej, to razem wyrządzają ogromną krzywdę. Wszyscy chcą tego, co uważają za dobro dzieci. Niestety, koniec końców, okazuje się, że każdy, kto ma kontakt z tymi dziećmi, w jakiś sposób je zawodzi:

- Agencje adopcyjne nie ostrzegają rodziców, że dzieci pochodzące z domów dziecka mogą cierpieć na poważne problemy behawioralne, mimo że wydają się całkiem normalne i szybko zyskują nowe umiejętności.
- Opiekunowie w sierocińcach przestrzegają zaleceń, by nie wiązać się emocjonalnie z dziećmi.
- Rodzice adopcyjni, szczególnie pochodzący z innych krajów, mający ograniczoną znajomość języka i systemu prawnego, nie zadają pytań, by nie stracić szansy na dziecko.
- Rodzina i przyjaciele zbyt szybko mówią zmartwionym rodzicom to, co ci chcą usłyszeć – że napady gniewu i brak uczuć to normalne zachowania, etap przejściowy.
- Specjaliści od zdrowia psychicznego, czasami z niewiedzy, czasami z zawodowej arogancji, stawiają niepoprawne diagnozy, prawią kazania, nie są w stanie nawiązać kontaktu z dzieckiem, ignorują słońca w pokoju (fakt adopcji) i w efekcie mogą sprawić, że dziecko będzie miało na swój temat jeszcze gorsze zdanie niż przed terapią, a może nawet pretensje o brak współpracy.
- Agencje rządowe często wznoszą mur nie do przebicia między dzieckiem a rodzicami biologicznymi, wierząc, że szanowanie prywatności będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych.

A przecież nie musi tak być, może zresztą nie wszędzie tak jest. System

adopcyjny się zmienia. Pojawiają się nowe terapie, nowe techniki przenikają do głównego nurtu nauki. Doktor Marvin wierzy, że nowe koncepcje i zasady pomogą łagodzić szkody wyrządzone przez oddzielenie i zinstytucjonalizowanie, ale też wie, że nie są złotymi środkami.

– To jak alkoholizm, uraz kręgosłupa czy zespół stresu pourazowego – powiedział. – Zadaniem rodzica jest być dla dziecka protezą, rozumieć i akceptować, że taki malec ma inną ścieżkę rozwoju niż większość dzieci. Z czasem dziecko nauczy się używać tej protezy, by dostroić się do reszty świata.

Zmiany w systemie adopcyjnym muszą sięgać dalej niż tylko rodzin adopcyjnych, bo na tym etapie szkoda już się dokonała. Ray Kinney zauważa, że przyszli rodzice są coraz lepiej poinformowani o ryzyku, z jakim być może będą musieli się zmierzyć. Udziela porad coraz większej liczbie rodzin, zanim jeszcze adoptują dziecko, i profesjonalnych instrukcji, jak postępować z takimi dziećmi w pierwszych dniach. Podkreślając, że dziecko miało życie, zanim trafiło do nowej rodziny.

– Dotarcie do rodziców, zanim w ogóle wejdą na ten wózek, potrafi zmienić wszystko – powiedział.

Vic napisał mi, że w Polsce odchodzi się od tradycyjnych domów dziecka na rzecz rodzinnych, gdzie dzieci wiodą bardziej przewidywalne życie i mają lepszy kontakt z opiekunami. Otwarte adopcje, gdy rodzice biologiczni mają większy wpływ na przyszłość dziecka, są coraz lepiej przyjmowane przez rodziców adopcyjnych, ale są one możliwe wyłącznie w obrębie kraju.

Vic opisał też proces, jaki przeszli z młodą przyszłą matką. Razem z Joanną przedstawili jej wady i zalety zatrzymania dziecka i oddania go do adopcji, po czym wspólnie uznali, że adopcja byłaby dla dziecka lepsza. Przygotowali profil rodziny, w jakiej matka najchętniej widziałaby swoje dziecko, i znaleźli na polskim forum adopcyjnym parę, która wydawała mu się odpowiadać.

Podobnie jak to się przeprowadza w Stanach Zjednoczonych, przyszła matka i rodzice adopcyjni spotkali się i poznali. Przed urodzeniem dziecka i po jego urodzeniu spędzali ze sobą czas w domu rodziców adopcyjnych. Przekazanie dziecka odbywało się tak, by jak najbardziej ograniczyć jego traumatyczne przeżycia. Matka biologiczna miała wpływ na wybór przyszłego domu dziecka, a dziecko wiedziało, że nie zostało porzucone, lecz troskliwie przekazane rodzinie, która będzie w stanie zapewnić mu lepsze życie, takie, jakiego pragnęłaby dla niego matka biologiczna.

Przez szesnaście lat snułem fantazje na temat spotkania z matką biologiczną Casey. Mimo że Casey utrzymywała, że nie jest zainteresowana, chciałem wiedzieć, jak wyglądała jej matka, móc obserwować jej sposób bycia, mówienia, może poznać rodzeństwo Casey. Przekonać się, czy są do niej podobni.

Chciałem się dowiedzieć, kto sprowadził na świat dziecko, które dało nam tyle radości, choć niejednokrotnie wystawiło naszą cierpliwość na próbę. Chciałem zapytać tę kobietę, dlaczego oddała Casey, a pozostałe dzieci zatrzymała. No i dowiedzieć się, kim był ojciec Casey.

Mogliby nas nauczyć tylu rzeczy o ich córce. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Epilog

Latem 2008 roku, zaledwie kilka miesięcy po samobójstwie Casey, Erika i ja dołączyliśmy do grupy ludzi domagających się postawienia bariery zapobiegającej samobójstwom na Golden Gate. Wiedzieliśmy już, że niektórzy decydowali się skoczyć z mostu, ale zaszokowała nas wiadomość, że liczba osób kończących życie w tym miejscu pozostawiała daleko w tyle inne budowle na ziemi. Od chwili postawienia mostu w 1937 roku skoczyło z niego ponad tysiąc sześćset osób. Statystyki pokazują, że od połowy pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku rocznie robi to od trzydziestu do czterdziestu pięciu osób. Jednak liczby te zwiększają się dwu-, a nawet trzykrotnie, jeśli uwzględnimy tych, których uratowano. Mimo alarmujących statystyk opinia publiczna w Bay Area i wielu dyrektorów zasiadających w radzie Bridge District Board przez lata sprzeciwiali się postawieniu bariery zapobiegającej samobójstwom.

W październiku 2008 roku, po długiej i burzliwej dyskusji, rada głosami czternaście do jednego zdecydowała o zamocowaniu na moście siatki zabezpieczającej. Ale było to próżne zwycięstwo. Nie powstał bowiem plan sfinansowania tego projektu, wycenianego wtedy na pięćdziesiąt milionów dolarów.

Niemal cztery lata później, po intensywnych zabiegach koalicji rodzin ofiar samobójców, specjalistów w zakresie zdrowia psychicznego i oddanych sprawie miejscowych polityków, senatorowie Barbara Boxer z Kalifornii i James Inhofe z Oklahomy objęli patronatem zaproponowaną dwuletnią ustawę Federal Transportation Bill zakładającą zapewnienie części środków niezbędnych do przygotowania zabezpieczenia. W czerwcu 2012 roku Senat przyjął ustawę.

W czerwcu 2014 roku Bridge District Board jednogłośnie przyznał siedemdziesiąt sześć milionów dolarów pochodzących z lokalnego pakietu finansowego i źródeł federalnych na przygotowanie zabezpieczenia.

Montowanie siatki ma się rozpocząć w 2016 roku i zakończyć w roku 2019. Upór członków rodzin samobójców miał decydujące znaczenie dla zrealizowania tego projektu.

Od czasu śmierci Casey z Golden Gate skoczyło ponad dwieście osób. Historia każdej z nich, dotyczy to zwłaszcza młodszych ludzi, kryje w sobie tragedię.

Przez cztery lata obarczałem most winą za śmierć Casey. Gdyby wtedy istniała ta bariera. Ale przecież most był tylko znajdującym się w zasięgu ręki narzędziem do zrealizowania impulsu autodestrukcyjnego. Ważniejsze było znalezienie odpowiedzi na pytanie, co przywiodło ją do tego punktu – i to nie raz, ale dwukrotnie. Pewności nigdy mieć nie będę, gdyż Casey nie została nigdy ani dobrze zbadana, ani zdiagnozowana – niemniej źródła jej problemów emocjonalnych prawdopodobnie należy szukać w okresie niemowlęcym. Kłopoty te nasiliły się pod wpływem nieustannego działania mających dobre chęci, lecz niedoinformowanych ludzi: opiekunów w sierocińcu, terapeutów i nas, jej rodziców.

Dowiedziałem się, że oddzielenie dziecka od matki to traumatyczne przeżycie dla obu stron. A czy może być inaczej? Natomiast sama adopcja jest znacznie bardziej złożona i pełna pułapek, o jakich nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Okazuje się, że niektórzy specjaliści nie pochwalają nadużywania terminów „zaburzenia więzi” i „reaktywne zaburzenia przywiązania w dzieciństwie” jako wygodnych etykietek, którymi można opisywać dzieci pochodzące z adopcji i cierpiące na różne schorzenia. Ze względu na brak informacji dotyczących okoliczności narodzin często o pewnych problemach w ogóle nie wiadomo – jak o płodowym zespole alkoholowym, skutkach uzależnienia od narkotyków czy chorobach psychicznych przekazywanych genetycznie.

I chociaż dzieci pochodzące z adopcji są bardzo narażone na problemy z uczeniem się, na zaburzenia emocjonalne lub behawioralne, to nie każde adoptowane dziecko cierpi z powodu skutków wczesnego odrzucenia. Często znakomicie przystosowują się do nowego życia, powodzi im się świetnie i mają kochające rodziny. Dzieci potrafią być niebywale odporne na przeciwności losu.

Dopiero w październiku 2012 roku, gdy moja mama umarła na zawał, zrozumiałem, co znaczy być sierotą. Mój ojciec zmarł w 2005 roku. Przez chwilę po otrzymaniu wiadomości o śmierci mamy poczułem się przerażony,

samotny i bardzo podatny na zranienie. Rodziców już nie było, kto więc miał zadbać o mnie? Irracjonalna myśl u pięćdziesięciosiedmioletniego mężczyzny. A wyobraźcie sobie przerażenie małego dziecka w takich okolicznościach. Gorzej nawet, bo pozbawionego rodziców z powodu porzucenia, a nie śmierci. Przecież jej rodzice ciągle żyli. Byli gdzieś tam, może mieli inne dzieci, a ją porzucili. W takim świecie urodziła się i żyła moja córka.

Erika i ja nie będziemy mieć następnej szansy. Nie dostaniemy kolejnej Casey. Mamy jednak nadzieję, że nasza historia i lekcja, jaką odebraliśmy, pomogą innym rodzinom i dzieciom, które znalazły się w podobnej sytuacji, nadal są same i desperacko szukają porady.

Podziękowania

Historia ta zaczęła się jako czterystupięćdziesięciostronicowa saga o rozpaczającym ojcu, zanim poznałem Adair Larę, była dziennikarkę „San Francisco Chronicle”, autorkę wielu książek i prowadzącą w salonie wiktoriańskiego domu w San Francisco zajęcia z pisania wspomnień. To ona dostrzegła w moim tekście to, co mnie zupełnie umknęło – poszukiwanie odpowiedzi na pytania związane z samobójstwem Casey – i otworzyła mi tym samym drogę prowadzącą w inne rejony: ku opowieściom o zaburzeniach budowania więzi u dzieci, które przeżyły we wczesnym dzieciństwie traumę. Jestem jej wdzięczny za wizję i literackie przewodnictwo.

Jestem również wdzięczny zespołowi wydawnictwa Scribner, który wyniósł tę opowieść na zupełnie inny poziom. Adene Corns odkryła mnie na odczycie w bibliotece w Fairfax w Kalifornii, a Roz Lippel oraz redaktorzy i zespół produkcyjny Scribnera z Nowego Jorku nadali mojemu pisarstwu niebywale profesjonalny kształt, który z pewnością zadowoli każdego czytelnika i księgarza. W Scribnerze uwierzyli w tę historię, którą inni odrzucili. Początkującym autorom rzadko udaje się dostać do pierwszej ligi, ale czasami mają szczęście.

Pragnę też podziękować specjalistom od adopcji i zaburzeń więzi, którzy odpowiedzieli na moją liczną korespondencję i nagrane wiadomości oraz zgodzili się ze mną porozmawiać – dr. Robertowi Marvinowi, Rayowi Kinneyowi, dr. Gregory’emu Keckowi, Nancy Newton Verrier, Heather Forbes, Jane Brown i Amy Klatzkin. Z kolei Vic Magnet z Agape Trust w Pasłęku w Polsce pozwolił mi poznać polski system opieki nad osieroconymi dziećmi.

Będę dożgonnie wdzięczny przyjaciołom Casey, którzy pomogli nam przetrwać trudny okres po jej samobójstwie. Spotykamy się co roku, by się wesprzeć, powspominać i cieszyć się swoim towarzystwem. Tego dnia zawsze z Eriką wyczekujemy.

Wreszcie dziękuję Erice, że trwa przy mnie, odkąd staramy się wieść inne życie, już bez naszej Casey.

Materiały źródłowe

Oto źródła i nazwiska specjalistów, jakie znalazłem podczas swoich poszukiwań. Lista ta nie ma na celu promować żadnych organizacji ani osób, nie wyczerpuje też tematu. Jest to raczej punkt wyjścia dla czytelnika pragnącego prowadzić własne badania.

Książki:

- Bowlby John, *A Secure Base: Parent-Child Attachment and Healthy Human Development*, Basic Books, Nowy Jork 1988.
- Brodzinsky David M., *Being Adopted: The Lifelong Search for Self*, Doubleday, Nowy Jork 1992.
- Gray Deborah D., *Nurturing Adoptions: Creating Resilience after Neglect and Trauma*, Perspectives Press, Indianapolis 2007.
- Gray Deborah D., *Attaching in Adoption: Practical Tools for Today's Parents*, Perspectives Press, Indianapolis 2002.
- Karen Robert, *Becoming Attached: First Relationships and How They Shape Our Capacity to Love*, Oxford University Press, Nowy Jork 1998.
- Keck Gregory C., Regina M. Kupecky, *Adopting the Hurt Child: Hope for Families with Special-Needs Kids*, Nav-Press, Carol Stream 1995.
- Keck Gregory C., Regina M. Kupecky, *Parenting the Hurt Child: Helping Adoptive Families Heal and Grow*, Nav-Press, Carol Stream 2002.
- Magid Ken, Carole A. McKelvey, *High Risk: Children Without a Conscience*, Bantam, Nowy Jork 1988.
- Meese Ruth Lyn, *Children of Intercountry Adoptions in School: A Primer for Parents and Professionals*, Bergin & Garvey, Westport 2002.
- Verrier Nancy Newton, *The Primal Wound: Understanding the Adopted Child*, Verrier Publications, Lafayette 2003.
- Verrier Nancy Newton, *Coming Home to Self: The Adopted Child Grows Up*, Verrier Publications, Lafayette 2004.

Publikacje internetowe, strony i blogi:

ACEsConnection.com – sieć społecznościowa, której członkowie korzystają z opieki uwzględniającej przeżycia traumatyczne, by zapobiegać i niwelować skutki niekorzystnych doświadczeń z okresu

dzieciństwa oraz zwiększać odporność na problemy.

ACEsTooHigh.com – strona dla osób potrzebujących powiernika, zawierająca informacje i wiadomości dotyczące niekorzystnych doświadczeń z dzieciństwa.

Adopting.com – sieciowe zasoby informacji dotyczących adopcji krajowych i międzynarodowych.

Adoption.org – źródło artykułów i tekstów dotyczących adopcji oraz czat roomów.

Adoptionvoicesmagazine.com – blog zawierający wpisy, wiersze, filmy i podcasty przedstawiające różne punkty widzenia ludzi ze społeczności adopcyjnej.

Adoptivefamilies.com – materiały i społeczność zrzeszona wokół tematu rodziny adopcyjnej.

Adoptivefamiliescircle.com – internetowa społeczność ludzi mających za sobą proces adopcji i zainteresowanych kontaktem oraz wymianą doświadczeń.

Juliaandme.com – blog matki adopcyjnej, w którym dzieli się ona swoimi doświadczeniami i udziela wielu informacji na ten temat.

Parentingandattachment.com – mój blog, w którym dzielę się doświadczeniami dotyczącymi Casey i tym, czego dowiedziałem się o adopcji, rodzicielstwie i technikach terapeutycznych.

Chicagonow.com/portrait-of-an-adoption – blog poświęcony dzieleniu się osobistymi przeżyciami.

Theadoptiveparent.com – sieć informacyjna dla rodziców adopcyjnych.

Artykuły:

Harlowe Harry, *The Nature of Love*, „American Psychologist” 13 (1958), s. 673–685: http://psychology.about.com/od/historyofpsychology/p/harlow_love.htm.

Rutter Michael, *The English and Romanian Adoptee Study: Effects of Early Deprivation on Long-Term Adjustment* (1998), <http://www.nuffieldfoundation.org/english-and-romanian-adoptee-study>.

The Association for the Treatment and Training in the Attachment of Children, *Therapeutic Parenting* (2008), http://www.adoption-toolbox.com/files/ATTACH_Therapeutic_Parenting_Handbook.pdf: m/b.

Organizacje:

Adopt.org – The National Adoption Center. Centrum zajmujące się rozszerzaniem możliwości adopcyjnych na dzieci żyjące w rodzinach zastępczych na terenie Stanów Zjednoczonych.

Agape-Trust.org – organizacja charytatywna współpracująca z polskimi sierocińcami. Vic i Joanna Magnet, dyrektorzy.

Americanadoptioncongress.org – The American Adoption Congress, organizacja zaangażowana w reformowanie systemu adopcyjnego.

Theattachmentclinic.org – Mary D. Ainsworth Child-Parent Attachment Clinic. Klinika działająca przy University of Virginia Medical Center. Dr Robert Marvin, dyrektor.

ATTACH.org – The Association for Treatment and Training in the Attachment of Children.

Attachment.org – Nancy Thomas Parenting, oferuje rodzinom i specjalistom informacje na temat adopcji, tworzenia więzi, problemów z przywiązywaniem się i traumy wczesnego wieku.

Attachmentparenting.org – Attachment Parenting International, organizacja zajmująca się edukowaniem

i wspieraniem rodziców, a także oferująca zasoby umożliwiające kształcenie i budowanie sieci.

Attachmentparenting.co.uk – portal informacyjny dla osób mieszkających w Wielkiej Brytanii.

Attachmenttraumanetwork.com – The Attachment & Trauma Network, najstarsza w kraju prowadzona przez rodziców organizacja wspierająca rodziny dzieci z zaburzeniami tworzenia więzi.

Caseyfamilyservices.org – fundacja założona przez Annie E. Casey, oferująca pomoc przed adopcją i po jej zakończeniu.

Childtrauma.org – The Child Trauma Academy, oferuje informacje dotyczące traumy dziecięcej i jej skutków, a także interwencje wspierające.

Psych.ucsf.edu/sfgh/ctrp – Child Trauma Research Center, UCSF/San Francisco General Hospital. Dr Alicia Lieberman, dyrektor.

Adoptioninstitute.org – The Donaldson Adoption Institute oferujący prowadzenie badań dotyczących adopcji i pomagający tworzyć politykę odpowiadającą potrzebom osób dotkniętych problemem adopcji.

FRUA.org – Families For Russian and Ukrainian Adoption, organizacja oferująca materiały edukacyjne dotyczące adopcji dla rodzin, a także czat roomy, możliwość łączenia się za pomocą mediów społecznościowych i wsparcie społeczności, która zajmuje się opieką nad sierotami, wspiera rodziców i rodziny.

Rainbowkids.com – The Voice of Adoption, strona oferująca narzędzia, materiały i wskazówki dotyczące adopcji międzynarodowej.

Nationalcenteronadoptionandpermanency.net – The National Center on Adoption and Permanency, organizacja zajmująca się dostarczaniem całej gamy usług związanych z adoptowaniem dziecka, przyjęciem go do rodziny zastępczej i zapewnieniem mu opieki. Adam Pertman, przewodniczący.

Theraplay.org – The Theraplay Institute, międzynarodowy instytut szkoleniowy.

Specjaliści:

Attachmentadoption.net – Family Attachment and Adoption Center, Oakland, CA. Virginia Keeler-Wolf, MA, MFT.

Beyondconsequences.com – Beyond Consequences Institute, Boulder, CO. Heather Forbes, dyrektor.

Comeunity.com/adoption/health/jenista.html – Jerri Ann Jenista, MD, Ann Arbor, MI.

Cornerstonecounseling.com – Cornerstone Counseling Services, Waukesha, WI. Ray Kinney, dyrektor.

Drfederici.com – Dr Ronald Federici & Associates – Care For Children International, Manassas, VA.

Janebrowntoronto.weebly.com – warsztaty adopcyjne Jane Brown, Mississauga, Ontario. Jane Brown, MSW, dyrektor.

Spis treści

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Materiały źródłowe